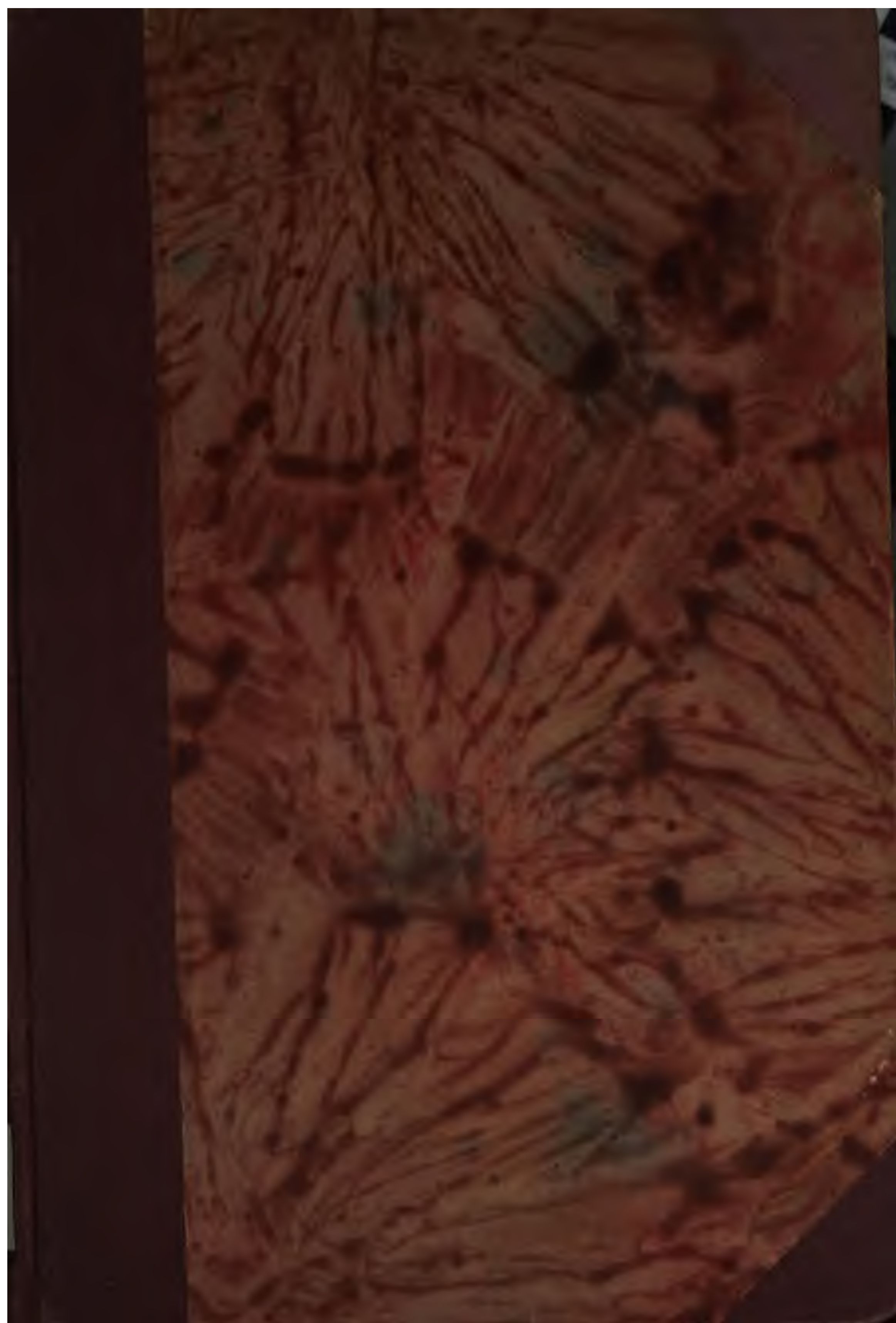




STANISŁAW SCHNÜR - PEPŁOWSKI

GALICIANA

1778 — 1812



WE LWOWIE
NAKŁADEM KSIĘGARNI H. ALTENBERGA
Z drukarni Władysława Łozińskiego. — Zarządca W. J. Weber.
1896.

Odbitka z „Przewodnika naukowego i literackiego“.

I.

Galicya z końcem minionego i z początkiem bieżącego wieku była niejednokrotnie przedmiotem opisów ze strony niemieckich podróżników. Stosownie do stopnia wykształcenia, temperamentu pisarskiego i bystrości obserwacyjnej danego autora, relacye te mniejszą lub też większą posiadają wartość, lecz w każdym razie przedstawiają one dla nas niezmiernie ciekawy a szerszemu ogółowi nieznany do tej pory materyał, zawierający wiele szczegółów statystycznej, ekonomicznej i etnograficznej natury. Na razie zestawimy relacye: Carosiego, Krattera, Brettschneidera i Hacqueta, datujące się z wieku ośmnastego, tudzież opisy Rohrera i Bredetzky'ego, pochodzące już z pierwszych lat naszego stulecia.

Szereg podróżników, których dzieła przypomnieć pragniemy czytelnikom naszym, rozpoczyna Jan Filip Carosi, autor dwutomowej pracy, wydanej w latach 1781—1784 w Lipsku u Breitkopfa, p. t. *Reisen durch verschiedene polnische Provinzen mineralischen und andern Inhalts*. Carosi był kapitanem w służbie Rzeczypospolitej a zarazem dyrektorem górnictwa. Tak przynajmniej podpisał się na swem dziele. O samejże osobistości autora nie wiele wiemy. Pochodził z dolnych Łużyc, uczył się w akademii lipskiej i piastował tytuł członka honorowego król. pruskiego towarzystwa przyrodniczego w Berlinie. Jeden z Carosich, Filip Karol imieniem, otrzymał w r. 1787 indygenat księstwa Siewierskiego. Nasz autor uzyskał rangę kapitańską w pułku hetmana litewskiego a oraz urząd dozorcy mineralogicznego zbioru królewskiego. Zaprzyjaźniony z Karolem Pertesem, geografem nadwornym Stanisława Augusta, autorem znanej mapy Królestwa Polskiego, został Carosi w roku 1775 zaproszony przez Komisyę Edukacyjną do ułożenia podręcznika dla nauk przyrodniczych. Za pracę tę, dokonaną wspólnie z konsyliarzem nadwornym, Dubois, otrzymał w dwa lata później nagrodę w sumie stu

dukatów. Carosi był też członkiem istniejącego od roku 1777 w Warszawie towarzystwa fizycznego, o którego założeniu przez konsyliarza Dubois dowiadujemy się z dzieła Jana Bernouillego, uczonego podróżnika, bawiącego w Polsce w r. 1778. W towarzystwie fizycznem, prócz Carosiego i Dubois, brali udział z wybitniejszych osobistości: August hr. Moszyński, były stolnik koronny i jeneralny dyrektor królewskich zbiorów, Ignacy Potocki, Adam Czartoryski, Michał Mniszech i wielu innych. W tem to towarzystwie poznał Carosiego Moszyński i zalecił go względom królewskim, dzięki którym uczony ten wyprawiony został w podróż naukową po zachodnio-południowych prowincyach Rzeczypospolitej. Rezultatem tej podróży, odbywanej w latach 1778—1780, było dzieło powyżej przytoczone, spisane w formie listów do Moszyńskiego. Już przedtem, (w r. 1777), napisał i ogłosił Carosi drukiem w Dreźnie dziełko, p. t. *Essai d'une litographie de Mlocin*, obejmujące dokładny, jak na owe czasy, opis skamieniałości polskich, ułożonych systematycznie według nomenklatury Lineuszowskiej. Dla nas szczególniejszą dziś przedstawiają wartość pomieszczone w przypiskach do tejże rozprawki rady Carosiego, udzielane współczesnym ziemianom. I tak mówiąc o torfie, rozpisuje się nader wymownie nasz przyrodnik o potrzebie oszczędzania lasów w Polsce. Przy innej znów sposobności rozwodzi się nad ważnością użytków, jakie kraj nasz odnosi z utrzymywania owiec dobrej rasy, oraz nad sposobami podniesienia włościan, wzmiankując równocześnie o stanie historyi naturalnej w Polsce przed Stanisławem Augustem, tudzież o gabinetach przyrodniczych w naszym kraju.

Wracając do naukowej wyprawy Carosiego, odbytej po r. 1778, nadmienić wypadnie, iż głównym jej celem było wskazanie miejscowości, w którychby można urządzić kopalnie soli. Badaniom przeto geologicznym, studyom opuszczonych min ołowiu, miedzi, żelaza, poświęca przedewszystkiem swą uwagę uczony królewski i dlatego niewielki stosunkowo rezultat przedstawiają jego zapiski poza obrębem zawodowych obserwacyi. Mimo to ciekawe szczegóły znajdujemy o Krakowie, o Podgórzu i o Wieliczce w listach jego, (13—15), które przynajmniej w streszczeniu zasługują na przytoczenie. Dla dokładności zwracamy też uwagę czytelnika, iż relacya Carosiego datuje się z doby porozbiorowej, kiedy Kraków należał jeszcze do Rzeczypospolitej, podczas gdy Podgórze i Wieliczka znalazły się już w zaborze austryackim.

Do Krakowa zdążył Carosi w dniu czwartym września 1778 r., jadąc na Opatowiec i Wawrzęczyce. Miasto z tej strony oglądane *sprawiło na nim* wrażenie korzystniejsze aniżeli Warszawa, głównie

z powodu mnogości wież kościelnych oraz górującego nad śródmieściem Wawelu. „Właściwy Kraków“ — słowa Carosiego — „nie licząc Kazimierza i przedmieść, jest jak na owe czasy, w których miał powstać, wcale obszerny. Chcąc miasto w koło obejść, potrzeba przynajmniej godziny czasu. Otaczają je podwójne mury i rów, posiada również kilkanaście baszt, utrzymanych w bardzo złym stanie, zaś pięć bram, oddalonych od siebie niemal równomiernie, ułatwia przybyszom wstęp do miasta [1]). Główne ulice, szersze po większej części od tych, jakie się spotyka zazwyczaj po starych miastach, posiadają bruk wcale niezły, a główny, czworoboczny rynek byłby prawdziwą ozdobą miasta, gdyby go nie szpeciły stojące w tem miejscu: ratusz, Sukiennice, kościołek św. Wojciecha, wzniesiony w miejscu pierwszej świątyni chrześciańskiej, tudzież rozmaite budy i baraki. Przeważna część domów pochodzi z dawnych wieków; niewiele domostw jest nowszych, zaś niektóre z nich odświeżono tylko na zewnątrz. Pałaców niema wcale. Ogólna liczba kościołów i klasztorów, istniejących w śródmieściu, na Kazimierzu i po przedmieściach, dochodzi do cyfry 72, zbytnio kontrastującej z rozmiarami miejscowości. Z jednego kościoła widać drugi, tak gęsto są rozsiane; częstokroć jeden kościół wznosi się tuż obok drugiego. Styl przeważnej części świątyń nieszczególny, nosi znamię epoki, w jakiej powstał. Z kościołów w stylu gotyckim zbudowanych zasługuje na uwagę fara Panny Maryi wielkością swą i wysokością. Zresztą najpiękniejszym jest kościół pojezuicki świętego Piotra, zbudowany w prawdziwie skromnym i szlachetnym stylu, pokryty piękną kopułą. Oprócz tego jest jeszcze kilka kościołów w miernym guście. Pod względem wewnętrznej okazałości, to w przeważnej części świątyń nie brak wprawdzie marmuru, bronzu, srebra, lecz w użyciu tych ozdób rzadko kiedy przebija się dobry smak. Najbogatszą, jak łatwo zresztą dorozumieć się, jest katedra, połączona z zamkiem królewskim, nie posiadająca atoli pod względem architektonicznym ani smaku, ani też proporcyi, gdyż datuje się jeszcze z tych czasów, gdy głównie chodziło o wzniesienie silnych i grubych murów. Z grobowych kaplic królewskich, wzniesionych przy katedrze, niektóre zasługują na uwagę znawców tak swym przepychem, jakoteż pod względem artystycznym. I kaplice biskupie nie ustępują królewskim. Między temi ostatniemi

[1]) Kraków posiadał w owym czasie nie pięć, lecz ośm bram. (Floryańska, Sławkowska, św. Szczepana, Wiślna, św. Mikołaja, Nowa, Grodzka, Szewska). Z wyjątkiem Floryańskiej zniesiono pozostałe bramy w latach 1815—1823.

pociąga oko widza kaplica Zygmunta Augusta[1]). Cała w
marmurem, zdobnym gustowną rzeźbą, mieści w sobie po
ołtarzyk, którego stronę zewnętrzną tworzy obraz bardzo
pędzla szkoły niderlandzkiej, podczas gdy wnętrze wypełnia
tej samej treści, wykonana w srebrze ręką — jak utrzymują
mego króla, nieustępująca obrazowi ani co do rysunku, ani
względem wyrazu[2]). W innych kaplicach nie brak wprawdz
muru, alabastru, bronzu a po części i staranności w roboc
wartość pod względem artystycznego wykonania nie wszęd
równą. Dawniejsi królowie nie posiadają osobnych kaplic. T
grobowiec Kazimierza Wielkiego mieści się tuż obok wielkie
rza po lewej stronie chóru. Chcąc choćby tylko wymienić w
starożytności, popadłbym w zbyt wielką rozwlekłość, dlatego
noszę się ztąd, nadmieniając jeno, że zwłoki świętego Sta
spoczywają na osobnym ołtarzu, w środku głównej nawy, oto
kratą, zamknięte w srebrnej trumnie. Głowa świętego prze
się wraz z głową świętego Floryana w zakrystyi w wielkich
relikwiarzach, wysadzanych drogimi kamieniami oraz innemi
wnościami. Właściwy wszakże skarbiec katedralny ma się
w podziemnych sklepach, znanych jedynie dwom kanoniko
jest dostępny dla zwiedzających" (?).

„Stary zamek królewski, którego częścią jest katedra, p
z głównym gmachem gankami i otoczona wraz z nim w
murem i wałem, stoi wraz z licznymi, otaczającymi go bud
na wapiennej skale, wznoszącej się na jakie czterdzieści do
sięciu łokci i oblany jest od południowo-zachodniej i ws
strony Wisłą. Właściwy zamek tworzy dość duży, podłużny
bok i składa się oprócz z parteru z dwóch piąter, z któryc
posiada osobną galeryę. Czworobok ten wszakże nie jest rów
dowany, gdyż część gmachu od wschodu i południa jest niż
pełnie odmiennie zbudowaną. Nie spodziewajcie się w tem
opisu dawnej, królewskiej okazałości, gdyż prócz wielkich ro
sal, grożących podobnie jak całość ruiną, nie ma tu i śla
pychu. W przeważnej części zgniłe posadzki, okna wybite
brudne ściany, stare, walące się piece z lichej gliny — oto w
co się widzi w komnatach, zamieszkiwanych dawniej przez
Na samym końcu tych apartamentów pokazują pracownię

---

[1]) Carosi ma tu na myśli kaplicę Zygmuntowską.

[2]) Rzeźba wewnętrzna jest w istocie dziełem Melchiora
złotnika z Norymbergi.

tego króla Zygmunta Augusta, który dla rozrywki zabawiał się złotnictwem [1]). Następnie przechodzi się przez szereg pokoi po pomostach, gdyż konfederaci, oblężeni w zamku podczas ostatnich zamieszek przez Rosyan, powyjmowali w nich belki sufitowe na opał, by dostać się do dawnej sali senatorskiej. Sufit tejże tworzy złocona i jaskrawo malowana rzeźba, zaś ściany pokrywają liche, allegoryczne freski, po większej części już zatarte. Ztąd przechodzi się do sali poselskiej, której powałę stanowi kilkaset głów rozmaitych narodowości, stanów i płci, wyrzeźbionych z drzewa i pociągniętych farbą [2]). Zabytek ten przypisują również Zygmuntowi Augustowi, który w ten sposób chciał rzekomo wyrazić satyrę przeciw brakowi jedności, jaki objawiał się w Polsce za jego rządów. Szkoda, iż ta pamiątka z powodu uszkodzenia dachu uległa już w wielu miejscach zniszczeniu. Rzeźba wprawdzie nie we wszystkich szczegółach przedstawia równą wartość, lecz niektóre głowy są bardzo dobrze scharakteryzowane, zaś całość zasługiwała z wielu względów na to, by ją zachowano. I tu ściany pod powałą pokryte są allegorycznymi freskami z dopisanymi wierszami u spodu, podobnie jak w poprzedniej komnacie. Wszystko to jest dziełem wspomnianego tylekrotnie króla Zygmunta Augusta, który własnoręcznie miał sporządzić nawet wykładane drzwi w tej sali. Co jednak przedstawia najwyższe piękno, jakiego w tem miejscu użyć można, to widok przecudowny na całą okolicę w około. Właściwy zamek wraz z katedrą zajmują jeno trzecią część powierzchni wzgórza, podczas gdy na pozostałej przestrzeni wznoszą się nadto dwa kościoły [3]), oraz wielka ilość domostw i chałup, należących dziś do rozmaitych osób. Rezydencya grodowa istnieje naprzeciw katedry, tuż obok właściwej, wewnętrznej bramy zamkowej. Całość zamykają wspólne mury."

„Dawne gmachy akademickie pochyliły się wielce ku ruinie. Stoją one rozrzucone w rozmaitych dzielnicach miasta; obecnie Komisya Edukacyjna poczęła je restaurować. W jednym z tych gmachów przechowuje się biblioteka akademicka, wcale pokaźna, jak na brak dbałości, z jaką ją dotychczas traktowano. Umieszczona w dwóch przyległych do siebie salach, została przyozdobioną skromnie i poważnie, oraz uporządkowaną. Obecnie upiększają ją o ile możności. Całkiem nowych, większych dzieł brak w niej dotychczas. Wyzna-

[1]) Komnata w „Kurzej Stopie".

[2]) Głów w pułapie sali poselskiej było ogółem 196. Kilka z tych głów posiada obecnie w swych zbiorach Stanisław hr. Tarnowski.

[3]) Świętego Jerzego i św. Michała, wzniesione w bieżącym wieku.

czono wszakże teraz w tym celu roczną sumę. Najliczniej zentowany w tym zbiorze jest dział teologiczny wraz z pokr umiejętnościami. I dział matematyczny nie jest bez wartoś najgorzej uposażonym jest dział przyrodniczy. Bardzo staryc pisów brak tu zupełnie. Jako największą osobliwość pokaz rękopis z piętnastego wieku, o którym krążą liczne podania bnie jak o autorze tego dzieła. Miał nim być niejaki Twa odegrywający wśród ludu rolę podobną, jak doktor Faust. potężny foliant, spisany na modłę słownika, który słusznie m uważany za jedną z najstarszych encyklopedyi, gdyż autor, prawdopodobnie wielce pracowity, starał się w tej księdze zamieścić, o czem tylko zasłyszał.“

„Tyle o osobliwościach tego miasta. Sądzę, że o wiel byłoby w tej materyi do powiedzenia, lecz pobyt mój t krótkotrwały. Mogłem tylko pobieżnie oglądnąć wszystko czego i moja relacya wypadła powierzchownie.“

„Z budynków w śródmieściu, po części niezamieszkały szczonych, po części zaś zamieszkałych przez jedną tylko widać, iż ludność Krakowa musiała być o wiele liczniejszą z gdy tu królowie stale rezydowali. Niegdyś kwitnął tu hand ków był główną targowicą naszego kraju. Teraz jednak, po ostatniej, nieszczęsnej katastrofie, miasto podupadło ni pełnie. W stosunku do rozległości miasta jest tu nadzwyc kupców, lecz ich egzystencya przedstawia się nędznie od c oderwano kraj z tamtej strony rzeki wraz z podgórzem. Tam zamieszkiwało najzamożniejsze ziemiaństwo, które obecnie ceł granicznych niczego ztąd nie sprowadza. Co najwyż obecnie wyliczyć cztery zamożniejsze domy handlowe. S Franciszek Laszkiewicz, najznakomitsza firma, a po nim Józ Barszcz i Kossa.“

W tem miejscu dodaje Carosi przypisek następując „Obecnie po śmierci ojca i matki Laszkiewiczów prowad pod dawną firmą synowie oraz szwagier Wolff. Firma ta wątpienia najznakomitszą. Posiada sklepy i składy niety i w Podgórzu, lecz także we Lwowie, w Dubnie, w Brod wnym artykułem utrzymywanego przez nią handlu wywoz wosk ukraiński, w zamian za co sprowadza styryjskie ko i inne towary żelazne. Po Hallerze pozostała wdowa pro łącznie handel materyałami. Barszcz utrzymuje się i kupcz przeważnie towarami materyałowymi. Kossa ogłosił upadłc 1780, przyczem wielu wierzycieli poniosło znaczne straty,

wszym rzędzie królewsko-pruska kompania morska w sumie około 100.000 złotych polskich“...

W dalszym ciągu tekstu czytamy, co następuje: „Resztę sklepów posiadają kupczący jedwabiami, suknami, galanteryą i towarami żelaznymi, tudzież drobniejsi materyaliści, wśród których są i kupcy, mający się stosunkowo nieźle, lecz raczej skutkiem zebranego już dorobku, niż z bieżącego zarobku. Tak zwane Podgórze, leżące tuż naprzeciw Kazimierza, ma niepospolicie szkodzić handlowi krakowskiemu. Istnieje tu jeszcze osobny rodzaj kupców, to jest winiarze, wśród których jako najznamienitszych wskazano mi Kraussa i Kozłowskiego. W ogóle sam Kraków posiada tak znaczne zapasy wina, czy to na wywóz, czy też dla własnego użytku, że nawet w razie przecięcia dowozu, same to miasto byłoby w stanie zaopatrzenia wszystkich okolic, gdzie się wino rozchodzi. Bardzo to być może, jednakowoż *sit fides penes autorem*, gdyż w całej Polsce rokrocznie bardzo wiele spijają soku z jagód winnych“...

„Zresztą Kraków jest martwy, zwłaszcza w lecie, gdy szlachta przebywa na wsi; w zimie ma tu być życie bardziej rozbudzone. Istnieją podobno: *Clobbe*, bale publiczne i reduty podczas zapust; teatru nie ma wcale. W tej właśnie porze przypadają targi tygodniowe i jarmarki, głównie na zboże i bydło, wyprowadzane do głodnego kraju z tamtej strony rzeki. Gdyby tak nie było w rzeczywistości, to nie wiedziałbym, co nasz chłop i właściciel poczęliby z swem zbożem, zwłaszcza wobec okropnych utrudnień przy spławianiu takowego wodą.“

„Kazimierz, tworzący osobne miasto, leżące między dwoma ramionami rzeki, to jest między właściwą a starą Wisłą, gdyby na wyspie a raczej na półwyspie, miał być ongi znaczniejszą miejscowością. Od czasu spustoszenia podczas wojen szwedzkich z początkiem obecnego i z końcem minionego wieku, nie mógł się dotychczas podnieść. Dlatego też prawie całe ulice leżą w gruzach. Żydzi posiadają tu osobną dzielnicę, gdyż w właściwym Krakowie nie wolno im ani mieszkać, ani też utrzymywać sklepów; utrzymują je wszakże w oficynach. Zresztą miejscowość ta posiada odrębne mury i bramy; nie zależy od władzy miejskiej śródmieścia, lecz ma własny magistrat, zależny od zarządcy królewskich dóbr stołowych, zwanego Wielkorządcą.“

„Inne przedmieścia Krakowa ciągną się daleko i przed ostatnią konfederacyą były dobrze zabudowane i otoczone murami. Obecnie naczna część przedmieść skutkiem pożogi i zniszczenia zrównaną stała z ziemią, choć po tej smutnej dobie powstało znów w miejsce

murowanych budynków bardzo wiele drewnianych domów i dworków. Jest tu też wiele ogrodów prywatnych, przeważnie warzywnych, w nieznacznej tylko części zarazem do rozrywki służących. Ogrodów publicznych, z wyjątkiem Łobzowa, o którym zaraz będzie mowa, niema wcale. Toż samo brak miejsca do przechadzek dla publiczności, wyjąwszy w około miasta. Ale miejsce to nie jest wcale przyjemne. Smutny widok ruin i odór z kloaków — oto wszystko, co się tutaj spotyka."

„Łobzów, dawna królewska rezydencya letnia, leży o ćwierć mili od Krakowa na zachód. Założycielem tej siedziby miał być Kazimierz Wielki, którego żydowska nałożnica, sławna Esterka, spoczywa tu podobno pod okrągłym kopcem, nieoznaczonym żadnym napisem lub innym jakim znakiem. Miejscowość ta leży w głębokiej, bardzo urodzajnej dolinie, w której miejscowi ogrodnicy produkują najlepsze w całym kraju jarzyny, jak szparagi, kapustę głowiastą i t. d. w tak znacznej ilości, iż wywożą ztąd do Warszawy oraz do innych miast całe galary, wyładowane warzywem. Stary, zrujnowany zamek królewski tworzył ongi czworobok. Skrzydło wschodnie jest jeszcze po części dawną, pierwotną budową — jak to świadczy wmurowana płyta kamienna z datą roku oraz z herbami. Resztę gmachu w późniejszych latach rozszerzyli i ozdobili królowie z domu Jagiellonów. Wskazują na to ich herby, zamieszczone na marmurowych odrzwiach i kominkach. Ogród jest niewielki. Liczy w kwadrat nie więcej jak 160—200 kroków i podobnie jak gmach cały jest zaniedbany. Grzędy, podzielone na cztery oddziały: środkową, krzyżową aleą lipową, zastałem zasianą zbożem. August II. urządzał tu ostatni pewne rozrywki, odpowiadające jego gustom".

„Prócz tej miejscowości, istnieje jeszcze letnia rezydencya biskupów krakowskich zwana Promnikiem, oddalona ztąd o pół mili w kierunku północno-zachodnim. Urządzają do niej czasem wycieczki. Budynek zniszczony w czasie konfederacyi nie był nigdy pięknym. Natomiast przyległy ogródek, w tej okolicy, ogołoconej z przechadzek publicznych, posiada zawsze pewną wartość" [1]).

„Przed rozbiorem Krakowianie urządzali wycieczki do pewnych miejscowości za miastem. Obecnie dzieje się to bardzo rzadko z powodu ceł, mostów oraz innych przeszkód. Zresztą nie ma potemu i ochoty. Względnie najczęstsze wycieczki mają się odbywać do wsi

[1]) Mowa tu o Prądniku t. z. białym.

Mogiły, odległej o milę na wschód, w której istnieje klasztor Cystersów, posiadający cudowny krucyfiks".

„Do przyjemnych miejsc w tej okolicy zaliczam klasztor Kamedułów na Bielanach, położony o milę odległości w zachodnim kierunku. Stoi on na najwyższej w tych stronach górze, na krawędzi lasku, złożonego z drzew dębowych i jodłowych. Kościół zbudowany został w stylu ani to bardzo złym, ni też w najlepszym. Klasztor jednak jest bardzo bogaty. Widok z tej wyniosłości na okoliczny krajobraz jest na obie strony wspaniały, gdyż klasztor widać z doliny w odległości przeszło dwumilowej"...

Przeważną część następnego, czternastego listu, pisanego z Krakowa w dniu siódmym września, poświęca Carosi wywodom naukowym o pokładach skalnych w okolicy Bielan i dopiero w końcowym ustępie tej korespondencyi dodaje kilka ciekawych szczegółów, dotyczących Krakowa oraz dóbr królewskich. „Dowiedziawszy się dziś nowych rzeczy o Krakowie" — słowa listu — „pospieszam je w krótkości podać. Podano mi liczbę ludności miejskiej, wraz z żydami, wahającą się między ośmnastu a dwudziestu tysiącami. Sądzę jednak, że cyfra ta będzie nieco wyższą. Przedmieścia, rozciągające się daleko w około miasta, są znaczne. Wielkim jest Kleparz, gdzie się odbywają tygodniowe targi na zboże i bydło, a i reszta przedmieść nie jest małoznaczną, zwłaszcza Stradom i Piaski. Same tylko śródmieście zawiera 560 dymów, licząc w to i klasztory, zaś Kazimierz, mimo tylu ruin, liczy tychże do trzystu. Przedmieścia choć opuszczone i zniszczone są w pewnej części, to jednak tyleż domów liczą z pewnością, tak, iż całość miasta obejmie do 1600 dymów, jeżeli nie więcej"...

„Dawni królowie posiadali w województwie krakowskiem najładniejsze i najrozleglejsze dobra stołowe. Po części ich ofiarność na cele Kościoła, po części zaś inne okoliczności wpłynęły na znaczne uszczuplenie tych posiadłości. Doszło wreszcie do tego, że królowie dzielili się dobrami z zakonami, gdyż całych wsi na darowiznę nie starczyło. Tak postąpiono z dwoma pięknemi wioskami Czernichowem i Przeginią, z których połowa należy do Benedyktynów z Tyńca. Krótko mówiąc, musielibyście się zadziwić przeglądnąwszy obszerny wykaz dóbr duchownych, położonych jedynie w województwach krakowskiem i sandomierskiem, gdyż połowę obszaru tych prowincyi przedstawiają dobra fundacyi duchownych. Mniej to raziło przed rozbiorem, gdyż królowie posiadali za Wisłą kopalnie soli w Wieliczce i w Bochni tudzież ekonomię wraz z puszczą Niepołomicką, nie wspominając o dobrach na Rusi Czerwonej. Po od-

trąceniu tychże, dobra tutejsze koronne przynoszą niespełna sto tysięcy złotych polskich dochodu. Nawet z dawnego, królewskiego zwierzyńca, istniejącego pod miastem, nie zostało obecnie nic krom nazwy, gdyż i tego obszaru część przeważna przeszła w ręce duchowne“...

Na tem się kończy relacya Carosiego o Krakowie. List następny, piętnasty, datowany z tego miasta w dniu 10. września, zawiera ciekawy opis wycieczki autora do Wieliczki, leżącej już — jak wiadomo — w kordonie cesarskim. Z korespondencyi tej wyjmujemy następujące szczegóły:

„Z Krakowa jedzie się przez Kazimierz do Wieliczki“ — pisze Carosi. — „Przez rzekę przejeżdża się po pływającym moście, którego jedna połowa należy do nas, druga zaś do Cesarza. Po tamtej stronie płaci się myto. Dla czego my tej opłaty nie pobieramy? — nie wiadomo. Już przed rozbiorem istniały na tamtym brzegu chaty i szopy. Obecnie jednak osada ta wzrosła do rozmiarów miasteczka, które chciano nazwać Josefstadtem, lecz cesarz wymówił się od tego zaszczytu. Zwą więc pospolicie miejscowość tę Podgórzem. Prócz cesarskich poddanych, mają tu swe składy niektórzy obywatele krakowscy jak Franciszek Laszkiewicz, Haller i inni, handlujący miodem i woskiem z Tryestem. Uczynili to dla uniknienia opłaty podwójnego cła. Nie potrzebuję przypominać, o ile z czasem nowa ta osada graniczna stać się może groźną dla Krakowa, któremu i dziś już przynosi szkody“.

Po kilku uwagach geologicznej natury wspomina Carosi o mogile Krakusa... „Jest to kopiec usypany w formie kulistej. Z kształtu jego jednak nie można oznaczyć, czy jest to znak graniczny, czy też wzgórze ofiarnicze, lub mogiła. Jest rzeczą wielce nieprawdopodobną, by tu był pogrzebany Krakus, książe Alanów, Ulanów, czy jak też inaczej oni się zwali, (kto wie, czy dzisiejsza nasza nazwa Polan nie pochodzi od pola?), który z okolic dzisiejszego Krakowa wyprawiać się miał do Germanii a następnie do Galii, gdzie ostatecznie się osiedlił. Wyjaśnienie tej kwestyi jest rzeczą badaczy starożytności“... „Wieliczka oddaloną jest o dobrą milę od Krakowa. Wyznać muszę, że miejscowość ta zawiodła me oczekiwania. Zbudowana jest w przeważnej części z drzewa, z wyjątkiem kościołów, starego zamku, w którym się mieści zarząd górniczy i nielicznych domów mieszczańskich. Wszystkie budynki górnicze i składy są również wyłącznie wzniesione z drzewa. Nie oczekujcież przeto opisów pięknych, lub też pod jakimkolwiek względem znaczących budynków. Kościół parafialny jest dość wielki, ale zbudowany w złym

stylu. Teraźniejsza siedziba zarządu, dawny zamek królewski, nie odznacza się wielkością ani też nie zasługuje na uwagę pod żadnym innym względem, chyba co do nieregularności kształtów. Nie mógłbym opisać jego architektury, gdyż sklecano kawałkami tę budowę. Na oko nie liczyłbym w Wieliczce więcej nad dwieście dymów. Jak długo kopalnie te były naszą własnością, tak długo też pozwalano z przyjemnością oglądać obcym wszystkie osobliwości. Od czasów wszakże bawarskiej wojny sukcesyjnej uznali za stosowne dzisiejsi posiadacze Wieliczki z powodów — jak mówiono — ważnych nie wpuszczać nikogo obcego do kopalni. I wątpię, czy zdołałbym się tam dostać, gdyby nie uprzejma uczynność radcy komisyjnego, Turnera, który mi towarzyszył i wstawił się za mną. Dla uniknienia wszelkich podejrzeń nie zataiłem mego nazwiska i zawodu. Przebrałem się tylko po cywilnemu zaś towarzyszący mi górnik musiał odegrywać rolę służącego. Po krótkich odwiedzinach u c. k. radcy dworu Heitera i u zarządcy Kiełczewskiego znalazłem się w domku nad szybem Danielowiec, gdzie ofiarą dwóch obrączkowych dukatów uzyskałem pozwolenie wzięcia z sobą rzekomego mego służącego“ ...

Spuściwszy się na linie, okręconej w koło walca, poruszanego kieratem, na pierwsze piętro, napomyka Carosi o kaplicy świętego Antoniego, którą zwie mylnie kaplicą Konegundy, tudzież o znajdującym się w niej posągu Augusta II., poczem zwiedził drugie i trzecie piętro kopalni. Powracając inną drogą, oglądnął niedostatecznie zabezpieczone dawne szyby i po czterogodzinnej bytności powrócił windą na świat Boży. Zwiedziwszy jeden tylko szyb i niechcąc zbyt natrętnemi pytaniami zwracać na siebie uwagi, poprzestaje Carosi na dość ogólnikowym opisie wnętrza kopalni oraz na wymienieniu nazwisk szybów, którą to część relacyi, jako niezawierającą żadnych nieznanych szczegółów pomijamy, jak również doniesienie jego o podziale górników według rodzaju zajęcia, tudzież o sposobie eksploatacyi soli w kopalniach. Pod tym ostatnim względem zrobił Carosi spostrzeżenie, iż rząd austryacki nie poczynił żadnych ważniejszych zmian ani w zarządzie kopalni, ani w sposobie budowania szybów. Pomnożono jeno kancelaryę a wszyscy urzędnicy nosili uniform, złożony z czerwonego surduta z zielonemi wyłogami i z takichże spodni.

Z Wieliczki powrócił Carosi do Krakowa, zkąd już po kilku dniach wyruszył w dalszą podróż do Olkusza. Dalsze części jego dzieła, opisujące studya uczonego badacza, czynione w krakowskiem w sandomierskiem województwie, nie wchodzą w zakres niniej-

szego opowiadania. Ciekawsze ustępy z tego dzieła podał w polskim przekładzie *Magazyn Warszawski*, czasopismo, wychodzące w Warszawie w roku 1784, zamieszczając równocześnie w przypisach następującą wiadomostkę: „Od lat kilku wyjechał był kosztem i ze zlecenia Najjaśniejszego Pana J. P. Carosi do Małopolski na dociekanie tającej się tam i dotąd bardzo mało znajomej natury. Osobliwiej zaś dla szukania tak potrzebnej dla kraju soli"...

Dalsze koleje życia Carosiego nie są nam niestety znane, lubo jako naczelnik górnictwa zajmował w administracyi krajowej wybitniejsze stanowisko. Wiemy tylko, iż w latach 1780—1785 przebywał Carosi w Mogile pod Krakowem, gdzie prowadził poszukiwania soli świdrem ze znacznym połączone kosztem. Przesiadując w Mogile, napisał i zaofiarował królowi dziełko, p. t. *Sur la génération du Silex et du Quarz en partie. Observations faites en Pologne par J. P. de Carosi 1783 à Cracovie.* Według Bernouillego był też Carosi autorem dzieła, p. t. *Beiträge zur Naturgeschichte der Niederlausitz.* Niepewność co do dalszej działalności i daty zgonu zasłużonego w dziejach polskiego górnictwa badacza wytłómaczyć chyba wypadnie wielce prawdopodobnym wyjazdem Carosiego z kraju, po dokonaniu trzeciego rozbioru Rzeczypospolitej.

II.

W roku 1786 ukazała się w Lipsku u Wucherera dwutomowa książeczka, p. t. *Briefe über den itzigen Zustand von Galizien. Ein Beitrag zur Statistik und Menschenkentniss*, ozdobiona wcale drastycznemi winietami. Pierwsza z nich przedstawiała korzący się wobec szubienicy motłoch, druga illustrowała doraźny wymiar sprawiedliwości domowej, wymierzanej przez matkę na dorastającej już córeczce . . .

Autor nie podpisał się na owem dziełku, lecz niebawem było głośną tajemnicą, iż pamflecistą, gdyż inaczej trudno nazwać *Listy*, jest Franciszek Kratter, ukończony prawnik, bawiący od sześciu miesięcy we Lwowie, gdzie brat jego, Ignacy, posiadał wielce uczęszczaną przez wojskowych winiarnię. Urodzony w roku 1758 w Oberdorf, w Szwabii, studyował Franciszek na przemiany filozofię i teologię, by po ukończeniu studyów prawniczych w Wiedniu szukać chleba w Galicyi. Na razie przyjąwszy podrzędną posadę prywatnego oficyalisty w dyrekcyi poboru opłat koszernych od żydów, starał się Kratter w świeżo założonym uniwersytecie lwowskim o katedrę na wydziale prawniczym. Odmowna odpowiedź, jaka mu przypadła w udziale, była też prawdopodobnie powodem ogłoszenia jego *Listów*, w których przeważna część pierwszego tomu poświęconą została namiętnym a stronniczym wycieczkom autora przeciw sposobowi organizacyi wszechnicy lwowskiej, tudzież przeciw poszczególnym profesorom. Książka Krattera narobiła wiele wrzawy we Lwowie i niemało kłopotów przysporzyła autorowi, który w tutejszych kołach uczonych zgotował sobie tą publikacyą śmiertelnych, niczem nieprzebłaganych wrogów. Podwoje uniwersytetu pozostały dla niego na zawsze zamknięte, lubo kilkakrotnie ponawiał swe zabiegi o pozyskanie katedry. Szczęśliwszym był Kratter jako autor dramatyczny i wydawca, choć pracował piórem w najrozmaitszych dziedzinach

literackiej produkcyi. Poematy, romanse, rozprawy statystyczne i sztuki teatralne składają się na obfitą spuściznę literacką, pozostałą po nestorze niemieckich autorów w Galicyi osiadłych. Z dzieł jego scenicznych największem i najtrwalszem cieszył się powodzeniem dramat, p. t. *Dziewczę z Maryenburga*, grywany przez długie lata na wszystkich scenach niemieckich i przyswojony też polskiemu teatrowi. Oburzywszy przeciwko sobie zarówno kler katolicki, jak wolnych mularzy, których przewodnikiem we Lwowie był radca gubernialny, Kortum, przez długie lata musiał Kratter pokutować za skutki młodzieńczej lekkomyślności, zawinionej publikacyą wiadomych *Listów*. W roku 1797 podał się biedak ponownie o opróżnioną po Köfilu katedrę umiejętności politycznych, lecz i tym razem nie uwzględniono jego podania, choć fakultet prawniczy lwowski przez usta profesora de Lucca wyraził się nader pochlebnie o działalności literackiej Krattera. Jako powody odmowy podano w odpowiedzi rządowej brak stopnia doktorskiego oraz świadectwa z prawa kryminalnego i kanonicznego, którymi kandydat nie mógł się wykazać. Opróżnioną katedrę nadano wówczas Janowi Zergollowi, a po tegoż smierci w roku 1800 powierzono tymczasowo wykłady umiejętności politycznych Kratterowi. Ale władza wyższa sprzeciwiła się temu postanowieniu, twierdząc, iż nie wypada „oficyaliście prywatnemu“ — (alluzya do posady Krattera przy poborze koszernych opłat) — oddawać, choćby tylko tymczasowo, katedry. Nie zamianowano go też profesorem przy konkursie, ogłoszonym w roku 1801, gdyż gubernium galicyjskie wyraziło się o nim w sposób równie stanowczy, jak ujemny. „Kratter“ — słowa gubernialnej relacyi z dnia 18. czerwca t. r. — „okrył się hańbą przez ogłoszenie paszkwilowych i oszczerczych *Listów o Galicyi*, rzucających brzydkie światło na jego sposób myślenia i charakter oraz ściągających na niego nienawiść narodu, więc też nie można mu powierzać obowiązków publicznego profesora.“

Po takiem *dictum* zrozumiał Kratter, iż o birecie profesorskim i marzyć mu nie wolno i zadowolił się remuneracyą, jaką mu wypłacono w kwocie trzystu złotych za jego prowizoryczne wykłady. Objęcie dyrekcyi teatru niemieckiego we Lwowie nie przyczyniło mu rozkoszy w życiu, gdyż scena ta, mimo poparcia rządu, nie mogła przez lat kilkadziesiąt z rzędu zaaklimatyzować się w tem mieście. O osierocone przez śmierć Henryka Bulli, (w styczniu 1819 r.), przedsiębiorstwo teatralne ubiegał się Kratter pierwotnie do spółki z Janem Nepomucenem Kamińskim, dyrektorem sceny polskiej. Obaj też podpisali w kwietniu t. r. kontrakt pięcioletniej dzierżawy

gmachu teatralnego z gminą miasta Lwowa, jako z właścicielką tej nieruchomości. Dzierżawa ta była wielce korzystną dla przedsiębiorców, gdyż po odtrąceniu dwutysięcznej subwencyi rządowej, czynsz roczny za wynajm teatru wynosił zaledwo tysiąc złotych, a nadto dyrektorowie uzyskiwali prawo poboru jednej dziesiątej części dochodu od wszelkich widowisk, urządzanych w mieście. Po roku wycofnął się Kamiński ze spółki, zaś Kratter na własną rękę prowadził przedsiębiorstwo z wielce zmiennem powodzeniem. Jemu to zawdzięczał Lwów teatrzyk letni w Żelaznej Wodzie, gdzie też na stare lata osiadł on na stały pobyt w towarzystwie swej owdowiałej córki i wnucząt. W tej przedmiejskiej siedzibie odwiedził sędziwego pisarza w lecie 1830 roku profesor estetyki przy tutejszej wszechnicy, świeżo przybyły do Lwowa, Michał Canaval i wrażenia ze swej bytności w Żelaznej Wodzie ogłosił w *Mnemozynie* z roku następnego. Kratter był już wówczas pochylonym przez wiek, przygłuchym staruszkiem. Spokój i dostatek na starość zawdzięczał pomyślnie rozwijającemu się wydawnictwu *Gazety Lwowskiej*, której był współzałożycielem.

Jakkolwiek poprzednio czynione kilkakrotnie próby stworzenia na bruku lwowskim prasy peryodycznej kończyły się niefortunnie dla wydawców, to jednak pomysł Franciszka Krattera stworzenia z wiosną 1811 roku gazety politycznej był udatnym pod każdym względem. Ciekawość dowiedzenia się o wypadkach pierwszorzędnej doniosłości, rozegrywających się na Zachodzie, przemogła tym razem znany, galicyjski wstręt do bibuły zadrukowanej. Poparcie rządu, na którego czele stał światły gubernator, Piotr hr. Goess, zapewniło obfitym działem ogłoszeń podstawę materyalną młodemu wydawnictwu, zaś zręczna, z iście dziennikarskim temperamentem wiedziona redakcya przyczyniła się również w bardzo wysokim stopniu do zapewnienia *Gazecie* szerokiego koła czytelników. Prospekt, zapowiadający pojawienie się tego wydawnictwa, przez „Redakcyę *Lwowskiej Gazety* Polskiej", rozesłano już w dniu dwudziestym ósmym lutego 1811 roku. Rozpoczynał się od słów: „Chociaż na łonie pokoju dla literatury i kunsztów nowa i piękna, przyjemne oczekiwanie wzbudzająca zajaśniała epoka, czujemy jednak w Galicyi dotychczas potrzebę peryodycznego pisma, przez któreby się obywatele o wypadkach politycznych w ogólności i o zdarzeniach w własnym kraju, w prędkim czasie i z dobrych źródeł dowiedzieć oraz współobywatelom doświadczeń i uwag swoich udzielać mogli" . . .

Pierwszy numer *Gazety Lwowskiej* ukazał się w dniu drugim kwietnia 1811 roku w formacie czwórkowym i składał się z pół-

arkusza, zawierającego wiadomości lokalne i politycz
z dwóch dodatków. Na pierwszej stronicy *Gazety*, na cz
zamieszczano w rubryce, p. t. Ze Lwowa, notatki prze
nikarskiej treści. I tak w pierwszym numerze czytamy
scu wiadomość o dyamentowem weselu mieszczańskiej pa
Jana Michała i Franciszki Wittenbaumów. Potem nastę
domości z pism wiedeńskich i z warszawskich zaczerpni
wane pod osobnymi tytulikami: Z Wiednia, Z Paryża
Z Londynu, Z Petersburga, Z Warszawy, zakończone ru
zmaite Wiadomości", po której następowały jeszcze: „I
we Lwowie" oraz „Kurs wekslów wiedeńskich". Do każd
Gazety dołączano dwa dodatki. Dla nas bardzo ważnym
półarkuszowy, oznaczony rzymską jedynką, podający ro
nomiczne i statystyczne, „do szerzenia kultury i przemy
czone". Były to w znacznej części prace, tłómaczone z p
ckich, choć od czasu do czasu trafiały się w tym dzi
oryginalne artykuły, jak n. p. komunikat gubernialny o
mysłu w Myślenickiem, spisany podczas urzędowej w
okolicy przez hr. Goessa, lub ważna rozprawa znanego
tejszego, Antoniego Rosbierskiego, o nowej ustawie cyw
spotykamy w pierwszym zaraz roczniku dobrą rozpra
Bredetzky'ego „O płodach natury i kunsztów w Galicyi."
wszakże zajęcie wywołała w szerokich kołach ziemiańs
siona przez anonima. (... Z Grzędy), kwestya zniesienia
w której to sprawie redakcya z uznania godną lojaln
szczała najrozmaitsze, odmienne wręcz zapatrywania w
tykuły, nadsełane jej z różnych stron kraju. Jeszcze
kusyę wywołał bezimienny artykuł: „O Dzierżawcach
w dniu szesnastym sierpnia t. r., a dochodzący do te
nego wniosku, iż dzierżawcy dóbr wiejskich, czyli —
czas nazywano — posesorowie — nie przynoszą ża
krajowi, a równocześnie niszczą zarówno dziedziców, ja
Poruszenie tej sprawy, obchodzącej żywo nader roz
wówczas klasę dzierżawców, wywołało namiętną *pro* i
w łamach *Gazety*, co tylko mogło wyjść na korzyść
wydawnictwa. Od czasu do czasu zamieszczała redakc
i senzacyjne wiadomości bieżące, jak n. p. opis nieza
bójstwa, popełnionego na własnej matce przez sied
młodzieńca. Widownią tej straszliwej katastrofy mi
Cmolass (?) w Tarnowskiem. W okolicy tej od dłużs
krążyły wieści o rozbojach i nocnych napadach, z cze

pani domu, by w towarzystwie służącej podejść pod okno pokoju, w którym spał siedmnastoletni jej syn. Młodzieniec, zbudzony odrywaniem okiennicy, pochwycił strzelbę. a nie otrzymawszy na trzykrotne zapytanie odpowiedzi, dał ognia do stojącej w oknie białej postaci, która śmiertelnie ugodzona, runęła na ziemię z krzykiem: „Synu! zabiłeś matkę.“ Dyskretny korespondent *(H...)* nie podał nazwisk ofiary i jej niewinnego zabójcy. Z pamiętnika Ksawerego Preka dowiadujemy się jednak, iż pierwszą była Teresa z ks. Lubomirskich Tyszkiewiczowa, drugim syn jej, Wincenty.

Prócz dodatku owego treści literacko-ekonomicznej, dołączano do każdego numeru *Gazety* obszerny, dwuarkuszowy zazwyczaj dodatek, zawierający, prócz ogłoszeń gubernialnych i magistrackich, stałą rubrykę: „Przyjechali i wyjechali ze Lwowa“, tudzież pojawiające się w pewnych odstępach czasu: Listę osób zmarłych we Lwowie, Spostrzeżenia meteorologiczne, Ceny targowe we Lwowie, wreszcie szczupły dział ogłoszeń prywatnych. Mimo pozornej oschłości treści tego działu, nie brak i tu ciekawych wiadomości dla badaczów przeszłości Lwowa. I tak z ogłoszeń urzędowych dowiedzą się czytelnicy, iż w roku 1811 gmina puszczała w trzydziestoletnią dzierżawę staw Pełczyński wraz z przyległymi gruntami pod warunkiem, iż dzierżawca wystawi tamże młyn o dwóch kołach, z twardego materyału. Równocześnie ofiarowywała na wynajm taż władza jako najodpowiedniejsze do siania koniczyny grunta pod wałem od bramy halickiej ku krakowskiej, a zatem przestrzeń, zajmującą część dolną ulicy Sobieskiego, placu Maryackiego, tudzież całą ulicę hetmańską. W dziale znów prywatnych ogłoszeń, obok częstych pochwał dla „Balsamu Chińskiego“ Vetoriniego, pojawiają się rzadko, co prawda, ogłoszenia księgarskie, z których dowiadujemy się w grudniu 1811 roku o otwarciu pierwszej w naszem mieście wypożyczalni książek Karola Wilda.

Zbyt może szeroko rozwiedliśmy się o treści pierwszego rocznika *Gazety Lwowskiej.* Ale wzmianka ta była konieczną wobec powierzchownych, ujemnych sądów o wartości tej publikacyi w pierwszych latach jej istnienia. Że zresztą *Gazeta* odpowiadała rzeczywistym potrzebom naszej publiczności — dowodem najlepszym — szybki jej i pomyślny rozwój. Widzimy to z odezwy redakcyi, oznaczonej datą siódmego czerwca t. r., w której czytamy, co następuje: *Gazeta Lwowska* takie pozyskała przyjęcie, które rzeczywiście pierze przewyższyło oczekiwanie, a jeżeli wolno jest sądzić z okoliczno- o pochwale, jaką sobie zjednać umiała, tedy pewnie jest ta, że ba prenumeratorów po wyjściu pierwszych numerów, a nawet

i wtenczas podwoiła się, kiedy te numera już były rozebrane, a cena dla nowych prenumeratorów, pomimo, że nowych numerów nie odebrali, zmniejszoną być nie mogła..." Jeżeli już mowa o prenumeracie, to nadmienić należy, że pierwotnie pobierano przedpłatę jeno za pierwszy kwartał i to w kwocie 10 złr. dla miejscowych a 11 złr. dla zamiejscowych odbiorców. Od pierwszego lipca 1811 roku podniesiono jeszcze cenę prenumeracyjną, a to do wysokości 20 złr. w bankocetlach za kwartał. Podwyżkę ową tłómaczyła redakcya znacznymi wydatkami, spowodowanymi opłacaniem korespondentów i pewnej części współpracowników, kosztami przedpłaty zagranicznych gazet, papieru i druku.

Niemało też przyczyniło się do wziętości młodego wydawnictwa ogłoszenie konkursu w dniu dwudziestym czwartym sierpnia t. r. Pod tytułem „Pytanie do rozwiązania" ogłaszała *Gazeta* dwie nagrody za napisanie najlepszej rozprawy na temat: Jakie gałęzie przemysłu, lub płody ziemi byłyby najodpowiedniejszemi w Galicyi, oraz gdzieby je zbywać należało? Nagród, ofiarowanych przez „publicznego wysokiej rangi urzędnika" — (zapewne przez gubernatora hr. Goessa) — było dwie. Pierwsza wynosiła dwieście, druga sto złr. w. w. Termin do nadsełania prac oznaczono na luty 1812 r. Szczęśliwym laureatem był superindentent Samuel Bredetzky, lecz o pracy nagrodzonej, jak niemniej o osobistości jej autora, wspomniemy obszerniej na innem miejscu. Drugą nagrodę na owym konkursie otrzymał W. Nowakowski, radca lwowskiego magistratu i dziedzic Chorostkowa.

Zdaje się, że powodzenie polskiej *Gazety Lwowskiej* skłoniło jej wydawców do podjęcia tejże publikacyi w niemieckim języku i w styczniu 1812 roku poczęła wychodzić *Lemberger Zeitung*, zasilana po części przez profesorów tutejszego uniwersytetu, zaś uzupełnieniem obu tych wydawnictw były powstałe w styczniu 1817 r. *Rozmaitości*, których twórcą i redaktorem do roku 1823 był Franciszek Kratter, kuzyn i imiennik autora *Listów o Galicyi*, zmarły jako starosta bukowiński w styczniu 1838 roku. Tygodniowy ten literacki dodatek, dołączany do sobotniego numeru *Gazety*, był przez całe lat dziesiątki jedynem pismem, dostarczającem Galicyi wiadomości z dziedziny piśmiennictwa i sztuki. Lubo więc przeważały w nim przekłady i przedruki z pism warszawskich, to jednak *Rozmaitości* spełniały poczciwie swe posłannictwo i twórcy ich należy się prawdziwe uznanie. W dniu ósmym listopada 1830 roku zgasł w domowem zaciszu Franciszek Kratter (*senior*), licząc lat siedmdziesiąt i pięć czynnego żywota.

Mimo niepospolitych zalet jako wydawca, nie wiele różnił się Kratter od reszty swych ziomków, zasiadających na uniwersyteckich katedrach, w szkołach i w urzędach. Ludzie ci — jak to słusznie zauważył dr. Ludwik Finkel w swej *Historyi Uniwersytetu Lwowskiego* — przywozili z sobą ideały sprzeczne z rozwojem narodu, z jego chęciami i dążeniami, z całem dotychczasowem życiem. Józefinizm nie mógł się podobać narodowi, którego cała przeszłość oddychała czcią dla wiary i kościoła. Chociażby zatem nie było innego rozdźwięku, ten jeden wystarczył, aby między społeczeństwem a pionierami nowego kierunku wykopać głęboki przedział. Pracując naukowo, nie pracowali dla społeczeństwa, wśród którego żyli, lecz pragnęli znaleźć posłuch przedewszystkiem nad modrym Dunajem i w Niemczech.

Wybitnym produktem twórczości literackiej, w tym właśnie kierunku czynnej, są wspomniane na czele niniejszego rozdziału *Listy o Galicyi*. Nie należy przytem zapominać, iż pisał je młodzieniec dwudziestoośmioletni, podrażniony w miłości własnej i zaledwo pół roku bawiący w kraju, który dla przybysza z zachodnich prowincyi monarchii już dla samej trudności językowej przedstawiał nader uciążliwy do zbadania teren. Zdając przeto sprawę z tej książki, pominiemy pobieżnie ujemne jej strony, ustępy, kreślone pod wpływem osobistej zawiści, lub też rażącej nieznajomości stosunków. Krytyka autora *Listów* nie jest celem naszej pracy, lecz zestawienie jego relacyi o stanie kraju.

W przedmowie do pierwszego tomu *Listów* przechwala się młody autor niezależnością swego stanowiska, które mu pozwala pisać prawdę, bez oglądania się na jakiekolwiek względy i osobistości, a oraz zapewnia nas, że jedynym celem jego pracy była chęć poprawy społecznych stosunków w Galicyi. Po tej allokucyi wprost przystępuje Kratter do omawiania spraw uniwersyteckich, których zjadliwej krytyce poświęca dziesięć rozdziałów swej książki. Datę swego przyjazdu do Lwowa kładzie na pierwsze dnie listopada 1784 r. i biorąc asumpt z obchodzonej w dniu szesnastym tegoż miesiąca uroczystości otwarcia lwowskiej wszechnicy, opisuje nam dokładnie stan gmachu uniwersyteckiego, przerobionego dość pospiesznie z dawnego trynitarskiego klasztoru. Gmach ten ciemny i ponury, dwupiątrowy — trzecie piętro zbudowano dopiero w latach 1820—1826 — mieścił w parterze, prócz mieszkań dla służby także sale sekcyjne, teatr anatomiczny, tudzież laboratorya medyczne i chemiczne, gdzie wilgoć i grzyb srodze dawały się we znaki pracującym, psując równocześnie preparaty i narzędzia. Sale wykładowe, złożone z dwóch

lub trzech dawnych cel, były bardzo wązkie i nieproporcyonalnie budowane, przyczem Kratter pozwala sobie na złośliwą uwagę tej treści, iż architekt miał raczej na oku wygodę tych, którzy zajmowali w gmachu uniwersyteckim mieszkania prywatne, aniżeli cele naukowe zakładu. Więc też przeważną część pierwszego piętra zajęły apartamenty mieszkalne, podczas gdy na drugiem piętrze pomieszczono bez ładu i składu uniwersyteckie sale wykładowe obok klas szkoły niższej, z których dolatujące krzyk i wrzawa dzieciaków nie licowały bynajmniej z powagą akademicką. Gabinet fizyczny, dzięki profesorowi Schivereckowi, przedstawiał się wcale przyzwoicie. Natomiast teatr anatomiczny oraz biblioteka, pomieszczona w potrynitarskim kościele, wykazywały bardzo poważne braki. Racyonalnemu urządzeniu księgozbioru stać miały na przeszkodzie biurokratyczne rządy władzy przełożonej, wtrącającej się we wszelkie drobiazgi i zajętej pisaniną bez końca. Ogół dzieł, znajdujących się w bibliotece uniwersyteckiej a pochodzących z biblioteki Garellich, oraz z księgozbiorów zniesionych klasztorów, miał dochodzić do pokaźnej cyfry 70.000 tomów, lecz połowę niemal książek stanowiły dzie... teologiczne, które nasz autor skazał w czambuł na zagładę. Ra... użycie tych druków na podpałkę do pieców!

Z równą niechęcią wyraża się Kratter o całym fakultecie logicznym, tudzież o poszczególnych członkach tego wydziału. ... logia" — jego zdaniem — „nie jest jeszcze tem, czem być p... Nieoparta na zasadach zdrowej filozofii, przekraczająca gran... kiego poznania, nie została dostatecznie oczyszczoną z bez... spekulacyi i obskurnych pogłębień, by mogła odpowiedzieć... wymogom naszej doby." Po takim wstępie polemizuje sze... *Listów* z publikacyą dziekana teologicznego wydziału, ... poświęconą gubernatorowi, odmawiając jej nietylko w... tości naukowej, ale i krytykując bezlitośnie tekst łaciń... Łaskawszym okazał się Kratter dla profesorów wydział... przyczem nie omieszkał zaznaczyć, że wykładający ... mieckim umiejętności polityczne Köfil liczył zazwycz... sem tylko jednego słuchacza... Równie pobieżnie ... ską działalność członków fakultetu medycznego, z... z szczególniejszą sympatyą chemika i botanika, S... stawia go jako człowieka, zajętego wyłącznie swe... dyami. Przy tej sposobności dowiadujemy się coś... we Lwowie ogrodzie botanicznym, którego urzą... Schivereck. „Na ten cel" — pisze Kratter — ... zniesionego klasztoru Dominikanek", (obszar...

dyrekcyi poczt i telegrafów), „niezbyt odległy od miasta, leżący za furtą jezuicką. Położenie ogrodu jest przyjemne. Tworzy on regularny czworobok, otoczony wysokim i silnym murem. Według planów, sporządzonych przez Schiverecka a wymagających nakładu ośmiu tysięcy złotych, będzie to jeden z najpiękniejszych i najbogatszych w okazy zakładów botanicznych w całych Niemczech. Plan ten pokazywał mi. Każdy kącik ogrodu wyzyskany został na korzyść całości, a piękne z użytecznem łączyło się tak ściśle, iż pierwsze zdawało się być następstwem drugiego. Jeżeli nie natrafi na zwykłe trudności, spowodowane wysokością kosztorysu, to Schiverecк zdobędzie sobie prawdziwą zasługę wobec państwa i szczególniejszą sławę w uczonym świecie.“

Wspomniawszy też pokrótce o Krieglu, wykładającym fizyologię i patologię, jako o najzdolniejszym profesorze uniwersytetu, piastującym równocześnie urząd dozorcy szpitala świętego Łazarza, tudzież o jego uroczej, pełnej męzkiej energii małżonce, przechodzi Kratter do grona profesorskiego na wydziale filozoficznym. O głośnym Martinowiczu, ściętym w maju 1795 r. pod zarzutem zbrodni stanu w Budapeszcie a wykładającym we Lwowie fizykę, wyraża się z pewną uszczypliwością. Natomiast nie szczędzi słów uznania dla expiara Uhlicha, który mimo szczupłych dochodów, (pobierał tylko 400 złr. rocznie), założył zaraz po swym przyjeździe do Lwowa stowarzyszenie czytelniane, oparte na tej zasadzie, iż każdy z członków towarzystwa opłacał rocznie w dwóch ratach kwotę ośmiu złotych. Za te pieniądze abonowano 32 francuskich i niemieckich wydawnictw peryodycznych, zaś po upływie roku członkowie rozlosowywali między siebie zebrane roczniki. Dla Lwowa, czerpiącego do tej pory wszelkie wiadomości jedynie z *Gazety Wiedeńskiej* i *Erlangeńskiej*, stowarzyszenie tego rodzaju było wielce pożądane i dlatego cieszyło się poparciem ze strony gubernatora. Awanturniczego bibliotekarza, Bretschneidera i tegoż pomocnika, wichrowatego labusia, kustosza Kuralta, widzimy w *Listach* przedstawionych jako ofiary niewinne utajonych jezuitów i sfanatyzowanego kleru.

Właściwy wszakże *clou* wycieczek Krattera przeciw niesympatycznym mu osobistościom w profesorskiem gronie zawiera się w rozdziałach, mieszczących w sobie rzekome anegdotki o uniwersytecie. I tak w rozdziale siódmym zarzuca wręcz dziekanowi Finsingerowi śmieszne kłamstwo i chełpienie się urojonemi koneksyami, by znów w następnym liście napiętnować Martinowicza mianem bezwstydnego blagiera. Wyśmiewa następnie pobożne praktyki, niechęć do uczonej dysputy, nieumiejętność wyrażania się w języku

łacińskim, wreszcie niefortunne, erotyczne zapały innych poszczególnych członków grona profesorskiego i występuje nader stanowczo przeciw świeżo wprowadzonym opłatom czesnego, od czego uczyniono zależną możność składania egzaminów publicznych w uniwersytecie. „Uniwersytet lwowski“ — mówi Kratter — „jest jeszcze niemowlęciem, wymagającem troskliwej, delikatnej, macierzyńskiej opieki. Wprowadzenie opłaty szkolnej stanowi dla tego dziecka pokarm, który z trudnością tylko strawi. Na fakultecie prawniczym jest zaledwo dziesięciu, na filozoficznym piętnastu płatnych słuchaczów. Na medycznym jest ich ogółem ośmiu, lecz żaden z nich nie płaci czesnego. Jeżeli zatem bezpłatni słuchacze mogą uczęszczać na wykłady, lecz nie wolno im poddawać się egzaminowi, ani też żądać wydania świadectwa od nauczyciela, potwierdzającego ich pilność i postępy — to postanowienie rzeczone nie jest niczem innem, jak tylko zagradzaniem im drogi do dalszej kreseytywy nie z powodu nieudolności, lecz z powodu niemożności uiszczenia państwu trzech złotych miesięcznie w zamian za konsens, upoważniający ich do dalszego kształcenia się.“ Do tych uwag, którym w zasadzie niepodobna odmówić słuszności, dodaje Kratter następujące, niewczesne spostrzeżenie: „Nowość ta dla Galicyi jest tem szkodliwszą, że wielu ze szlachty, posiadającej równocześnie dobra w Rzeczypospolitej, tam też oddaje synów swych na wychowanie. Tak więc konsumpcya dochodów następuje po za granicami kraju i młody szlachcic chowa się jak z d z i c z a ł y P o l a k w p o l s k o - r e p u b l i k a ń s k i c h z a s a d a c h t y r a n i i, zaś państwo opóźnia się z celami oświaty publicznej w tej klasie bardzo licznie rozgałęzionej więcej, niż o całe pokolenie.“ Tak pisał autor *Listów* w roku pańskim 1786, lecz długie lata pobytu w Galicyi wyleczyły go najprawdopodobniej z owej nienawiści wobec „zdziczałych Polaków“ ... Z równą stanowczością występował Kratter przeciw nadawaniu katedr uniwersyteckich w drodze konkursów, dających jeno pole do wynoszenia się miernotom, szukającym pomocy w intrygach pokątnych, i domagał się mianowania profesorów bezpośrednio przez samego Monarchę.

Załatwiwszy się w sposób tak bezwzględny z przedstawicielami uniwersytetu, przystępuje nasz autor do oceny sceny niemieckiej, którą po raz pierwszy poznał przy sposobności przedstawienia trajedyi profesora Zehnmarka, p. t. „Dwaj Przyjaciele“. I teatr podobnie, jak uniwersytet, nie podobał się Kratterowi. Dyrektorowi, Göttersdorfowi, odmawia nawet zdolności na przedsiębiorcę budy maryonetkowej, zaznaczając równocześnie, iż siedzi on po uszy w długach, zaś aktorów usprawiedliwia o tyle, iż pobierając płacę, niewyższą

od czeladników szewskich, od trzech do siedmiu złr. tygodniowo, nie mogą się zdobyć na coś lepszego. Teatr mieścił się w drewnianej walącej się budzie za furtą jezuicką, (dziś ulica Karola Ludwika). W czasie wielkiego postu w r. 1785 nie grywano, zaś po Wielkiej Nocy dalsze przedstawienia odbywały się pod dyrekcyą Göttersdorfa, który do spółki przyjął niejakiego Hülferdinga. Obaj dyrektorowie posiadali bardzo pokazną ilość — długów, których spłata miała nastąpić z dochodów antrepryzy... Szczegółowy rozbiór gry aktorek i aktorów ówczesnych mniej przedstawia dla nas interesu. Natomiast wielce ciekawym jest ustęp, (list czternasty), w którym znajdujemy projekt Krattera, dotyczący urządzenia teatru w miastach prowincyonalnych. Zwolennicy upaństwowienia, czy też ukrajowienia teatru dowiedzą się przy tej sposobności, że przyszły dyrektor sceny niemieckiej we Lwowie już przed stu trzynastu laty oświadczał się za objęciem zarządu teatru przez państwo. Co prawda, utrzymanie teatralnego przedsiębiorstwa nie było wówczas połączone z tak znacznymi, jak obecnie, kosztami. W projekcie swym teatralnym preliminował Kratter skład towarzystwa, z dwudziestu czterech osób złożony, w którym gaże od trzystu złotych rocznie dochodziły do tysiąca złotych. Najwyższą, bo tysiąc dwieście złotych rocznie wynoszącą płacę pobierać miał kierownik artystyczny teatru, podległy bezpośrednio władzy krajowej. Dziś za te pieniądze trudnoby dostać miernego aktora... Gorący zwolennik sceny upaństwowionej pomyślał nawet nasz autor o źródle, z którego rząd mógłby uzyskać potrzebne na cele teatralne fundusze. Tem źródłem miałyby być fundacye duchowne, bogate prebendy kapitulne, istniejące w każdej prowincyi. Użycie tych funduszów na cele teatru nie przedstawia żadnych skrupułów dla autora, który jest o tyle względnym wobec kleru, iż pozbawiwszy go w swej książce intraty, domaga się, by księżom wolno było uczęszczać na przedstawienia sceniczne.

Szkoły normalne w Galicyi wywołują u Krattera same tylko pochwały. Na czele tych instytutów stał kanonik Franciszek Hofmann, zaś dyrektorem lwowskiej szkoły normalnej był wówczas Kazimierz Wolf. Oprócz tego pracowało w szkole lwowskiej trzech nauczycieli i katecheta, które to grono było nader szczupłe, jeżeli zważymy, że do czteroklasowej szkoły tutejszej uczęszczało w roku 1785: 452 dzieci. Natomiast w gimnazyum lwowskiem było tylko 130 uczniów, (zakład ten istniał dopiero od roku 1784), zaś na kursach przygotowawczych dla nauczycieli ludowych pobierało naukę 147 osób. Tak więc liczba uczącej się młodzieży we Lwowie nie dochodziła do wysokości ośmiuset głów, choć na kursa nauczyciel-

skie — (odbywające się w lecie i trwające przez dwa miesiące) — zgłaszali się i podstarzali księża i osiwiali w zakonie mnichy. Wyliczając szkoły w miasteczkach prowincyonalnych zakładane, zaznacza pokrótce Kratter, iż gmina ormiańska w Brzeżanach sprzeciwiała się pierwiastkowo nader usilnie założeniu w tem mieście szkoły, lecz pod wpływem listu upominającego swego arcypasterza, sfolgowała w nierozsądnym tym uporze. Prócz szkoły lwowskiej istnieć miało w owym czasie w Galicyi piętnaście szkół okręgowych, tyleż miejskich, dwie główne, trzy wiejskie, cztery żeńskie i siedm żydowskich.

Stwierdziwszy zbyt powolny w rzeczy samej rozwój szkolnictwa galicyjskiego, opisuje nam autor *Listów* wcale pobieżnie granice kraju, utrzymując, iż Galicya obejmuje od 1200—1400 mil kwadratowych obszaru. Dziwna ta niepewność co do rozległości Galicyi wynikała z niedokładności dokonanych w pierwszych latach po rewindykacyi pomiarów. Wszak i uczony de Luca w wydanym w pięć lat później podręczniku geograficznym o Galicyi wykazuje najzupełniej sprzeczne pod tym względem daty. Wspomina następnie Kratter o pierwotnym podziale kraju na sześć obwodów, przemienionych w marcu 1782 r. na ośmnaście cyrkułów, i oblicza ludność Galicyi na podstawie tabel, sporządzonych w latach 1776 i 1780. W roku 1776 ludność Galicyi miała wynosić 2,580.796 głów, w cztery lata później podniosła się do cyfry: 2,797.119. Wielce pobieżnym jest także opis dziejów przedrozbiorowych Galicyi, zaś mówiąc o Rusinach, zauważył Kratter w sposób równie śmiały, jak nieprawdziwy, iż język ruski jest wielce różnym od polskiego. Ormianom zarzuca bawienie się lichewką, natomiast o Karaitach wyraża się wcale sympatycznie, twierdząc, iż w roku 1776 liczono ich zaledwo 609 głów. Smutny, choć niestety prawdziwy obraz budownictwa małomiejskiego i wiejskiego znajdujemy w rozdziale ośmnastym, lecz niepodobna nam się pisać na końcowy wywód autora, stawiającego niżej szlacheckie dwory w Galicyi od chat chłopskich w Bawaryi i w Szwabii.

Z namiętną, opartą na bałamutnych bredniach, zaciekłością występuje młody autor przeciw szlachcie galicyjskiej. — „Szlachcic galicyjski jako władca swych poddanych“ — czytamy we wstępie dwudziestego listu — „był najbardziej nieludzkim i pogardy godnym okrutnikiem.“ Postawiwszy sobie tak skrajną tezę, usiłuje ją podtrzymywać wszelkimi sposobami, czerniąc z przerażającą ignorancyą patryarchalny stosunek, istniejący wówczas między dworem a chatą. Anegdoty o dzikich wybrykach Mikołaja Kaniowskiego, powieść o traicznym losie Gertrudy Komorowskiej, wreszcie zmyślone bajki o rzekomem okrucieństwie i o chciwości biskupa-sufragana lwow-

skiego, Samuela Głowińskiego — mają służyć za dowód, wystarczający do potępienia w czambuł całego ogółu szlachty galicyjskiej. Jedynie pani Kossakowska, dzięki swemu dowcipowi, znalazła łaskę u autora *Listów*, który nawet powtórzył kilka dowcipów powszechnie jej przypisywanych. Zestawiwszy następnie szereg rozporządzeń nowego rządu, zmierzających — jego zdaniem — do ukrócenia samowoli szlacheckiej, w istocie zaś normujących stosunki poddańcze na wzór tych, jakie istniały w zachodnich prowincyach monarchii, wysławia Kratter gubernialnego radcę Korandę, jako owego pogromcę szlachty galicyjskiej. Podaje nam nawet coś nakształt biografii tego obrońcy uciśnionych, z czego się dowiadujemy, że Jan Krzysztof Koranda karyerę urzędową rozpoczynał w Czechach, zkąd w roku 1774 jako radca gubernialny przeniesiony został do Galicyi z przeznaczeniem na szefa departamentu podatkowego oraz spraw poddańczych. Nasz autor sławi go jako urzędnika, dbałego jedynie o dobro państwa, jako człowieka cichego, stroniącego od wszelkich intryg i walk partyjnych. Zkąd inąd wszakże dowiadujemy się, że Koranda zajmował się także sprawami szkolnemi i że on to był autorem słynnego referatu, który przysłany w roku 1776 do Wiednia sprawił u władz centralnych wrażenie przykrej niespodzianki...

W rozdziale, poświęconym mieszczaństwu, pomija Kratter milczeniem ważne przyczyny upadku handlu staropolskiego, wywołane ułatwieniem komunikacyi morskiej ze Wschodem, wojnami tureckiemi, szwedzkiemi, oraz napadami Tatarów i Kozaków, lecz wyłączną winę materyalnej ruiny miast naszych przypisuje szlacheckiej samowoli. Komiczne wśród tych wywodów sprawia wrażenie wzmianka tej treści, iż do rozluźnienia węzłów moralności i do zubożenia mieszczaństwa polskiego przyczyniło się służące mu prawo warzenia piwa i pędzenia wódki. Z tego przywileju nie omieszkał autor *Listów* wyprowadzić wielce fantastycznego wniosku, iż mieszczaństwo nasze rozpiło się i skutkiem tego upadło. „Obecnie najważniejsze rękodzieła“ — czytamy w rozdziale dwudziestym szóstym — „są w ręku Niemców, Ormian i Żydów. Czynny, przedsiębiorczy, nigdy nieznużony umysł niemiecki potrafił znakomicie wyzyskać polską ospałość. Kupcy, artyści, winiarze, szynkarze, browarnicy, rzeźnicy, młynarze, piekarze, szewcy i krawcy zdobyli w ciągu krótkiego czasu znaczną fortunę“ ...

Wieśniak galicyjski miał figurować w tej książce jako nieszczęśliwa ofiara wadliwych urządzeń społecznych. Tymczasem autor, widocznie najmniej obeznany z stosunkami wiejskimi, widzący chłopa prawdopodobnie tylko podczas targów tygodniowych we Lwowie.

zrobił z niego istną pokrakę, matołka zarówno pod względem fizycznym, jak moralnym. Krytykuje też niemiłosiernie włościańską gospodarkę, utrzymując, że wieśniacy trzymają bydło w szopach, pozbawionych dachu, że nie używają nawozu do użyźnienia roli, że siać nie umieją. Wieśniak galicyjski przedstawia się mu w postaci małej, chudej istoty, o twarzy żółto-bladej, ponurej. Wesołym jest tylko w stanie pijanym, co mu się zdarza z reguły na każdym jarmarku. „Tego rodzaju jarmarki“ — słowa Krattera — „odprawiają się pod Lwowem dwa razy do roku pod pałacykiem biskupów ruskich. Miasto bud, w którychby wystawiano na sprzedaż przedmioty potrzebne dla mieszczanina oraz dla wieśniaka, widać cały szereg namiotow, w których szynkują piwo, wódkę i miód. Inne budy, w których sprzedają nędzne wyroby szewskie, stolarskie i gliniane, przedstawiają w porównaniu z szynkowniami stosunek jednego do czterdziestu. A ponieważ wszystkie wyszynki, zwłaszcza wieczorem, przepełnione są po brzegi, przeto nie omylę się, twierdząc, że jeden kupujący przypada na dwustu opojów. Nie dziw przeto, że właścicielom ziemskim tak wiele zależy na tem, by mieć jarmarki po wsiach i miasteczkach. Oni i żyd zarobią na pewne 5%, podczas gdy kupiec lub rzemieślnik zaledwo procent dwudziesty zarobić jest w stanie.“

Ustęp powyższy przytoczyliśmy w dosłownem brzmieniu, gdyż jest to najstarsza, znana nam relacya o świętojurskim jarmarku, jakkolwiek Kratter przedstawił obraz ten zbyt jednostronnie. Jarmarki, odbywające się pod świętym Jurem, jeszcze w lat kilkadziesiąt później były niezmiernie ożywione pod względem handlowym. Niesłusznie więc twierdzi autor *Listów*, jakoby służyły one wyłącznie do rozpajania ludności, choć z drugiej strony niepodobna odmówić trafności jego wywodom, zmierzającym do wykazania, iż wódka i to wódka, szynkowana przez Żydów, jest głównym powodem materyalnego i moralnego upadku galicyjskiego wieśniaka.

Tomik pierwszy *Listów* zamykają dwa ustępy oddzielnej treści, opiewające szeroko i długo koleje życia Ignacego i Jana Kratterów, braci autora, zajmujących się wyszynkiem i sprzedażą wina. Dla rodziny, być może, wspomnienia owe posiadały pewną wartość, lecz w książce, przeznaczonej dla szerszej publiczności, sprawiają komiczne potroszę wrażenie.

Podobnież dziwny efekt wywołać musi u każdego czytelnika przedmowa do drugiej części *Listów*, w której autor tłómaczy się poniekąd ze zbytniej skrajności poglądów, wyrażonych w pierwszym tomie jego pracy, przyznając się otwarcie do pobieżności i doryw-

części sądu. Wyraża nawet nadzieję, iż cesarz, który w ostatnich latach szczególniejszą zwrócił uwagę na Galicyę, poczyni już w najbliższej przyszłości ważne dla kraju reformy i zastrzega się solennie przeciw możliwemu zarzutowi, jakoby potępiał w czambuł całe prawodawstwo państwowe.

Przeczytawszy ową przedmowę, z tem większem zdziwieniem zapoznajemy się z treścią trzech pierwszych rozdziałów, poświęconych krytyce duchowieństwa świeckiego i zakonnego, krytyce, pisanej w tonie tak namiętnym, zawierającej tak fantastyczne oskarżenia, iż wobec nich nie pojmujemy zgoła znaczenia eksplikacyi w słowie wstępnem wyrażonych. Przedewszystkiem zauważyć należy, iż autor ma tu na myśli duchowieństwo wiejskie, grecko katolickiego obrządku, które pod względem wykształcenia i moralności stawia na równi z prostym chłopem. Nieda się wprawdzie zaprzeczyć, że kler ówczesny, unicki, upośledzony pod względem materyalnym i towarzyskim, bardzo niewesoły przedstawiał widok. Niepodobna atoli uwierzyć opowieści Krattera o pewnym parochu, który, zaglądając za często do kieliszka, miał dopuszczać się w nietrzeźwym stanie rozmaitych wybryków. Zniecierpliwiony ciągłemi awanturami we wsi rządca tych dóbr, porwał spitego jak belę nieboraka i zawiózłszy do Lwowa, porzucił go jak kłodę bezwładnego w dziedzińcu świętojurskiej rezydencyi. Otóż biskup rozgniewany kazać miał zbatożyć winowajcę i skazać na parę tygodni do ciągnienia taczek w swym ogrodzie! Również nieprawdopodobnym wydać się musi każdemu, znającemu stosunki miejscowe, opis obrazu, przedstawiającego piekło a znajdującego się w pewnej cerkwi, zaś wręcz zmyślone jest twierdzenie Krattera o wydzierżawianiu żydom kluczów cerkiewnych przez księży. Z równą gwałtownością występuje on przeciw klasztorom męzkim, które — jego zdaniem — były gniazdem nieczystości, nieładu i sprosności. Mnichom zarzuca głównie pijaństwo bez granic, cytując na poparcie swych oskarżeń rzekome wypadki, jakie wydarzyć się miały Dominikanom w Rohatynie i lwowskim Bernardynom. W końcu napomyka nasz autor o tajnym związku, istniejącym, mimo zakazów rządowych, między klasztorami galicyjskimi a znajdującymi się w Rzeczypospolitej, skutkiem czego podczas kasaty klasztorów tutejszych znaczne sumy uwieziono za kordon. Jak wielkiemi musiały być skarby klasztorne, dowodzi okoliczność, iż trzem Trynitarzom, denuncyującym swój konwent wobec rządu, miano w nagrodę przyznać po sześćset złotych rocznej pensyi. Wylawszy całą żółć na biednych zakonników, raczył przynajmniej

przyznać autor *Listów*, iż kobiece klasztory odznaczają się czystością i porządkiem, oraz że zakonnice wiodą dość przykładne życie.

Po księżach zabrał się Kratter do żydów. Jak wiadomo, sprawy i stosunki żydowskie nie były mu obcymi, choćby z tytułu pełnionych obowiązków przy poborze opłaty od mięsa koszernego. Z widoczną przeto lubością rozwodzi się szeroko o organizacyi żydowskiego społeczeństwa przed rokiem 1785, o dyrekcyi, kahałach i sądach rabinackich, zniesionych w owym czasie cesarskim patentem. Niemniej obszernie pisze o projekcie rządowym nowej organizacyi żydów, który też w rzeczywistości przyszedł do skutku w roku 1789. Przepisy te, oddawna cofnięte, mniej nas obchodzą. Natomiast ciekawe są daty, podane w tej książce co do ilości żydów w Galicyi. I tak w roku 1776 liczono u nas 35.881 rodzin żydowskich, czyli głów 144.20 , zaś w roku 1784 cyfra ta podniosła się do wysokości 39.861 rodzin, oraz głów 159.444. Wyliczywszy z zawodową dokładnością wysokość taks. pobieranych z rozmaitych tytułów od żydów, zaznacza autor istnienie wydanego w roku 1785 zakazu, zabraniającego żydom wszelakiej arendy i wyszynków, a zarazem zapytuje rząd, co mają oni począć w kraju, tak mało rozwiniętym pod względem handlowo-przemysłowym. Z słusznem oburzeniem występuje też przeciw bezwzględnemu wydalaniu zubożałych rodzin żydowskich za kordon, gdzie ich równie nienawistne czekało przyjęcie. Z tego powodu przyklaskuje z całego serca projektowi rządowemu, planującemu urządzanie kolonii rolniczych dla żydów — (projekt ten wielce kosztowny okazał się w wykonaniu zupełnie niepraktycznym) — wyrażając arcyśmiałe przypuszczenie, że żyd, związany z rolą, przestanie być żydem. „Z tem wszystkiem“ — słowa Krattera — „żydzi nawet w naszych humanitarnych czasach są najnieszczęśliwszą, najbardziej godną pożałowania i pozbawioną pomocy warstwą społeczeństwa. Nie wolno im być na łonie ojczyzny patryotami, ani obywatelami, mimo ponoszonych na rzecz państwa ciężarów, ni też braćmi w gronie zbratanej ludzkości“ . . .

Surowej, choć nie pozbawionej pewnych podstaw, krytyce poddaje następnie autor *Listów* kolonizacyjną politykę rządu, który przeszło trzy tysiące rodzin z Niemiec przybyłych, przesiedlił na swój koszt do Galicyi. Hojne uposażenie, przyrzeczone kolonistom znęciło od razu tak znaczną ilość osadników, iż musiano ich w zimie pomieszczać w uległych kasacie klasztorach, gdzie wielu z nich zmarło skutkiem chorób epidemicznie grasujących, reszta zaś, roz próżniaczona i niezdolna do cięższych robót w polu, niewielkie n przyszłość rokowała nadzieje. Doradzał przeto Kratter rządowi, I

ólniej popierał osiedlanie się dobrych rękodzielników po mia-
i miasteczkach, oraz by zaniechał systemu tworzenia osobnych
i z przybyszów, lecz rozrzucał ich wśród istniejących osad
ich.

Niemniej ciekawymi dla nas są dwa listy. (38—39). poświę-
abrykom, istniejącym w Galicyi. Zakłady tego rodzaju policzyć
było na palcach. Najznaczniejszą z nich była fabryka tytoniu
nikach, pomieszczona zrazu we Lwowie, w dawnym domu
towym. Gdy jednak budynek ten okazał się nieodpowiednim,
siono ją w roku 1779 do zamku w Winnikach. Adaptacya
nachu na cele fabryczne kosztowała 39.000 złr. W zabudo-
fabrycznem mieściło się 36 maszyn, tnących liście, fabryka
tudzież obszerne maszyny, służące na przechowywanie liści tytoniowych oraz gotowego już tytoniu. Administracyę tabaczną wprowadzono w Galicyi w roku 1778, wydzierżawiając ją pierwotnie żydom: Mojżeszowi Honigowi i Józefowi Schrenkowi. Wszystek liść, znajdujący się w kraju, zabrano, płacąc za cetnar od pięciu do siedmiu złr. Skutkiem tak niskiej ceny produkcya tytoniu w Galicyi obniżyła się bardzo znacznie. Gdy dawniej wywożono znaczne zapasy tytoniu za granicę, to za czasów Krattera produkcya roczna tytoniu w Galicyi ograniczyła się na 36—40.000 cetnarów. Rozróżniono trzy gatunki liścia: Najlepszy był zaprucki z obwodów nad Prutem, blisko granic bukowińskich położonych, drugim co do jakości dniestrzański, sadzony w okolicach Koropca i Marjampola, trzecim podolski, pochodzący z okolic nad Seretem. W roku 1780 pobudowano drewniane, trzypiątrowe magazyny tytoniowe w Stanisławowie i w Kołomyi. Każdy z nich pomieścić mógł 24.000 cetnarów. W Czortkowie wynajęto na ten cel stary zamek starosty Sadowskiego za czynsz roczny 400 złr. Przy każdym magazynie znalazło zajęcie prócz ajenta, kontrolora i ważącego liść urzędnika pięciu do sześciu dozorców. Czysty, roczny dochód, jaki skarb pobierał z monopolu tytoniowego, wynosił przeciętnie 336.878 złr.

Drugim, znaczniejszym w kraju zakładem fabrycznym była garbarnia Fryderyka Preschla w Busku, rozwijająca się nader pomyślnie. Wyrabiała ona wszelkie rodzaje skóry, potrzebne dla wojska, oraz dla prywatnego użytku. W Lubaczowie istniała huta szklana, produkująca szkło niezbyt białe i czyste. Istniał też zamiar założenia czterech innych hut szklanych, w którym to celu zapisano z Czech siedmdziesiąt rodzin robotniczych, obznajomionych z produkcyą tego artykułu. Równocześnie założył w Kutkorzu pod Lwowem niejaki Serc młyn prochowy. Otrzymawszy przyrzeczenie rządowego zasiłku

wystawił w krótkim czasie trzy stępy prochowe. Tymczasem zwlekano z wypłatą przyobiecanej mu zaliczki w kwocie 10.000 złr. Serc nie chcąc cofnąć się ze wstydem, zaczął zaciągać pożyczki u lichwiarzy na pięćdziesiąty procent i dopiero uzyskany w Wiedniu zasiłek pięciotysięczny ocalił go od nieochybnej zguby. Skarb zakupował całą produkcyę prochu w cenie od 9—15 złr. za cetnar. Nadto rząd dostarczał saletry, oraz siarki z Lubienia. Ogół produkcyi prochu w Kutkorzu oceniano na 2.700 cetnarów. W Zaleszczykach istniała ongi fabryka sukna, zniszczona podczas konfederacyi. W ruchu były w owym czasie cztery papiernie: Pillerowska w Szkle, Binny'ego w Busku, nadto tego rodzaju przedsiębiorstwa w Nawaryi i Solikowce (?). Łączna produkcya wszystkich tych zakładów nie pokrywała i połowy potrzeb kancelaryjnych w urzędach, które sprowadzały corocznie tysiące ryz papieru z Morawii, podczas gdy z Węgier dostarczano potrzebnego papieru dla fabryki w Winnikach. W Bełzeckiem i na Pokuciu wypalano w znacznej ilości potaż. Na całem Podgórzu, a zwłaszcza w Przemyskiem, tkano grube płótna, wreszcie w górach istniały wielce prymitywne hamernie żelaza.

W parze z brakiem fabryk szedł niedostatek rękodzielników. Warsztatów, produkujących wyroby ze stali oraz galanteryjne towary, brak był zupełny. Stelmachów i kowali znaleźć można było zaledwo po miastach, podobnie jak siodlarzy. Dlatego też powozy musiano sprowadzać o setki mil z zagranicy. Na cały Lwów egzystował jeden, jedyny kapelusznik, zaś od stolarza nie można było wydostać zamówionej roboty przed upływem półrocza. Krawcy i szewcy, obsługując niedbale swą klientelę, bogacili się bardzo szybko, gdyż ceny przez nich żądane, nie pozostawały w przyzwoitym stosunku z kosztami produkcyi. Najgorzej na tem wychodziła klasa średnia, posiadająca ograniczone dochody. Rozmaite ulgi i koncesye, czynione przez rząd rzemieślnikom, osiedlającym się w Galicyi, nie zdają się Kratterowi środkiem odpowiednim, gdyż rękodzielnik zdolny i pracowity niechętnie zmienia miejsce pobytu. Natomiast doradza nasz autor rządowi, by chłopców z zakładów dla sierót i z domów dla podrzutków w Wiedniu oddawano na naukę do wzorowych majstrów, zkąd po wyzwoleniu na czeladników i po dokonaniu majstersztyku mianoby ich przesiedlać do Galicyi. W zamian za wychowanie oraz za zaliczkę, daną na koszta urządzenia warsztatu, majstrowie ci mieliby obowiązek wykształcenia jednego terminatora bezpłatnie w swem rzemiośle. W ten sposób państwo, wychowując stu majstrów, dałoby krajowi w przeciągu lat kilkunastu czterystu rękodzielników.

Kopalnie soli w Bochni i w Wieliczce zwie słusznie autor *Listów* najcelniejszymi skarbami Galicyi. Personal górniczy w Wieliczce liczyć miał w owym czasie przeszło 1.800 ludzi, zaś wywóz roczny soli do pruskiego Szląska i do Polski przenosił 150—180.000 beczek. Ogólny dochód z kopalni, już po opędzeniu kosztów produkcyi, ocenia Kratter na 400.000 złr. rocznie. Nadmieniwszy pokrótce o założonej w r. 1781 salinie pod Bajową na Pokuciu, wylicza następnie żupy znaczniejsze, (Halicz, Dobromil, Starasól, Dolina, Rożniatów, Nadwórna, Kossów), przynoszące skarbowi rocznie około 300.000 złr. czystego dochodu, poczem znów przechodzi do opisu plantacyi rheumbarbarum, założonych pod Samborem przez osadników, przybyłych z Palatynatu. Korzeń tej rośliny ważył po pięciu latach 70—80 funtów i płacił się po siedmset i ośmset złotych za cetnar. Ciekawe daty znajdujemy w liście czterdziestym drugim, omawiającym wywóz zboża z Galicyi, który przed zaborem miał być o wiele znaczniejszy. Najgłówniejszemi drogami wywozowemi były: Bug, San i Wisła, któremi dostawiano zboże do Elbląga i do Gdańska. Ponieważ jednak miejscowości, produkujące zboże w większych ilościach, były znacznie oddalone od owych dróg wodnych, przeto ziarno wieziono kołami, w zimie, do pewnych punktów zbornych, zkąd je z wiosną przy wysokim stanie wody dalej spławiano. Takimi punktami zbornymi były w Polsce położone nad Bugiem miejscowości: Hrubieszów, Horodło, Dubienka, zaś w Galicyi położone nad Sanem: Jarosław, Sieniawa, Ulanów i Chwałowice. Spławność rzek galicyjskich mogłaby, zdaniem Krattera, przyczynić się w wysokim stopniu do podniesienia zamożności kraju, lecz pomyślne załatwienie tej kwestyi wymaga pewnej swobody w działaniu dla wybitniejszych osobistości w rodzaju Sonnenfelsa, co wobec ówczesnego systemu rządowego było prawie niemożliwością.

O zakładaniu magazynów zbożowych nie myślało ani państwo, ani też nie dbały o to osoby prywatne, zaś zasoby, pozostające w posiadaniu władz wojskowych, nie mogły żadną miarą być brane w rachubę podczas klęski nieurodzaju. Tak więc we Lwowie w roku 1785 cena chleba podniosła się do niepraktykowanej dotychczas wysokości, nie mówiąc już o górskich okolicach, które nigdy nie są w stanie wyprodukowania potrzebnej ilości zboża, lecz zdobywają ją w drodze handlu zamiennego za sól. Młynów w Galicyi było podostatkiem, ale o konstrukcyi wielce prymitywnej. Jak zaś rentownym był ten przemysł we Lwowie, dowodził fakt, iż młyn odwieczny, zakupiony od żyda przez pewnego Niemca za cenę dwóch tysięcy złr., przynosił po poprawieniu urządzenia wewnętrznego tysiąc trzy-

sta złr. rocznego czynszu dzierżawnego. Od czasu do czasu trafiały się też Lwowianom niespodzianki tego rodzaju, iż w całem mieście nie można było dostać pieczywa, a restauratorowie ratowali się chlebem żołnierskim...

Chów owiec mógłby mieć w kraju szanse powodzenia, ale z wyjątkiem okolicy Zaleszczyk, gdzie przed konfederacyą barską robiono próby z zagranicznemi owcami, nie zdobył się nikt na inicyatywę w tym kierunku, w którym bardzo pożądaną byłaby akcya rządowa.

Całe dwa listy, (czterdziesty czwarty i piąty), poświęca Kratter opisowi handlu galicyjskiego. Zaznaczywszy u wstępu, że właściwych spółek handlowych u nas niema, wylicza następnie znaczniejsze domy kupieckie. Były nimi: Bözner i Hochsteter w Brodach, z którymi pozostawali w stosunku Glozer i Sp., dalej: Synowie Franciszka Laszkiewicza w Brodach i w Krakowie, Jan Fryderyk Breschel we Lwowie, Kluga Synowie w Brodach i w Krakowie, Jan Nepomucen Skrokowski we Lwowie, Rössler i Hurtig we Lwowie i w Warszawie, Floryan i Łukasz Augustynowicze we Lwowie, Jan Bogdanowicz w Stanisławowie. Firma ta była najbogatszą i trudniła się dostawą koni i mięsa dla armii. Oprócz tego istniało kilku zamożniejszych kupców żydowskich w Brodach.

Z kolei zaznacza nasz autor niekorzystny wpływ, jaki wywołały w Galicyi zakazy rządowe, dotyczące sprowadzania zagranicznych towarów. W innych prowincyach monarchii starczyła na zaspokojenie potrzeb krajowych miejscowa produkcya. U nas jednak przerachowano się fatalnie pod tym względem, uważając każdego majstra, choćby bez czeladzi pracującego, za fabrykanta. Tak więc towary, sprowadzane dawniej z Frakfurtu, z Lipska i z Gdańska, zastąpione zostały w Galicyi przez wyroby z krajów dziedzicznych austryackich w dwójnasób droższe i udzielane w Wiedniu kupcom tutejszym jedynie za gotówkę, podczas gdy dawniej użyczano im na rynkach zagranicznych znacznego kredytu. Wobec takich stosunków niedziw, iż szlachta, posiadająca dobra w Galicyi i w Polsce, przestała czynić zakupy w porze kontraktowej w Brodach lub we Lwowie, lecz nabywała wszelkie potrzebne jej artykuły w Krakowie, w Lublinie, w Dubnie i w Warszawie. Przy tej sposobności wzmiankuje Kratter o ciekawym procederze, jakiemu poddawano ruble rosyjskie, będące w obiegu we Lwowie. Oto przetapiano je i wysełano w sumie około miliona złr. rocznie do Schemnitz i Kremnitz.

Najważniejszym punktem handlowym w Galicyi były Brody, niepozorna na oko mieścina, zabudowana w przeważnej części dre-

wnianemi domostwami. Brody, zawdzięczające pomyślny rozwój rodzinie Potockich, dziedziców tego miasta, posiadały wszelkie przywileje wolnego portu, lecz zakaz sprowadzania obcych towarów podciął i handel tamtejszy, gdyż zagraniczne transporty przechodziły tylko *transito* przez tę miejscowość. Dawniej kupcy brodzcy posiadali znaczny kredyt w Frankfurcie, w Lipsku oraz na innych wielkich rynkach, skutkiem czego mogli też kredytować kupcom krajowym, zaś wprowadzanie towaru bez cła i rewizya bardzo pobieżna na komorze ułatwiały w znacznej części obroty handlowe.

Frankfurt, Lipsk i Wrocław dostarczały Brodom materyi wełnianych, jedwabnych, płócien, galanteryi, norymbergszczyzny, szychu, które zakupowano w przeważnej części do Korony i do Litwy, na Ukrainę, Wołoszczyznę, Multany, do Turcyi i do Rosyi. Z Włoch i z Styryi sprowadzano kosy, korale, jedwab farbowany. W Brodach też odbywał się handel zamienny między Rosyą a Zachodem. Herbata, korzenie, kawior szły w zamian za wyroby lipskie i wrocławskie do Polski, Litwy, Turcyi i do Niemiec, podczas gdy wyroby lewantyńskie wyprawiano z Brodów do Polski. Produkty galicyjskie, jak wosk, miód, łój, saletra, len, trasportowano ztąd do Krakowa, Wrocławia, oraz w głąb Niemiec, zaś towary korzenne sprowadzano z Gdańska, z Wrocławia, z Tryestu i z Hamburga. Cukru, kawy i pieprzu dostarczała Rosya dla Polski, Wołoszczyzny i Ukrainy.

W czasie rewindykacyi kwitnął też w Brodach handel końmi. Dwa razy do roku odbywały się tamże wielkie jarmarki, na które kupcy polscy, tureccy, wołoscy i greccy przypędzali prześliczne rumaki. Niekiedy liczba koni na jarmarku była tak znaczną, iż za postój od sztuki płacono dukata za dobę. Stajen było do sto pięćdziesiąt, a jednak połowa zaledwo koni mogła w nich znaleźć pomieszczenie. Rozmaite utrudnienia, zaprowadzone później, spowodowały upadek tych jarmarków.

Od handlu przystępuje Kratter do opisu klęski lichwy, rozwielmożnionej w Galicyi do niebywałych rozmiarów. „Wszystko tu trudni się lichwą“ — słowa czterdziestego szóstego listu — „gdyż każdemu wolno być lichwiarzem i śmiało twierdzić można, że połowa pieniędzy, będących w obiegu, pochodzi z lichwy, by z dziesiątej ręki, z setnym procentem powrócić do mieszka lichwiarskiego. Sądy i gubernium wiedzą o wszystkiem, gdyż dzieje się to jawnie. Wie o tem i wyższa władza w Wiedniu, gdyż wystarczy pobieżny rzut oka, by przewidzieć moralną zgubę połowy społeczeństwa, jako nieunikniony skutek lichwy...“ Wyliczywszy ustawy przeciw lichwie, wydane w latach 1776—1783, a nie zaradzające bynajmniej tego

rodzaju nieprawidłowościom, jak zastawianie pensyi przez urzędników, pobierających zaledwo trzysta lub czterysta złr. rocznej płacy, rozróżnia autor trzy rodzaje lichwy we Lwowie: niemiecką, ormiańską i żydowską. „Najstraszniejszą“ — słowa Krattera — „jest lichwa niemiecka, jako najbardziej rozgałęziona i najwięcej znajdująca poparcia z góry. Ormianie niemal bez wyjątku trudnią się wszelkimi rodzajami lichwy, zaś specyalnością żydów są podejścia i oszustwa.“ Z kolei opowiada nam autor kilka wypadków lichwy i kończy swe wywody, tej pladze poświęcone, następnemi słowy: „W liczbie przyczyn, dla których wszystkie ustawy, wydane przeciw lichwie, nie odnoszą zamierzonego skutku, najważniejszą jest ta, iż autor projektu owych ustaw sam pożycza pieniądze za dobrym procentem, zaś wielu z tych, którzy mają przestrzegać wykonywania ustawy, pozostają z lichwiarzami w bardzo ścisłych stosunkach“ . . .

Wobec takiego *dictum*, rozdział o gościńcach krajowych jest rodzajem spokojnego wytchnienia po tylu drażliwych kwestyach. Gościńców stosunkowo niewiele posiadała Galicya po części dla braku odpowiedniego materyału w kierunku pod budowę wskazanym, po części zaś z powodu lenistwa miejscowego robotnika, pracującego, gdyby z łaski. Dyrektorem budownictwa drogowego był we Lwowie Gross, człowiek, zdaniem autora, wykształcony w swym zawodzie i energiczny, umiejący z małymi środkami dokonywać znacznych rzeczy. Jego dziełem były mosty pod Przemyślem i Tarnowem. Długość nowo zbudowanych dróg galicyjskich wynosiła w owym czasie 80 mil.

Po tem krótkiem zboczeniu w dziedzinę budownictwa powraca Kratter do krytyki ustawodawstwa galicyjskiego, omawiając je bardziej rozwlekle, niż trafnie w trzech po sobie następujących listach. Niepodobna mu atoli odmówić słuszności w wygłoszeniu tej ogólnikowej uwagi, iż znaczna część rozporządzeń dla Galicyi wydanych odznaczała się redakcyą rozwlekłą i niejasną, podczas gdy inne znów ustawy grzeszyły nieuwzględnianiem krajowych stosunków. Niemniej słuszną jest wzmianka o loteryjnym przywileju Baratty, który dla kraju, pozbawionego fabrycznego przemysłu, o handlu słabo rozwiniętym, był klęską w całem tego pojęcia znaczeniu. Natomiast należne pochwały oddaje nasz autor ustawom o gaszeniu ognia, tudzież ustawie leśnej, przyczem napomyka o sposobie spuszczania drew, ściętych w niedostępnych lasach, za pomocą olbrzymich rynien, tudzież o bezwzględnej gospodarce lasowej, uprawianej przez posiadaczów starostw, którzy lasy swe niszczą bez litości. Jedną z głównych przyczyn, dla których ustawodawstwo galicyjskie chromało

przy każdej sposobności praktycznego zastosowania, była okoliczność, iż autorami ustaw byli ludzie najlepszej woli, lecz nieobeznani ani z moralnymi, ni też z materyalnymi warunkami rozwoju krajowego, zaś częste zmiany ustaw, odwoływanie tychże w całości lub w części, spowodowały istny zamęt pojęć legalnych wśród ogółu ludnosci.

Cztery następne listy, (51—55), poświęcone są opisowi Lwowa, który według Krattera pod względem rozrostu, ozdób i pomnożenia ludności zyskał bardzo wiele od czasu rewindykacyi i posiadał wszelkie warunki potemu, by stać się jednem z najpiękniejszych i najznaczniejszych miast monarchii. Zaznaczywszy dawną zamożność Lwowa i przyczyny jej upadku, opisuje autor smutny obraz tego miasta w roku 1772. Znaczna część domów leżała w ruinie. O porządkach publicznych nikt nie pomyślał. W mieście bruk był zaniedbany do tego stopnia, iż więcej w nim było dziur, aniżeli kamieni. Niektóre wyboje miały po trzy i cztery stopy głębokości. Śmiecie wyrzucano na ulice, gdzie też wylewano wszelkie nieczystości, zaś podczas deszczów błoto było tak znaczne, iż można było w niem po pas brodzić. Silni hajducy musieli na ulicach podpierać pańskie kolasy, gdyż inaczej wywróciłyby się w jedną lub w drugą stronę. Cesarz, bawiąc po raz pierwszy we Lwowie, ugrzązł w samem śródmieściu, mimo sześciokonnego zaprzęgu. Dla przechodu pieszych ustawione były w pewnych odstępach kamyki, po których skacząc przebywało się błoto. Kto chybił w skoku, leżał w kałuży.

Układając nowe bruki, odkryto trzy dawniejsze pokłady brukowe, pokryte błotem i gnojem, zaś elegantki lwowskie, zdenerwowane niezwykłym do tej pory w mieście turkotem, udawały się do gubernatora z prośbą, by ulice kazał wysłać słomą... Tak przynajmniej utrzymuje autor *Listów*.

Miasto jest dość regularnie zabudowane. Ulice ciągną się w prostym kierunku, a niektóre z nich posiadają dostateczną szerokość. Istnieją w mieście cztery bramy. Krakowska i Halicka leżą wprost naprzeciw siebie, zaś nowa, (bosacka) i furta jezuicka mogłyby również niewielkim kosztem zyskać połączenie w linii prostej. Najnędzniejszą ze wszystkich ulic jest żydowska, (Zarwanica). Przechodnia, idącego tą ulicą, prześladuje co parę kroków straszliwy a coraz to inny odór. Domy źle zbudowane; z niektórych sterczą tylko nagie mury. Wiele też placów świeci pustką. Rynek jest to regularny, rozległy czworobok, z pięknymi, dużymi, cztero i pięciopiątrowymi domami, zbudowanymi w prostych liniach, w dobrym stylu włoskim. Szkoda, że dodatnie wrażenie całości psuje stojący w środku ratusz, budowa niepozorna o wysokiej wieży, oraz kilka

innych brzydkich domostw. W sali ratuszowej pomieszczono areszty, więc też z okien tego gmachu zwisają łachmany, brudna bielizna, co sprawia widok wielce wstrętny dla przechodnia, zwłaszcza wobec pięknych, czysto utrzymanych budynków, naprzeciwko położonych. Czyszczenie miasta jest obowiązkiem aresztantów, odbywających tę powinność z najwyższą dowolnością. Zebrane w kupki błoto rozciągają ponownie przejeżdżające wozy i za parę godzin ulica jest tak pełną nieczystości, jak poprzednio. Wozy, wywożące śmiecie, zabierają zaledwo po kilka szufel nieczystości, z których połowę gubią po drodze, zanim wyruszą z miasta. Z połową tej liczby robotników, przy lepszym dozorze, możnaby ulice miasta zawsze utrzymać w czystości, podczas gdy obecnie — słowa Krattera — przechodzień brnąć musi w błocie, mimo całej ciżby dozorców, straży, zamiataczów i szuflarzy.

W samem śródmieściu jest ogółem siedm kościołów, z których trzy klasztorne. Kościoły: katedralny, dominikański i franciszkański, są to budowle bardzo piękne, lecz wewnątrz oszpecone nędznemi figurami i przeładowaną ozdobnością. Sposób przystrojenia kościołów jest w ogóle w Galicyi drobnostkowy i niesmaczny. Polega on na zapchaniu nawy mnóstwem ołtarzy, niezgodnych z stylem budynku, posągów niesmacznych i niezdarnych malowideł — wszystko to wśród źle umieszczonego zbytku, kapiącego od złota i kosztowności.

Na wieży ratuszowej umieszczeni trębacze żegnają dniem i nocą każdą upłynioną godzinę nieharmonijnem trąbieniem, zaś podczas adwentu i w maju dzwonią u Dominikanów codziennie o piątej rano i o siódmej wieczorem przez całą godzinę bez przerwy. Ogółem kościołów i klasztorów jest w mieście 95, mnichów i zakonnic siedmset, dwóch arcybiskupów i jeden biskup.

Tu urywa autor swą opowieść o Lwowie, by poświęcić słów kilka rezydującym w mieście tem książętom kościoła. Najszerzej rozpisał się o Sierakowskim, arcybiskupie r. k. obrządku, którego zwie Sensakowskim. Sierakowski był dawniej żołnierzem i dopiero w późniejszym wieku przywdział sukienkę duchowną. „Tryb jego życia polega na jak największem stronieniu od świata. Pomimo ogromnych dochodów, przenoszących rocznie sumę 36.000 złr., skromnym jest w wystąpieniach, umiarkowany w jadle i oszczędny w wydatkach. Umysł jego ograniczony, poprzestaje na zasadach, któremi go w młodości napojono. Niezbyt przychylny nowościom, nie popiera też zabobonów. Przynajmniej nie czyni tego tak jawnie, jak to robili i robią dziś jeszcze niektórzy biskupi i arcybiskupi. Nieczynna obojętność wobec wszystkiego i machinalne spełnianie wyższych poleceń

tworzą główne rysy jego arcypasterskiej działalności"... Przytoczyliśmy dosłownie podaną przez Krattera charakterystykę zasłużonego około lwowskiej archidyecezyi biskupa, by tym sposobem wykazać, jak powierzchownym, niechętnym jest sąd autora *Listów* we wszystkich sprawach, dotyczących kwestyi wiary i kościoła. W dziele Maurycego Dzieduszyckiego, poświęconem opisowi życia i czynów Sierakowskiego, znajdzie czytelnik prawdziwy wizerunek wielkiego biskupa.

Bardziej względnym w swym sądzie okazał się Kratter wobec przedstawicieli ormiańskiego i grecko-unickiego kościoła. O arcybiskupie ormiańskim, Augustynowiczu, wyraża się jako o poczciwym człowieku i o gorliwym kapłanie. Dochody jego roczne ocenia na dwa tysiące złr. Biskup ruski, Bielański, posiada — słowa listu — o ćwierć mili od miasta na wzgórzu wspaniałą rezydencyę wraz z klasztorem Bazyliańskim i z cerkwią, zbudowaną w stylu nowogotyckim. Widok z tej wyżyny na miasto oraz na okoliczne wzgórza jest urozmaicony i przyjemny. Poprzednik Bielańskiego był arcybiskupem, a ponieważ dyecezya jego sięgała w głąb Rzeczypospolitej, przeto i dochody miał znaczne. Obecnie wynoszą one zaledwo 10.000 złr. Bielański jest podobno przyjacielem nauk, zwłaszcza teologicznych — pisze nasz autor, drwiąc niezbyt dowcipnie zarówno z licznych dedykacyi dzieł kościelnej treści, ofiarowywanych Bielańskiemu, jak z rozmaitych szczegółów liturgicznych, praktykowanych podczas nabożeństwa w cerkwi św. Jura.

Liczba ewangelików w Galicyi wzrosła znacznie, według Krattera, od chwili immigracyi kolonistów. Ich zbór, istniejący w tyle realności Breschla, pomieścić mógł zaledwo połowę wiernych. Dlatego też gmina ewangelicka nosiła się z zamiarem zakupna któregokolwiek ze zniesionych w mieście klasztorów. Ich kaznodzieja, Hoffman, nie odznaczał się podobno szczególniejszą wymową, lecz miał być człowiekiem zacnym, pełnym tolerancyi. Reformowani tworzyli zbyt szczupłe grono, by mogli byli pomyśleć o własnym zborze i o kaznodziei.

Prócz szpitala św. Łazarza istniał szpital Szarytek, które chorych płci obojga pielęgnowały z nadzwyczajną pieczołowitością. Cesarz, zwiedzając ten zakład, tak dalece był zadowolony z wewnętrznego urządzenia tegoż, iż na rozszerzenie instytutu przeznaczył kwotę 2.000 złr. Kasa jednak przy wypłacie sumy rzeczonej Siostrom czyniła im tyle trudności, iż otrzymały dar monarszy dopiero po upływie dwóch lat.

W ogóle jednak dla ulżenia prawdziwej nędzy, w celu usunięcia żebractwa i powstrzymania próżniactwa, nie zrobiono niczego. Drzwi kościołów, bramy miejskie, ulice, oblężone były przez żebraków, którzy, wystawiając na widok publiczny swe rzeczywiste, czy też naśladowane ułomności, jękiem i krzykiem starali się wymusić datek od przechodniów. W zimie niektórzy ubodzy, pozbawieni dachu nad głową, zakopywali się dla ochrony od mrozu po szyję w gnoju, leżącym po ulicach. Mówiono, iż rząd nosił się z myślą założenia instytutu dla ubogich. Zakład tego rodzaju nie mógł atoli — zdaniem Krattera — istnieć z ofiarności publicznej w Galicyi, gdzie myśl czynnej pomocy bliźniemu nie dość jeszcze była rozpowszechnioną wśród społeczeństwa.

Po tej ekstemporacyi na temat dostojników kościoła i publicznego miłosierdzia powraca nasz autor do przerwanego opisu Lwowa.

Miasto otaczały dwa wały i rów podwójny. Przechadzka po wale, leżącym między dwoma rowami, byłaby wcale przyjemną, gdyby nie straszliwe wyziewy, wydobywające się, zwłaszcza na wiosnę i w jesieni, z wewnętrznej fosy. Poza drugim rowem ciągnął się wokoło miasta chodnik, ułożony z szerokich kamieni. Od strony ulicy posiadał on poręcze, nie zaś od strony fosy. Dlatego też używający zimą przechadzki na owym chodniku narażali się na niebezpieczeństwo upadku do fosy, która w pobliżu krakowskiej bramy była bardzo głęboką. W odstępach po kilkaset kroków otaczało miasto ośm czy dziewięć klasztorów, które, według ironicznej uwagi Krattera, miały zapewne misyę obrony mieszkańców wobec inwazyi złych duchów...

Przedmieścia były rozległe. Niektóre ciągnęły się dłużej, niż na pół mili, ale przeważnie zabudowane były małemi, niepozornemi domostwami, wśród których wznosiły się i piękniejsze budowle i ładne wille, pobudowane już w ostatnich czasach. Z pięknych ogrodów przedmiejskich wyróżniały się: ogród Jabłonowskich swemi wielkiemi, cienistemi aleami i Lonszanówka, odznaczająca się malowniczą rozmaitością położenia, pagórkami, dolinami, zaroślami i chodnikami. Ogród ten szczególniej podobał się cesarzowi Józefowi II. i ku uczczeniu jego pamięci ustawiono w tem miejscu nieudały pomnik z następującym napisem:

Josepho II.
Romanorum Imperatori
qui
XVI. Cal. Junii MDCCLXX.
agrestis viridarii hujus
varietatem visit
probavitque
Positum
a Franc. Longchamps
Leopol. Magistratus
Conciliario
VIII. Maji A. D. MDCCLXXXI.

Wprost od opisu uroczej Lonszanówki wyrusza autor do ataku na lwowską policyę, wymagającą, jego zdaniem, gruntownej reformy. Naczelnika tej władzy piętnuje mianem człowieka bez czci i charakteru, oraz skończonego opoja i lamparta. Niepodobna powtarzać ze względów przyzwoitości anegdotek, przytoczonych o tym dostojniku przez Krattera, który po tej eskapadzie rozwodzi się w wielce sentymentalnym i poetycznym ustępie nad malowniczością widoku, jaki roztacza się ze szczytu góry zamkowej. Zaledwo jednak odwrócimy kartki tego rozdziału, gdy znów spotykamy się z pikantnym tytulikiem: *Von den Ausschweifungen in Lemberg* ... Niepodobna nawet w najbardziej oględnej formie streścić obu ustępów, (listy 55—56), poświęconych opisowi rzekomej demoralizacyi lwowskiego społeczeństwa. Nadmienimy więc tylko, iż cynizm w sposobie przedstawienia sprawy i tak już z natury rzeczy drażliwej, idzie tu w parze z źle ukrytą tendencyą paszkwilowania, wymierzonego przeciw poszczególnym osobistościom, zajmującym wybitniejsze w lwowskiem towarzystwie stanowiska. Przejrzystość opisów i przytaczane początkowe zgłoski nazwisk głównie działających osób nie pozostawiają żadnych wątpliwości co do intencyi autora. Dwa te rozdziały obniżają wielce literacką wartość pracy Krattera.

Najciekawszym, choć niestety niewolnym od osobistych wycieczek, jest końcowy ustęp książki, (listy 57—63), mówiący o urzędnikach galicyjskich. Autor, lubo sam obcy w tym kraju, z całą bezwzględnością wystąpił przeciw ówczesnej biurokracyi. „Poznałem we Lwowie“ — pisze Kratter — „bardzo pilnych, zdolnych i uczciwych urzędników, lecz bardzo niewielu. Zaledwie o co dziesiątym z nich można powiedzieć, iż jest użytecznym i oddaje państwu rzeczywiste usługi.“ Po takim wstępie, niezbyt, co prawda, pochlebnym

dla stanu urzędniczego, opowiada Kratter o owych bezmyślnych manekinach biurowych, odsiadujących bez pożytku swoje godziny przy zielonym stoliku i z szczególniejszemi rozpływa się pochwałami nad sekretarzem Schmelcem, dyrektorem kancelaryi gubernialnej. Nawet pani sekretarzowa i jej konsolacya doczekały się zaszczytnej wzmianki ze strony naszego autora, który wysiliwszy się w tym liście na komplimenty, zaraz w następnym rozdziale z tem większą występuje gwałtownością przeciw niemoralności lwowskich biuralistów. „Nie potrzeba być bardzo bystrym obserwatorem“ — woła Kratter — „by wśród większości urzędników zauważyć jawny brak religii, głupią brutalność i niepohamowany pociąg do rozpusty.“ Tu znów następuje szereg obrazków z lwowskiego świata, przypominających stylem i treścią pornograficzne publikacye naszych czasów, sprzedawane w opieczętowanych kopertach. Co najwstrętniejsze sprawia wrażenie, to okoliczność, iż autor nie oszczędzał tym razem i kobiet...

Zadłużenie lwowskiej biurokracyi tłómaczy Kratter po części życiem nad stan, w czem i żony urzędników, żądne strojów i zabaw, znaczną część winy ponosiły, po części zaś łatwością kredytu, co prawda, na lichwiarskie procenty użyczanego. Domaga się przeto ustawy, by urzędnikom nie wolno było zaciągać pożyczki, przewyższającej kwotę dziesięciu złr. Zaś przeciw ewentualnemu zarzutowi, iż rozporządzenie tej treści obniżałoby powagę stanu urzędniczego wobec publiczności, broni się w ten sposób, iż mniej szkodliwy byłby ów zakaz dla opinii o urzędnikach, aniżeli ciągłe nagabywania tychże w biurze i w domu przez wierzycieli, kupców, rękodzielników, domagających się zaspokojenia ich pretensyi. Żąda nadto autor udzielania urzędnikom w razie choroby lub innego nieszczęścia zaliczek od 50—100 złr. z kasy rządowej, ściąganych następnie w drobnych ratach z płacy miesięcznej, tudzież zniesienia dodatku kwaterunkowego przy płacach urzędniczych, przenoszących sumę dwóch tysięcy złr. Oszczędzone z tego tytułu pieniądze mogłyby posłużyć na bezzwrotne zaliczki, udzielane potrzebującym urzędnikom.

Końcowy, sześćdziesiąty czwarty list, poświęcił Kratter tyle ważnej i tylekroć omawianej już za naszych czasów kwestyi bezpłatnej praktyki po urzędach, tem dziwniejszej, że kandydatów do stanu urzędniczego zasadzano zaraz z miejsca do pracy, niewymagającej żadnej praktyki, to jest do przepisywania. W ten sposób można wyrobić dobre siły pomocnicze, nie zaś wyższych urzędników. „Syn ubogich rodziców“ — słowa listu — „czy też sierota, nie może żadną miarą odbywać pięć, sześć lub siedm lat trwającej, bezpłatnej praktyki. Zadłuża się przeto na rachunek przyszłej pensyi, która

wynosi z początku dwieście złr. i już do śmierci nie oczyści się z długów. Zdolni młodzieńcy otrzymują podczas studyów stypendya, by się mogli wykształcić dla dobra państwa. W chwili jednak, gdy ukończyli szkoły i mogą stać się użytecznymi państwu, skazuje się ich na nędzę. Czyż tego rodzaju postępowanie nie jest dowodem sprzeczności w ustawodawstwie?"...

Tu koniec książki, która, mimo wielu usterek, jakie wyliczyliśmy, cennym pozostanie dokumentem, jako przyczynek do dziejów Galicyi w pierwszych latach po rewindykacyi. Kratterowi przysporzyło to dzieło wielu, jak już nadmieniliśmy, nieprzyjaciół, a nadto wywołało anonimową odpowiedź, p. t. *An Kratter, den Verfasser der Schmähbriefe über Galizien*, wydaną w tymże roku 1786 w Wiedniu u Hochleitera. Pismo to, prostujące wiele mylnych dat Krattera, niefigurujących w obecnem streszczeniu, nie przedstawia też dla nas szczególniejszego interesu. Nadmienimy więc tylko, że obszerna ta broszura, licząca sto czterdzieści i cztery strony, składa się właściwie z dwóch części, to jest z ogólnej odprawy, danej Kratterowi, tudzież z *Pisma lwowskiego teologa*, zbijającego szczegółowo zarzuty autora *Listów o Galicyi*, wymierzone przeciw fakultetowi teologicznemu, oraz przeciw naukowej działalności profesorów tego wydziału. Zwłaszcza pierwsza część broszury pisaną jest stylem ciętym, dowcipnym, zaś wielce charakterystycznym jest końcowy ustęp owej odprawy, w którym wyrzucając Kratterowi obłudną rolę skromnego turysty, jaką odegrywał podczas swego sześciomiesięcznego pobytu we Lwowie, doradza mu anonim przejażdżkę po innych krajach koronnych monarchii. Jeżeli je zdoła opisać w sposób równie drastyczny, jak to uczynił w *Listach o Galicyi*, pozyska bez wątpienia sławę pierwszego w całem państwie paszkwilisty.

Późniejszą, rzetelną pracą na niwie literackiej i dziennikarskiej okupił Kratter sowicie grzechy młodości.

III.

Pokrewny Kratterowi temperamentem, acz starszy od niego wiekiem i doświadczeniem, zdobytem w burzliwych życia kolejach, był Henryk Gotfryd Bretschneider, żołnierz, bibliotekarz, urzędnik, ajent dyplomatyczny i podróżnik, poeta i krytyk, zbieracz starych obrazów i sztychów, słowem Proteusz, przybierający najprzeróżniejsze postacie. Z życia Bretschneidera, którego działalność we Lwowie skreślił dr. Ludwik Finkel w swej *Historyi uniwersytetu*, wyjmujemy najważniejsze jeno szczegóły. Urodzony w Gera w dniu szóstym marca 1739 roku, nie zaznał w domu rodzicielskim troskliwej opieki. Ojciec, dawny oficer wojsk pruskich i saskich, nie żył z żoną; ośmioro spłodzonych przez niego dzieci wychowywało się wśród biedy i zaniedbania. Liznąwszy nieco łaciny, wyrósł Henryk Gotfryd gdyby dąbczak i już w czternastym roku życia zaciągnął się do Brylowskiego pułku szwoleżerów, załogującego w Piasecznej. Niebawem wybuchła wojna siedmioletnia, w ciągu której Bretschneider walczył na przemiany, jak się zdarzyło, po stronie saskiej i pruskiej, by w końcu jako francuzki jeniec doczekać się zawarcia pokoju w Hubertsburgu. Po długich zabiegach otrzymał posadę w służbie cywilnej, nasausko-unsingeńskiej, ożenił się, jął uzupełniać zaniedbane wykształcenie własną pracą i z powodzeniem dał się poznać na niwie literackiej, gdy po czterech latach, pozbawiony urzędu, znalazł się wraz z żoną i z dziećmi na bruku. I znów nastąpił w życiu jego okres awanturniczych przygód, gorączkowego poszukiwania posady, dającej chleb codzienny. Ciasne ramy niniejszego szkicu nie pozwalają nam na powtórzenie bajecznych niemal przygód Bretschneidera w Anglii, gdzie tułał się bez dachu i bez chleba, i we Francyi, gdzie za dorywczem wynagrodzeniem podjął się pewnych, delikatnych usług, które nie różniły się ostatecznie w niczem od pospolitego szpiegostwa. Odprawiony przez rząd francuzki

po wypełnieniu swej misyi w Niemczech, znalazł się znów bez zajęcia, a ponieważ pisanie satyrycznych romansów nie dawało utrzymania, przeto z całą skwapliwością przyjął ofiarowany mu przez barona Geblera urząd zastępcy naczelnika obwodu — w Banacie. Na tem stanowisku nie tyle zdolnościami administracyjnemi, ile znajomością i zamiłowaniem sztuki kulinarnej zdołał sobie pozyskać względy królewskiego komisarza Nitzky'ego, z którego pomocą uzyskał i rangę radcy cesarskiego i posadę bibliotekarza wszechnicy budzińskiej. Ale spokojne to zajęcie nie przypadało do usposobienia wichrowatego świeżo mianowanego radcy, który zaplątany w roboty wolnomularskie, naraził się do tego stopnia decydującym sferom, iż rychło sam się począł starać o przeniesienie do Lwowa, gdzie właśnie otwierano uniwersytet Józefiński. Odebrawszy w Wiedniu przeznaczoną dla lwowskiej wszechnicy bibliotekę, przybył w grudniu 1784 r. do Galicyi. Lwów nie sprawił na nim szczególniej korzystnego wrażenia. Takby przynajmniej wnosić należało z listu Bretschneidera, pisanego w dniu dziewiętnastym lutego 1785 roku.

„Nie widziałem jeszcze miejsca równie poświęconego rozpuście i oszustwu" — słowa naszego bibliotekarza. — „Kupcom pewnego rodzaju może tu się dobrze powodzić, gdyż każdy sprzedaje w tem mieście według własnego widzimisię i możności. Często zdarza się, że rano rzecz pewną można mieć za złotego, za którą wieczorem trzeba zapłacić dwanaście złotych. Obrzydliwy zbytek, który tu panuje, wzbogaca jeno kupców i lichwiarzy. Kto jednak uczciwie żyje, ten na równi z rozrzutnikiem bywa wyzyskiwany. Dziewek, odzianych w borsucze futerka, w czerwone kożuszki baranie, obwieszonych jedwabiem białym i purpurowym, snuje się tu tyle, że Berlin jest Jerozolimą w porównaniu z tym Babilonem. Żydzi odegrywają rolę pośredników, a szanujące się damulki, które nie krążą po ulicach, za pośrednictwem faktorów sprowadzają sobie przechodniów, jeżeli który im w oko wpadnie. *Hinc illae lacrimae*, że felczerzy, pokątni lekarze i chirurdzy mają się tak dobrze" . . .

Jeżeli jednak Lwów nie podobał się Bretschneiderowi, to nawzajem i wszechnica niezbyt była zadowoloną ze swego bibliotekarza, który miasto katalogowania i układania książek, lubił się bawić i żyć wesoło, do czego nie zbywało mu na sposobności w naszem miasteczku. Później znów dolegliwości fizyczne, choroba żony i śmierć synów podziałały tak ujemnie na usposobienie Bretschneidera, iż zaniedbywał się coraz to bardziej w pełnieniu przyjętych przez niego obowiązków i w roku 1799 za dłuższym urlopem wyjechał do Wiednia, gdzie go w dwa lata później przeniesiono w stały stan spo-

czynku z tytułem radcy dworu i z płacą 700 złr. Zmarł były bibliotekarz lwowski w dniu pierwszym listopada 1810 roku w zamku Krimitz pod Pilznem, własności hrabiego Józefa Wtrby, u którego pod koniec życia przyjął gościnę.

Liczne prace Bretschneidera, przeważnie beletrystycznej treści, poszły oddawna w zapomnienie, podobnie jak poezye jego pióra, broszury i utwory okolicznościowe. Autobiografii, której spisanie zapowiadał wielokrotnie w listach do przyjaciół, nie wykończył niestety, urywając ją już na roku 1757. Fragmenty z niej ogłosił profesor Meusel w swej książce, wydanej w roku 1816, p. t. *Vermischte Nachrichten und Bemerkungen historischen und literarischen Inhalts*, oraz w ogłoszonem w dwa lata później dziele, p. t. *Historische und Literarische Unterhaltungen*. Pewne szczegóły biograficzne znajdują się też w dziełku Bretschneidera: *Papilloten*, wydanem przez niego bezimiennie w roku 1769, wreszcie w listach jego do Fryderyka Nicolaiego, znanego wydawcy i księgarza berlińskiego, publikowanych w roku 1817 przez L. F. G. Göckinga. Z rozrzuconych tych wiadomości wyjmujemy niektóre wzmianki, dotyczące ówczesnych stosunków galicyjskich oraz osobistości, odegrywających wybitniejszą rolę w towarzystwie lwowskiem. Pod tym względem Bretschneider do pewnego stopnia uchodzić może za komentatora *Listów o Galicyi* Krattera, o których wyraża się w te słowa w piśmie do Nicolaiego z daty: Lwów, dnia 31. maja 1787: „Broszury o Galicyi, na której tytułowej karcie widnieje szubienica, nie czytaliśmy dotychczas. O jej autorze, niejakim Kratterze z Augsburga, muszę ci opowiedzieć anegdotę. Napisał on paszkwil przeciw Diezowi oraz Birkenstockowi i dał takowy do druku Hertelnowi, który tę książkę zaniósł Birkenstockowi [1]). Niebawem odbywał się na Leopoldstadzie bankiet wolnomularski. Zaproszono i Krattera na tę uroczystość, a wyrzuciwszy mu w oczy i udowodniwszy czyn podły, przez niego popełniony, oberwano mu podobnie, jak Sebaldowi [2]), kołnierz i wyrzucono go za drzwi“ . . .

Do tegoż Nicolaiego pisze Bretschneider w dniu siódmym czerwca 1786 r.: „Krattera *Listy o Galicyi* wywołały tu wielką sensacyę, a jakkolwiek w dziele tem wiele mieści się prawdy, to jednak jest w niem jeszcze więcej *Chronique scandaleuse* Lwowa,

---

[1]) W korespondencyi poufnej z Nicolaim używał Bretschneider pewnych, umówionych przezwisk na oznaczenie osób, o których wspominał. Tak więc Diez oznaczał Dietrichsteina, Birkenstock Borna, Herteln Hartla.

[2]) „Sebaldus Nothanker“, poemat Nicolaiego.

z którego powodu niejedna pani i panienka narzeka, boleśnie dotknięta przez autora. Mówiąc o uniwersytecie, jest autor stronniczym i wyraża się w sposób oszczerczy o tych, którzy nie chcieli z nim utrzymywać stosunków."

W trzy dni później, (dziesiątego czerwca t. r.), udaje się nasz bibliotekarz do Nicolaiego z prośbą o przejrzenie i o poprawienie w danym razie napisu łacińskiego, jaki miał figurować pod marmurowym biustem cesarza Józefa II., projektowanym w sali głównej księgozbioru. Inskrypcya ta opiewała, jak następuje:

Optimo Principi,
Josepho II. Augusto
Imp. Regi
qui inter tanta pro omnium salute negotia
Musas quoque alere, tueri, ornare volens
instituta Leopoli Academia
Bibliotecam Garellianam
ex Metropoli huc ferri jussit
multis voluminibus ex pulveribus
monachorum servatis
auxit publico usui dedicavit
et inde
reipublicae litterariae commoda
in hoc regno stabilivit
MDCCLXXXVI.

Niemniej ciekawą jest wiadomość, dotycząca ucieczki ze Lwowa ex-kapucyna Fesslera, profesora hermeneutyki starego testamentu w tutejszym uniwersytecie. „Profesor Fessler" — pisze Bretschneider w liście z dnia 25. lutego 1787 roku — „uznał za stosowne umknąć ztąd tajemnie. Narobił sporo długów i popełnił straszydło w postaci trajedyi *Sydney*. Rzecz tę przedstawiało grywające tu towarzystwo Toscaniego. W sztuce, w której nieustannie sobie wymyślają, przeklinają się, tudzież ze względu na wiele ustępów gorszących, jakie w niej istniały, skreśliła cenzura znaczną część tekstu. Autor jednak po wyjęciu poszczególnych kartek, znów wcielił je do rękopisu. Zapewne uda się do Berlina. Wymyśli jakiś romans i będzie się uskarżał z powodu prześladowań i tym podobnych rzeczy. Możesz mi jednak wierzyć na słowo, że niema na tem słowa prawdy. Swą *Anthologia Hebraica* pragnął sobie poprawić zachwianą reputacyę. Nie rozumię, co z tego zrobił, jak również nie pojmuję, do

czego przy pisaniu tego dzieła potrzebował książki: *Memoires de l'Academie française*, którą odemnie pożyczył"... Zkąd inąd wiemy, że stosunki między Bretschneiderem a Fesslerem nie należały do najlepszych. Bibliotekarz miał czynić tyle trudności temu profesorowi przy wydawaniu żądanych przez niego książek, iż ex-kapucyn dostał z tego powodu żółtaczki [1]). Co prawda, zajścia tego rodzaju świadczyły o niezbyt wielkiej harmonii w sferach uniwersyteckich.

Z czasów pobytu cesarza Józefa II. we Lwowie, który jadąc na spotkanie Katarzyny II. w maju 1787 roku, przez dwa tygodnie zatrzymał się w tem mieście, opowiada Bretschneider wielce charakterystyczny epizod, którego bohaterem był niejaki Goldschmidt, żyd, pochodzący ze Szlązka. Awanturnik ten z rodzaju licznych rycerzów przemysłu, zdobywających w owych czasach wpływy i pieniądze zagadkowym sposobem, zdołał pozyskać do tego stopnia zaufanie rządu, iż powierzono mu intratną posadę w zarządzie solnym z płacą roczną w sumie czterech tysięcy złotych i z tantyemą tyleż niemal wynoszącą. Otóż Goldschmidt zapragnął sławy *petit-maitre'a*. Stroił się w hafty, obwieszał się klejnotami, wciskał się do towarzystwa i nadskakiwał płci pięknej. W zimie 1786 r. udał się nawet na karnawał do Wiednia i wybierając się na redutę, przygotował sobie nader kosztowny kostyum. Nieszczęście wszakże chciało, iż na dwa dni przed terminem zabawy reumatyzm pokręcił biednego galanta do tego stopnia, iż nie mógł ani chodzić, ani też tem bardziej tańczyć. W tem strapieniu nawinął mu się jakiś pokątny lekarz, który zaaplikowaniem nadzwyczaj ostrych środków postawił chorego na nogi. Goldschmidt rad pospieszył na redutę i hasał do upadłego, ale nazajutrz obudził się z straszliwym bolem w krzyżu, na którym jęła mu wyrastać szybko narośl złośliwa. „Był już bliskim śmierci" — powiada Bretschneider — „gdy cesarz Józef, przybywszy do Lwowa, odwiedził go i nakłaniał energicznie umierającego, by się ochrzcił. Na to odparł Goldschmidt zupełnie otwarcie, iż w razie wyzdrowienia ochrzci się, lecz nie uczyni tego na wypadek śmierci, gdyż nic w ten sposób nie zyska"...

Śmierć cesarza Józefa II. w lutym 1790 roku dotknęła boleśnie Bretschneidera, który w zgasłym monarsze widział słusznie swego opiekuna i dobroczyńcę. Nosił się nawet z zamiarem napisania dziełka o tym władcy, z którym, jak twierdził, co najmniej dwanaście razy rozmawiał. „Rozważywszy jednak" — słowa listu

[1]) Fessler: Rückblicke auf meine siebzigjährige Pilgerschaft. (Leipzig. Geibel 1881). Str. 120.

do Nicolaiego, pisanego w dniu trzecim listopada 1792 roku — „iż niektóre z tych rozmów były tak oryginalne, że sam nie dałbym wiary ich opowiadaniu przez kogoś trzeciego, — postanowiłem milczeć“ ...

Natomiast okazał się nasz autor powolnym poleceniu cesarza Leopolda II., „który w pewnej sprawie posłużył się jego piórem“. W ten tajemniczy sposób chciał dać do poznania Bretschneider, iż on to był autorem wydanej w roku 1790 broszury, p. t. *Antwort eines polnischen Edelmanns in der Republik an seinen Freund in Galicien auf die Anfrage: Was von einer Vereinigung Galiciens mit Ungarn zu halten sei. (Warschau 1790).* Rozprawka ta, napisana rzekomo z polecenia cesarza Leopolda, opuściła prasy drukarskie także w polskim języku i odnosiła się do popularnej w swoim czasie wśród szlachty galicyjskiej myśli inkorporacyi tego kraju do posiadłości korony świętego Szczepana. Projekt ten powstał już w ostatnich latach rządów cesarzowej Maryi Teresy, zapewne pod wpływem przesadnych wieści o złotej wolności, jakiej zażywała szlachta węgierska. Węgrzy przyjęli z całą gotowością myśl anneksyi Galicyi, a nawet kanclerz nadworny, Esterhazy, przedłożył cesarzowi projekt odnośny do zatwierdzenia. Stanowczy wszakże opór, jaki Józef II. okazał wobec tego projektu, sprawił, iż przez czas dłuższy takowego nie poruszano. Widocznie wszakże myśl połączenia się z Węgrami odżyła ponownie w kołach galicyjskiego ziemiaństwa za rządów Leopolda II., gdy okazała się potrzeba zwalczania jej drukiem. W broszurze swej miał Bretschneider wykazać, że bliższy związek z Węgrami może być tylko niekorzystnym dla Galicyi, a zarazem ostrzedz szlachtę tutejszą, czego się może spodziewać od Węgrów ... Wielka szkoda, iż publikacya ta zaginęła bez śladu, podobnie jak wiele innych, ulotnych broszur politycznych z owych czasów.

Wspominając o Leopoldzie II., wyraża nasz autor zdziwienie z powodu, iż władzca ten tak wielkiem zaufaniem obdarzył Martinowicza, którego Bretschneider poznał dostatecznie podczas jego pobytu w uniwersytecie lwowskim w charakterze profesora fizyki. „Jest dla mnie rzeczą niepojętą“ — powiada nasz bibliotekarz — „jak taki człowiek bez wychowania, manier i politycznych wiadomości, mógł zjednać takiego monarchę, jak Leopold. Martinowicz był pospolitym, najzwyklejszym oszustem, który nawet nie był w stanie nawiązania i przeprowadzenia chytrej intrygi. Siła jego polegała jedynie na tem, iż posiadał dość stanowczości, by wytrwale upierać przy swych kłamstwach, oraz imponować decydującym swym tonem słabszym umysłom. Nie był to wyższy umysł, ale wielki kłamca,

który sam w siebie wmawiał nadzwyczajne zalety, przedstawiał się jako ważna osobistość i jednał dla siebie uznanie tam, gdzie mu wierzono. Tego rodzaju wypadki zdarzały się i u ludzi rozsądnych, jeżeli się wobec nich chełpił z rzeczy, leżących poza obrębem ich wiadomości. I tak razu pewnego chlubił się Martinowicz wobec liczniejszego towarzystwa, iż on to jest autorem *Febroniusa*. Twierdził, że sufragan Hontheim od niego otrzymał rękopis i że on, Martinowicz, sam byłby się podpisał na książce, gdyby nie był przymuszony do przebywania w granicach monarchii. Nawet wobec mnie nie wahał się twierdzić, że jest autorem książki: *Philosophie du bon sens*, napisanej przez markiza d'Argens. Ponieważ jednak nie zdołał mię w błąd wprowadzić co do swej znajomości języka francuzkiego, przeto powiedział mi najbezczelniej w świecie, że posłał tekst niemiecki do Strassburga, gdzie takowy kazał przełożyć. Chlubił się również z pozyskanych w rozmaitych akademiach nagród za prace naukowe i doprowadził wreszcie do tego, że utwory innych autorów kazał drukować pod swojem nazwiskiem. Prócz swego rodowitego języka slawońskiego, znał tylko węgierską łacinę... zaś o fizyce i mechanice wiedział tyle, ile było potrzebne profesorowi lwowskiemu. Po raz pierwszy próbował uzyskać wstęp do cesarza Józefa II., przedstawiwszy mu model młocarni, zastępującej ręczną robotę czterech młocków a obsługiwanej przez jednego człowieka. Cesarz, oglądnąwszy model, wyrzekł tylko te słowa: Któż da trzem zbędnym młockom chleb i pożywienie wraz z ich rodzinami?... Cesarz Leopold przy objęciu swych rządów uznał za stosowne używać tajnych ajentów w poszczególnych prowincyach swego państwa. Jako odpowiednie do tego indywiduum nastręczono mu Martinowicza, którego ambicyi wszakże owe zajęcie nie wystarczało. Starał się więc cesarza zapoznać z innemi swemi zaletami. Umiał pośredniczyć, rozprawiać o alchemii oraz o innych, nadprzyrodzonych sztukach i potrafił się tak dalece wkraść w łaski, iż cesarz na przedmieściu kazał mu dom wynająć na laboratoryum, z którego on często korzystał. W końcu udało się Martinowiczowi pochwycić opactwo na Węgrzech. Gdyby miał rozum i znał umiarkowanie, byłby na tem poprzestał i siedział cicho"...

Tyle o Martinowiczu, który, jako twórca i naczelnik spisku przewrotowego na Węgrzech, stracony został pod murami twierdzy budzińskiej w dniu dwudziestym maja 1795 r. Jakkolwiek z ustępu powyżej przytoczonego przebija się aż nadto wyraźnie niechęć Bretschneidera do wichrowatego opata, to jednak w każdym razie w mowie będąca charakterystyka jest cennym przyczynkiem do biografii

Martinowicza, który przez dziesięcioletnią działalność profesorską na lwowskiej wszechnicy pozyskał poniekąd prawo obywatelstwa w Galicyi.

Wśród kłopotów urzędowych i strapień rodzinnych nie stracił nigdy nasz autor humoru. Co prawda, od czasu do czasu w listach pisanych przez niego do Nicolaiego, drga chwilowo smutna nuta. Skoro jednak złe minęło, odporna natura Bretschneidera odzyskiwała przewagę nad smutkiem i ponurym na świat poglądem. Widać to z tonu odnośnej korespondencyi, w ciągu której, obok spraw literackich oraz bieżącej polityki dotyczących, przytacza też bardziej ciekawe zdarzenia z brukowej kroniki lwowskiej. W liście z dnia dwudziestego piątego grudnia 1795 roku opisuje Bretschneider fakt następujący: „Mnich, Franciszkanin z Czech, zaopatrzony przez swój konwent w pieniądze, wysłany został jako misyonarz do Turcyi. Udał się do Gdańska, zkąd przebrawszy się po świecku, przewędrował całą Polskę, by osiąść we Lwowie. Tu ożenił się, założył restauracyę i spłodziwszy kilkoro dzieci, dorobił się z czasem kapitału, wynoszącego około sześciu tysięcy. Wyrzuty sumienia, czy też inne powody sprawiły, że postanowił skorzystać ze sposobności, by rzuciwszy żonę i dzieci na bruku, powrócić do klasztoru. Podzieliwszy się pieniądzmi z żoną, udał wobec niej, że wyjeżdża w dalszą podróż, a następnie postarał się o zawiadomienie swej połowicy, jakoby umarł w Zehlendorf. Tymczasem podarł swe szaty, a sznurami skrępował sobie tak silnie ręce i nogi, by pozostały na nich widoczne ślady. Powróciwszy do klasztoru, opowiadał, że przez czas tak długi jęczał w tureckiej niewoli. I oto właśnie w chwili, gdy przejmującym głosem zakonnik ów kazał z ambony i pokazywał swe ramiona, pokrajane w bruzdy rzekomo od kajdan, przybył jeden z mych przyjaciół przypadkowo do kościoła, poznał dawnego restauratora i odwiedził go po kazaniu w jego celi. Początkowo chciał on wyprzeć się wszystkiego. Później jednak wyznał całą prawdę, a my go też nie zdradzimy“ . . .

Od tej anegdotki, której autentyczność wydaje się nam wielce wątpliwą, czas nam zwrócić się do szczupłych, niestety, wzmianek Bretschneidera o ówczesnem towarzystwie polskiem we Lwowie. Jest ich dwie zaledwo i obie odnoszą się do osoby księcia jenerała ziem podolskich, który podczas pobytu w naszem mieście zapraszał często wesołego bibliotekarza do siebie na obiady. Pierwszą wzmiankę o osobie dostojnego gospodarza znajdujemy w liście naszego autora z dnia dziesiątego listopada 1788 roku. „Pan de H—g. z towarzystwa ł a ń c u c h a przysłany został przez księcia następcę tronu duń-

skiego do Polski, celem zakupna od księcia Czartoryskiego polskich stadników dla tamtejszych stajen. Łańcuch jest towarzystwem, opartem na zasadzie wolnego mularstwa, rozpowszechnionem nietylko w Danii, ale na całej północy. Rytuał jest wielce zbliżony do wolnomularskiego, ale obywa się bez dekoracyi i strojów. Według twierdzenia H.... cały dwór należy do towarzystwa.“ Bliżej osoby księcia Adama dotyczy druga wzmianka, nosząca datę 23. kwietnia 1800 roku. „Tym razem“ — donosi Bretschneider Nicolaiemu — „piszę do ciebie głównie na zlecenie księcia Adama Czartoryskiego, który kazał cię pozdrowić w Apollinie. Chciałby on wiedzieć, co się dzieje obecnie z S. Maimonem, którego życiorys wydał nieboszczyk Maurycy. Sądzę, że książę żywi dla tego człowieka filantropijne zamiary. Gdybyś zechciał sam napisać do księcia na moje ręce, ucieszyłoby go wielce nawiązanie w ten sposób korespondencyi.“ Nie znamy odpowiedzi Nicolaiego na zaszczytną propozycyę naszego autora, z którego przesiedleniem się na stały pobyt do Wiednia, (w lipcu 1802 r.), urywają się wszelkie wzmianki o stosunkach galicyjskich, zawarte w pismach lub w listach Bretschneidera. Wprawdzie w lecie 1805 roku był exbibliotekarz w Jaworowie na weselu syna, a następnie gościł u Czartoryskich w Sieniawie, lecz z owych czasów żadne wspomnienia lub notatki nie zachowały się w jego spuściźnie literackiej.

W ogóle fragmentaryczne wiadomostki o Galicyi, rozrzucone w pismach Bretschneidera, służyć mogą jeno jako komentarz do innych autorów, zajmujących się kreśleniem tutejszych stosunków z końcem ośmnastego wieku. Szczególiki te atoli zasługiwały na przytoczenie, choćby ze względu na samą osobistość autora, tyle oryginalną w życiu i w poglądach na otaczające go społeczeństwo. Z drobnych cegiełek powstają wielkie gmachy. Nie należy przeto pogardzać i marnymi na oko drobiazgami, które pominięte przepadają bez śladu, podczas gdy zachowane od niepamięci, niejednokrotnie służyć mogą do charakterystyki danej osobistości, czy też dla wyjaśnienia poważnych niekiedy wątpliwości.

IV.

Oryginałem też nielada był Baltazar Hacquet, uczony badacz, podróżnik i profesor „specyalnej historyi naturalnej“ w lwowskim uniwersytecie. Bretończyk z urodzenia, (ujrzał światło dzienne w Le Conquet w r. 1739), uczył się w Rennes i w Pont à Mousson, gdzie uzyskał stopień doktora filozofii, a następnie w Montpelier i w Paryżu uczęszczał na wykłady medyczne. W czasie wojny siedmioletniej służył jako młodszy lekarz w armii austryackiej. Mianowany starszym chirurgiem wojskowego szpitala w Pradze, zwrócił pracami naukowemi na siebie uwagę van Swietena, który wyrobił mu katedrę anatomii i chirurgii w liceum lublańskiem, zkąd w roku 1788 dostał się Hacquet do Lwowa, powołany do wykładu nauk przyrodniczych dla medyków. Na wszechnicy lwowskiej czynnym był do roku 1805 i przeniesiony następnie do Krakowa, usunął się od obowiązków profesorskich po pięcioletniej działalności, by w Wiedniu oddać się bez przeszkody naukowym pracom. Ożeniwszy się w późniejszym wieku, postradał małżonkę po krótkiem pożyciu, a smierć zaskoczyła sędziwego uczonego właśnie w chwili, gdy wybierał się z powrotem w rodzinne strony, (d. 16. stycznia 1815 r.).

Szorstki, bezwzględny, o żelaznej wytrwałości w podjętej pracy charakter Bretończyka znalazł w Hacquecie typowego przedstawiciela. Drażniony w drobnych sprawach przez kolegów, nie dorównywujących mu ani wiedzą, ni też energią i pracowitością, odpłacał się im Hacquet pięknem za nadobne, występując przeciwko nim niekiedy w sposób aż nadto jaskrawy. Trudno wszakże przypuścić, by posuwał się w swej zawziętości aż do denuncyacyi kolegów wobec władzy wyższej, o co go obwinia Bretschneider w swych wspomnieniach. Nie poprzestając na studyach książkowych oraz na doświadczeniach w gabinecie czynionych, odbywał Hacquet rok rocznie w czasie feryi piesze wycieczki po kraju, których rezultatem były

liczne opisy naukowe, ogłaszane w językach: niemieckim, francuzkim i łacińskim. Dobry przyrodnik, biegły etnograf, obserwator bystry, nie poprzestaje Hacquet na relacyach ściśle przyrodniczej natury z swych podróży. Interesują go nietylko przyroda, ale i ludność odnośnych okolic oraz warunki, w jakich żyła. Spostrzeżenia swe wypowiada jasno, bez ogródki, nie krępując się jakimikolwiek względami.

Galicya zawdzięcza mu obszerny, naukowy opis gór karpackich, nieustępujący pod względem literackiej wartości pomnikowemu dziełu Staszyca, a słuszność każe nam wyznać, że ów cudzoziemiec przystępował do podjętego dzieła z całą sumiennością zapalonego badacza i z prawdziwym, rzec można, pietyzmem dla zamierzonej pracy. Przestudyował bowiem nietylko odnośną literaturę, lecz zanim wybrał się w góry, starał się, o ile możności, zapoznać z językiem krajowym, by nie paść, jak wielu innych, pseudouczonych turystów, ofiarą złej woli lub nieświadomości dorywczo spotykanych tłómaczów, wprowadzających niejednokrotnie w błąd nie znających miejscowego języka podróżników.

Dzieło Hacqueta, Galicyi dotyczące, nosi tytuł: *Neueste physikalisch-politische Reisen durch die Dacischen und Sarmatischen oder nördlichen Karpathen* i obejmuje cztery części, wydane w Norymberdze, u Raspa, w latach 1790—1796. Część pierwsza, która się ukazała w handlu księgarskim w roku 1790, zawiera sprawozdanie z podróży Hacqueta, odbytej w latach 1788—1789. Uczony nasz badacz rozpoczął swój opis od miejsca, na którem poprzednik jego Fichtel, autor dzieła o skamieniałościach w Siedmiogrodzie, pracę swoją przerwał. Idąc od wschodu ku zachodowi, rozpoczyna przeto Hacquet podróżniczą swą relacyę od górnych Multan, by zaraz w drugim rozdziale znaleźć się pod Okopami nad Dniestrem. W Okopach znalazł jeszcze ślady dawnej warowni, resztki fos i bram. W doliny Podola zawiodła naszego badacza, zajmującego się w pierwszym rzędzie Karpatami, okoliczność, iż rząd nosił się wówczas z zamiarem założenia w kraju fabryki krzesiwa i w tym celu zalecał mu zwiedzenie tej prowincyi, obfitującej w wyborne okazy krzemienia. W ciągu tych poszukiwań musiał Hacquet niejedną noc spędzić pod gołem niebem. Nadto okradziono go co do grosza i skaleczył się boleśnie w nogę. Ale drobne te nieprzyjemności nie przerwały rozpoczętych badań upartego Bretończyka, który na Skałę, gdzie jeszcze sterczały resztki starego zameczyska, posuwał się ku Zaleszczykom, badając po drodze nader troskliwie teren w celu wyszukania odpowiednich pokładów krzemienia. Zaleszczyki pięknością

swego położenia wywarły na nim nader korzystne wrażenie. Od Zaleszczyk zwrócił się na północ i na Ułaszkowce przybył do Buczacza. Miasteczko, położone w dolinie między górami, przerznięte bystrą strugą, było ongi otoczone warownymi murami i posiadało zamek obronny na górze. Wówczas te warownie leżały już w gruzach z wyjątkiem ratusza, przedstawiającego ośmiokąt, zachowanego w dobrym stanie, oraz kilku kościołów. Wśród ludności miejscowej przeważał żywioł żydowski. W Niżniowie zwiedzał Hacquet główny magazyn wyprodukowanego w kraju krzesiwa, założony w gmachu poklasztornym. Zastał tam kapitana artyleryi wraz z trzema szeregowcami, którzy nauczali włościan, jak należy przyrządzać skałki dla wojska. W ciągu pół roku obrobiono około sześćdziesiąt tysięcy dobrych skałek, nie licząc trzydziestu tysięcy wybrakowanych. Na uwagę Hacqueta, uczynioną kapitanowi, że na początek zbyt surowo postępuje przy gatunkowaniu przedstawianych mu wyrobów i że w ten sposób może zniechęcić pracujących włościan, odparł tenże z żołnierską stanowczością, iż tylko bezwzględnem postępowaniem można przyzwyczaić polskiego chłopa do dokładności w robocie. Praktyka wszakże wykazała, że pan kapitan się mylił. Mimo wysokiej ceny za wyborowe skałki, chłopi byliby oddawna porzucili robotę, gdyby nie okoliczność, że kupowano od nich także wybrakowane krzesiwa, choć po cenie bardzo niskiej.

Zebrawszy dostateczny materyał do swej relacyi o krzemieniu galicyjskim, pospieszył Hacquet na Horodenkę i Śniatyn, Czerniowce ku górom bukowińskim. W Śniatynie mieścił się wówczas główny szpital wojsk cesarskich, pozostających pod komendą księcia Koburga. Szpital był to budynek drewniany, dobrze urządzony. Chorych traktowano o wiele lepiej, niż to miało miejsce podczas siedmioletniej wojny, „gdzie tylu lekarzy tak znacznym kosztem utrzymywano“ — słowa autora. — „Ale jako świadek naoczny wiem, jak mało robili ci ludzie. Pobierali znaczne płace, raz na dzień pojawiali się w szpitalu i pozostawiali chorych na łasce nieumiejętnych felczerów. I dziś jeszcze ludzie ci nie są takimi, jakimi być powinni, ale za taką płacę i traktowanie, jak obecnie, nie można się spodziewać czegoś lepszego“ . . .

Czerniowce, stolica Bukowiny, tworzącej wówczas jeden z cyrkułów galicyjskich, były małem miasteczkiem, liczącem sześćset do do siedmiuset drewnianych domostw. Budynki murowane zaczęły dopiero powstawać pod rządem austryackim. W Czerniowcach była siedziba cyrkułu, greckiego biskupa z Radowiec oraz komenderującego jenerała. Załogę wojskową tworzył batalion garnizonowego pułku,

złożony z starych, niezdolnych do polowej służby żołnierzy. Mimo to inwalidzi ci — właśnie za bytności Hacqueta w tych stronach — stawili w okolicy Rohiatyna (?) mężny opór nadciągającym Tatarom. Licząc zaledwie czterystu ludzi w szeregach, przy pomocy dwóch armatek, nietylko odparli znacznie silniejszego nieprzyjaciela, ale nadto położyli trupem pięćset przeciwnika. W Czerniowcach zabawił Hacquet zaledwo jeden dzień, poczem przeprawiwszy się przez Seret pod Komarką, zwiedził cesarski zakład stadniczy w Wikowie, gdzie zimą stało zazwyczaj dwieście do trzysta koni, wypędzanych latem na paszę w połoninach. Na podgórzu karpackiem istniało kilka źródeł słonych, *(Slatina de la Lubonka, de la Runk de la Bachna)*, których rząd nie eksploatował, pozostawiając wolny ich użytek okolicznej ludności. Wody z tych źródlisk używano dla bydła oraz do innych potrzeb gospodarskich. U źródeł Suczawy istniały wielkie przestrzenie, zarosłe brzozowymi gajami, w których ludność okoliczna wypalała smołę, niszcząc przytem nielitościwie drzewa. Posuwając się wsród gór w kierunku południowo-zachodnim, natrafił Hacquet na zgliszcza spalonej stadarni rządowej, służącej w porze wiosennej i jesiennej na pomieszczenie koni, pasących się na połoninach. Stadarnię podpaliła zbrodnicza ręka dla zatarcia śladów morderstwa, popełnionego na osobach kilku stacyonowanych tamże kawalerzystów, z których jeden zdradził się w karczmie z posiadaniem trzydziestu dukatów w złocie. Zrazu myślano, że pożar był przypadkowy, oraz że nieszczęśliwi podusili się wśród snu. Bliższe jednak dochodzenie wykryło, że kości żołnierzy znalazły się nie w sypialni, lecz w sieni. Znaleziono nadto wśród zgliszczów drobne srebrne pieniążki, a nawet guziki od uniformów żołnierskich, lecz dukaty przepadły bez śladu. Ta właśnie okoliczność utwierdziła władze w przekonaniu, że mordercy po obrabowaniu swych ofiar podpalili gmach dla zatarcia śladu zbrodni. Tego rodzaju wypadki nie były niestety rzadkością wśród tamtejszej ludności.

Przybywszy do źródeł Putny, zatrzymał się nasz uczony w monasterze tegoż nazwiska, warownym gdyby forteca a zamieszkałym przez dwudziestu mnichów, których celki przytykały do muru obwodowego, podczas gdy zdobna w kopuły cerkiew murowana wznosiła się w samym środku otoczonej murem przestrzeni. Ściany cerkwi i od strony zewnętrznej pokrywały niezliczone malowidła, przedstawiające świętych oraz niebo i piekło. Wszystkie figury na tych obrazach posiadały długie, brodate oblicza, tudzież korpusy i nogi o kształtach szarańczy. Hacquet zapytywał towarzyszących mu mnichów o znaczenie poszczególnych scen, ale niewiele mógł się od nich

dowiedzieć. Stanąwszy przeto przed obrazem, przedstawiającym drabinę Jakóbową, postanowił sobie zakpić z oprowadzającego go ihumena i zapytał go, poco aniołowie schodzili po drabinie, mając skrzydła do latania? Zapytany odparł, iż nie wie, dlaczego się to stało, a na szyderczą uwagę Hacqueta. iż zapewne sen patryarchy przypadł w czasie, gdy aniołom skrzydła się wypierzyły, dodał ihumen najspokojniej w świecie: Bardzo to być może!...

W cerkwi, pokrytej i wewnątrz jaskrawemi malowidłami, spoczywały zwłoki hospodara multańskiego, Stefana, synów jego, tudzież hospodarowej, Maryi, szczególnej dobrodziejki monasteru. Zwłoki ich złożone były w kamiennych trumnach, zdobnych w napisy, brzmiące w mołdawskim języku. Z napisów tych wynikało, że hospodar Stefan zmarł już przed 294 laty. Napróżno dopytywał się uczony profesor o bibliotekę klasztorną. Konwent, jeden z najznaczniejszych i najstarszych w kraju, nie posiadał żadnego księgozbioru, prócz ksiąg liturgicznych... Klasztor ten za rządów Józefińskich, ograniczony w dochodach, posiadał ongi znaczne intraty i własnych poddanych, z którymi wcale nie po chrześciańsku się obchodził. Kilkaset batów, wędzenie w dymie lub polewanie nagiego ciała w trzaskające mrozy zimną wodą — były to kary, zwykle praktykowane za przewinienia poddanych klasztoru! Co prawda i ludność tamtejsza zasługiwała na bezwzględne postępowanie. „Pewnego dnia do przyjaciela mego, sędziego w Fratauz“ — pisze Hacquet — „przyprowadzono chłopca, który motyką pokaleczył ze złości konia sąsiada. Chłopak został skazany na pięćdziesiąt rózeg, które miano mu wyliczyć *ad posteriora*. Skazany obojętnie wysłuchał wyroku, ale z wściekłością bronił się wobec pachołków, którzy go chcieli położyć na ławkę. Ci, podrażnieni jego oporem, zamknęli go w dyby i poczęli mu wyliczać razy tak potężne, że już po dwudziestym drugim kiju krew zaczęła tryskać. Bity nie prosił o łaskę, jeno przeklinał na całe gardło sędziego. Po czterdziestym kiju zamilkł. Sądziłem, że mu się źle zrobiło, lub też, że zginie pod plagami, i prosiłem jako lekarz o zaniechanie chłosty, ponieważ skazany, wpadłszy w stan epileptyczny, może umrzeć. Usłuchano mnie, odwiązano chłopaka, ja zaś kazałem mu przynieść wina i wody. Jakżeż byłem zdziwiony, gdy winowajca podskoczył ze złością, wdział spodnie i obrzuciwszy pachołków przekleństwami, umknął gdyby strzała. Teraz wszyscy obecni śmieli się z mej dobroci, gdyż już przedtem ostrzegali mię, że taka kara nic nie znaczy dla Wołocha!“...

Opodal od klasztoru wznosiła się naga skała z grotą, wykutą rękami ludzkiemi. Towarzysze Hacqueta opowiadali mu z wielkim

pietyzmem, iż ongi mieszkańcem tej jaskini był anachoreta Tomasz, który czynił cuda i przepowiadał przyszłość. Opowieść ta nie znalazła wierzącego słuchacza w naszym profesorze, który z Putny wyruszył w dalszą drogę do Radowiec, nędznej podówczas osady, z niewielu domostw złożonej, a położonej wśród bagnistej równiny. Małą, niepozorną cerkiew otaczał mur, w obrębie którego mieściła się również nędzna rezydencya biskupia. Biskup, zamieszkały stale w Czerniowcach, utrzymywał w tej mieścinie kilku urzędników i popów. Nadto przebywało w Radowcach kilka rodzin bojarskich, które się tam schroniły przed Tatarami, pustoszącymi Multany. W około Radowiec rozciągała się nader żyzna dolina, na której z dóbr pozaklasztornych powstała własność skarbowa, tak zwane państwo Fratautz. Założono tam świeżo kolonię niemiecką, złożoną z szesnastu osadników. Olbrzymim obszarem, zajmującym kilka mil kwadratowych, zawiadowało kilku urzędników, obarczonych nadto niepotrzebną pisaniną. Nie dziw przeto, że dochód roczny z tych dóbr wynosił zaledwo sześć tysięcy złotych rocznie, gdy przy najlichszej administracyi powinien był dać sumę przynajmniej dwudziestu tysięcy.

Dalej na południe leżał klasztor Suczawica zwany, który wraz z Putnańskim monasterem jedyny w całym kraju ocalał. Urządzenie monasteru było takie same, jak w Putnie. Podobne też malowidła zdobiły mury cerkwi i nie wszystkie odznaczały się budującą treścią. Artysta chcąc przedstawić rozpustę, malował pozycye *à la Sanchez*. Mnichów w monasterze było dwudziestu, ale ani śladu księgozbioru.

Za Suczawicą w górach znajdowały się źródła słone, *(Slatina di la plica, Slatina di la plosi)*, przy których urządzono małą żupę; pracowało w niej dwóch ludzi, czerpiących wodę ze źródła i suszących sól, pozostałą w panwi po wyparowaniu wody. Na wschód od tych źródeł istniały trzy inne wśród lasów, *(Slatiora, Trestiny, Porteczie)*, przy których również produkowano sól w drobnych ilościach. Robotnicy żywili się przeważnie zwierzyną, której była moc nieprzebrana. Sarna kosztowała w tych stronach dwadzieścia par, jeleń sześćdziesiąt.

W monasterze Sołce, zamożnym dawniej i ludnym, zastał Hacquet magazyn dla wojsk cesarskich, stojących w tureckich Multanach. Obok monasteru istniała główna warzelnia soli na Bukowinie, *(Slatina mara)*. Z dwu źródeł czerpano kieratem konnym wodę do kotłów, produkujących co dwa tygodnie 357 cetnarów soli, sprzedawanej w tak zwanych hurmanach w kraju i na Ukrainę. Kierownik tamtejszej warzelni miał również obowiązek odbierania

złota od cyganów, trudniących się wypłukiwaniem ziaren tego kruszcu w Bystrzycy. Z powodu świeżego napadu opryszków, którzy zrabowali stojące na uboczu w Sołce domostwo, odradzano naszemu turyście dalszą w góry wędrówkę. Ale odważny profesor posiadał trzech dobrze uzbrojonych towarzyszy i nie dał się odwieść od projektowanej wycieczki. Na Humorę, gdzie w zniesionym monasterze urządzono piekarnię wojskową, przybył do Arbosy, gdzie również założono kolonię niemiecką, której ludność w razie napadu nieprzyjaciela zwykła była uciekać do pobliskich lasów. W ogóle w lasach w około Sołki spotykał Hacquet liczne gromady wychodźców z Multan i z Besarabii, szukających schronienia wraz z dobytkiem przed uciskiem tureckim. Biedni ci ludzie już od czterech miesięcy błądzili po lasach, ukrywając się przed wojskami tureckiemi.

Przeprawiwszy się przez Durlę, dotarł nasz badacz do kolonii niemieckiej Satulmare, gdzie nienajlepsze panowały stosunki między krajowcami a osadnikami, niepokojącymi ich w posiadaniu gruntów. Szkody wyrządzone wynagrodził krajowcom przybyły właśnie komisarz rządowy, który równocześnie zapowiedział kolonistom, by nie drażnili Wołochów na przyszłość, gdyż w razie rozruchu nie przepuszczą oni i płodowi, będącemu jeszcze w żywocie matki. Wzdłuż rzeki Suczawy ciągnęły się urodzajne pola i łąki, zaś na południowym jej brzegu powstała nowa kolonia, założona dla Szeklerów i Węgrów, którzy ongi wyemigrowali z Siedmiogrodu, a obecnie po części powrócili z Multan i z Besarabii w granice państwa austryackiego. Kolonie węgierskie nie wiele różniły się od niemieckich. Wzdłuż drogi długim sznurem ciągnęły się domy kolonistów, przegrodzone jedne od drugich ogrodami, zaś całość osady otaczał płot z bramą na noc zamykaną. Mimo znacznych korzyści materyalnych i ulg rozmaitych, koloniści węgierscy nie cieszyli się dobrą sławą u rządu, który każdego dnia mógł się spodziewać, że zastanie osadę, założoną tak znacznym nakładem, opuszczoną przez kolonistów, przywykłych do ciągłych wędrówek. Dlatego też przyjmowano do osady z liczby emigrantów jeno takich, którzy przybywali z inwentarzem i własnym kosztem budowali sobie domy, zaś Hacquet z całą stanowczością występuje w obronie wydanych przez Józefa II. ustaw o wychodźtwie, karcąc surowo nieznanego autora ogłoszonej w roku 1785 broszury, p. t. *Ein Vertheidiger des Volks an Kaiser Joseph den Zweiten.*

W tem miejscu musimy przerwać opowieść Hacqueta dla wyjaśnienia ważnej pod każdym względem kwestyi, jaką była ustawa antiemigracyjna, publikowana w sierpniu 1784 roku. Emigrowanie

z kraju bez pozwolenia władzy zostało surowo zabronione, a to pod groźbą konfiskaty majątku. W razie, gdy wychodźcą był ksiądz lub szlachcic, w ogóle osoba wolna według ustaw ówczesnych od pełnienia służby wojskowej, wówczas sąd wzywał go trzykrotnie do powrotu publicznemi ogłoszeniami. Gdy wezwany nie wracał, mienie jego przechodziło na własność skarbu. Jeżeli jednak wychodźcą był poddany, wówczas zarządzała władza bezzwłocznie śledztwo, płacąc donoszącemu pięć złotych, zaś temu, który zbiega chwytał, dziesięć złotych nagrody. Surowe też kary groziły tak zwanym wykoczownikom, którzy namawiali krajowych rzemieślników do osiedlania się za granicami monarchii. Skazywano ich na dziesięcioletnie, publiczne roboty.

Według Hacqueta, przy wydaniu tak surowych przepisów przeciw wychodźtwu rząd miał na myśli wyłącznie względy ekonomiczne. Nam się jednak zdaje, że znacznie wpłynęły na publikacyę w mowie będących przepisów także względy militarnej natury. Werbowników, namawiających poddanych do służby w obcych szeregach, wieszano bez pardonu, zaś mienie uciekających przed branką przechodziło na własność skarbu, a nadto namawiający do ucieczki zdatnego do wojska człowieka, sam za karę musiał go zastąpić. Mimo to obawa przed służbą w cesarskich szeregach musiała być przyczyną licznego zbiegostwa, jeżeli i w maju 1788 roku i w kwietniu 1789 roku ogłosić musiano jeneralny pardon dla dezerterów z armii, wojującej przeciw Turkom, pod warunkiem powrotu pod broń w przeciągu roku.

Po tem wyjaśnieniu treści i celu ustaw antiemigracyjnych, powróćmy do opowieści Hacqueta, który opisuje nam kolonie: Fogoiszten, Istenszegesz i Andrasfalva, położone na równinie między Suczawą a Mołdawą. Między Suczawą a Seretem istniały nadto węgierskie kolonie: Hadik i Joseffalwa, z których wszakże trzecia część osadników, nawykła do wędrownego życia, uciekła. Koloniści pozostali mieli się dobrze, ale pracowitością nie grzeszyli, wylegując się po całych dniach w cieniu, z fajką w zębach.

Tuż pod miasteczkiem Seretem leżała miejscowość zwana: Święty Onufry. Pod cerkwią, pozostającą pod wezwaniem tego Świętego, biło źródełko siarczane, z którego wodę, jako cudowny środek przeciw wyrzutom skórnym, czerpała ludność okoliczna. Miasteczko Seret, leżące nad rzeką tegoż nazwiska, składało się z kilkuset domostw i kilku cerkwi. O dawnej świetności tej osady zdawały się świadczyć rozwaliny kościoła oraz innych gmachów, datujących się z czasów Kumańskich. W Serecie wielu bojarów posiadało swe re-

zydencye. W jednej z nich zrobił Hacquet ciekawe spostrzeżenie, iż rodzice sześciorga dzieci, sami posiadający cerę jasną, dochowali się potomstwa tak śniadego, jak cyganie. Na pytanie naszego badacza, odpowiedziała mu matka, że dzieci przychodzą na świat białe, lecz później płeć ich czernieje pod wpływem karmienia przez mamkę, cygankę. Kobiety tamtejsze w podziw wprowadzały pracowitego profesora — swą bezczynnością. Po całych dniach pokładały się na sofach, popijając kawę i bawiąc się rozmową. Będąc w stanie odmiennym, nie używają wcale ruchu, a jednak są zdrowe i połóg odbywają z nadzwyczajną łatwością, wydając na świat dzieci prawidłowo rozwinięte.

W Serecie zetknął się niespodziewanie nasz badacz z ówczesnym Następcą Tronu, późniejszym Cesarzem Franciszkiem I., który objeżdżając granice państwa, zamierzył przy tej sposobności zwiedzić blokadę Chocimu. Arcyksięciu towarzyszył szczupły jeno orszak. Mimo to zapytał dostojny podróżnik Hacqueta:

— *Comment est-ce que Vous vous tirès d'affair dans ces contrès ?*

— *Si je fus un prince, j'aurai à risquer, mais dans l'etat, ou je me trouve, presque rien* — odparł szorstki Bretończyk.

Osada Filiponów czyli Lipowanów w Białej Krynicy zwróciła szczególniejszą uwagę Hacqueta, zwącego owych sekciarzy obłudnikami i fanatykami, chcącymi udawać to, czem nie są. Używają tylko statków z lipowego, białego drzewa, (ztąd ich nazwa: Lipowanie). Duchownych sami wybierają ze swego grona i używają codziennie ciepłych kąpieli. Do roku ośm razy tylko jadają mięso, nie piją żadnych, gorących trunków i nie palą tytoniu. Kryją się z obrzędami swymi religijnymi, utrudniając obcym dostęp na te ceremonie, które są też nieznane profanom. Dzieci chrzczą dopiero wtedy, gdy przychodzą do samopoznania. Przekleństwa, bijatyka, porwanie się do broni i przelew krwi uważane są przez nich jako najcięższe zbrodnie. Mimo pozornej skromności są wszakże Filiponi w swojem gronie wielkimi rozpustnikami, a wobec ciekawych natrętów nie trudno im posunąć się do gwałtu. Lipowanie przybyli do krajów cesarskich z nad brzegów Czarnego morza w roku 1784, mając zapewnioną wolność wyznania, uwolnienie od służby wojskowej, wreszcie zwolnienie od wszelkich podatków na całe dwudziestolecie. Zapomogi rządowej nie dano im wcale, gdyż przybyli do kraju jako ludzie zasobni.

Suczawa, ongi rezydencya hospodarów multańskich, leżąca w ruinie, smutne wywarła wrażenie na naszym podróżniku. W kilset drewnianych domostwach mieściła się garstka ludności ormiań-

skiej i żydowskiej, która w lipcu 1788 roku, podczas bytności Hacqueta w tem mieście, umknęła przed napadem Tatarów. Suczawa była wówczas tak wyludnioną, iż nigdzie nie można było znaleźć przyzwoitego pomieszczenia. Wśród nędznych domostw sterczały ostatki murów i leżących w ruinie wież oraz świątyń. Z tych zabytków wnosząc, Suczawa musiała być ongi wielkiem miastem. Liczyła około siedmdziesiąt do ośmdziesiąt kościołów. Później już wiedziono tamże znaczny handel zamienny wyrobami kuśnierskimi między Węgrami i Siedmiogrodem a Rosyą. Przed miastem, od strony zachodniej, istniały oszańcowania, wśród których wznosiły się zabudowania cerkiewne, bronione ongi przez mnichów podczas nieprzyjacielskich napadów. Opodal stał obozem nieliczny korpus wojsk cesarskich, dla obrony miasta wobec ewentualnej inkursyi tatarskiej. Na wyżynie od strony południowo-zachodniej wznosił się dawny monaster świętego Ilii, obok którego biły źródła, zaopatrujące Suczawę w wyborną wodę do picia. W Iliczestie był również monaster, którego ihumen piastował zarazem godność archimandryty całych, górnych Multan. Z chwilą zajęcia kraju przez wojska cesarskie był nim niejaki Mileti, człowiek zdolny, którego też mianowano jeneralnym wikarym. Ponieważ jednak ów świeżo kreowany dostojnik prowadził życie dość niemoralne, (w klasztorze utrzymywał sobie harem) — i rozrzutne, przeto też nie czekając chwili zamknięcia monasteru i składania rachunków, umknął wraz z znaczniejszą sumką pieniężną do jednego z klasztorów multańskich.

W górach za Pożowicą istniała od lat kilku huta, w której topiono rudę żelazną, wydobywaną w Wallia Cheru pod Dorna Watra oraz w dalszych okolicach. Podobna huta istniała w Jacobeni, gdzie bliskość lasów, położenie nad zasobną w wodę strugą, wreszcie dostatek rudy na miejscu, zapewniały zakładowi pomyślny rozwój, tem bardziej, że taniość artykułów żywności w tych stronach była bajeczna. Brakło tylko odpowiednich robotników, których dostarczenie połączone było z wielkiemi trudnościami. W Złotej Bystrzycy, zasilającej wodą hutę w Jacobeny, płukali cyganie w górnym biegu rzeki złoto, lecz za bytności Hacqueta już tylko jedna rodzina cygańska zajmowała się tym procederem, prowadzonym w sposób arcyprymitywny, praktykowany również na Węgrzech i w Siedmiogrodzie. Szufla, deska z poprzecznemi nacięciami i niecka, były jej jedynem narzędziem. A ponieważ i rząd za pezetę złota, (90 granów), płacił tylko 2 złr. 50 kr., niedziw przeto, że wypłukiwane w nielicznych zresztą ilościach złoto sprzedawali cyganie przeważnie za granicę.

Zwiedziwszy jeszcze połoniny Łuczyny, należące do skarbu Radowieckiego, i poświęciwszy obszerniejszą wzmiankę pasącej się tamże stadninie rządowej, złożonej z koni rasy tatarskiej, sprowadzanych z gór astrachańskich i kaukazkich, zwrócił się nasz podróżnik na północ, ku Czeremoszowi, dzielącemu Pokucie od Bukowiny. W Putylli, na Bukowinie, uderzyła go wielka ilość mieszkańców, dotkniętych zarazą syfilityczną. Była to pamiątka po wojskach rosyjskich, ongi konsystujących w tych stronach. I pod względem moralnym górale ci przedstawiali ujemny widok, choć rząd oprócz zakładania szpitalów dla zarażonych, starał się wszelkimi sposobami przyzwyczaić dawnych opryszków do pracy. Trafiali się wprawdzie wśród nich bogacze, mający dwadzieścia do trzydzieści tysięcy majątku, zarobionego na handlu końmi, ale ci krezusi żyli w równie prosty sposób, jak ich biedni sąsiedzi, poprzestając na tem, że od czasu do czasu zalewali się gorzałką do woli.

Przebywszy nie bez niebezpieczeństwa Czeremosz, zwiedził Hacquet Kuty, zachwycając się prześlicznym widokiem, jaki ztamtąd się roztacza ku północnemu wschodowi. O kwadrans drogi od Kut istniała żupa solna, produkująca w sześciu małych kotłach 6.000—9.000 cetnarów soli. Większa żupa o dwunastu kotłach czynną była w Kossowie, wyrabiając rocznie 9.000—12.000 cetnarów warzonki, podczas gdy żupa w Pistyniu dostarczała rocznie 8.000 cetnarów. Z siedmiu źródeł w Utoropach można było wyprodukować do sześćdziesięciu tysięcy cetnarów soli rocznie, ale dla braku zbytu nie produkowano tak znacznej ilości. Żupy w Jabłonowie i w Peczeniżynie dostarczały: pierwsza dziesięć tysięcy, druga tysiąc cetnarów rocznie. Kołomyję zaliczył Hacquet do znaczniejszych miasteczek polskich i ubolewał, że wszystko w tej miejscowości przeszło w ręce żydowskie. Na Łanczyn udał się nasz podróżnik do Delatyna, obfitującego w znaczną ilość źródeł słonych, przy których istniały mniejsze lub większe warzelnie. Najsilniejsze źródło biło w samym Delatynie. Ogółem produkowano w żupach delatyńskich do dwudziestu tysięcy cetnarów warzonki w ciągu roku. Główny urząd górniczy na całe Pokucie znajdował się wszakże w Nadwórnie, w okolicy której czynne były również pomniejsze żupy.

Stanisławów malowniczością i zdrowotnością położenia oraz obfitością zdrowej wody do picia zasłużył sobie na pochwały Hacqueta. Warownie tamtejsze, niezbyt jeszcze stare, budowane według systemu Vaubana, groziły już w wielu miejscach ruiną, ponieważ rząd łożył tylko na utrzymanie fortec granicznych. Jadąc ze Stanisławowa ku Kałuszowi, zauważył profesor osadę Landestreu, zaludnioną przez

osadników z cesarstwa niemieckiego. Na pięćdziesiąt do sześćdziesięciu domów dobrze zbudowanych przypadło kilka próżnych, gdyż osadzeni w nich koloniści — uciekli. Gmina ta nie posiadała jeszcze zboru, a funkcye duchowne pełnił w niej nauczyciel. Funkcyonaryusza tego poznał Hacquet w izbie gościnnej w Kałuszu, gdzie ów przybysz z Palatynatu, zakrapiający się z widoczną lubością żytniową wódką, stoczył zaciętą dysputę z pewnym zakonnikiem na temat przystępności Pisma świętego dla katolickiego ogółu. A jakkolwiek uczony lwowski nieszczególny żywił szacunek wobec księżej sukni, to jednak przyznał dzielnemu mnichowi zwycięztwo w tej osobliwszej rozprawie.

W tem miejscu Hacquet daje folgę swym pessymistycznym poglądom na ogół niemieckich kolonistów, przesiedlonych do Galicyi i na Bukowinę z nadreńskich okolic. Był to, jego zdaniem, lud karłowaty i hultajski, przywykły do rozpustnego życia, przybyły do kraju w tej błogiej nadziei, że jedynem jego zadaniem jest: rozmnażanie się. „Ta obca kolonizacya“ — słowa Hacqueta — „szkodliwa dla kraju i dla monarchy, kosztowała już przeszło dwa miliony. Nigdy z niej rząd nie będzie miał korzyści, choćby nawet w formie procentów, gdy kapitał przepadł bezpowrotnie.“ Tu wspomina autor o głośnym w swoim czasie procesie kolonistów z żółkiewskiego cyrkułu, którzy wyłudziwszy od rządu sumę ośmiu tysięcy złotych rzekomo na uprawę *rheumbarbarum*, uciekli wraz z dojrzałemi już roślinami do Polski.

Zacytowana przez Hacqueta publikacya, p. t. *Berlinische Monatschrift*, podaje w r. 1789 szczegółowy opis tej ciekawej sprawy, której głównymi bohaterami byli koloniści, przybyli z Palatynatu: Jakób Brinckman, Sebastyan Bosch, Baltazar Magsamen, Marcin Resch, tudzież osadnicy: Paweł Bernard, Herman Uhl, Filip Rubin i Wawrzyniec Gabel, wszyscy zamieszkali w Mierzwicy pod Kulikowem. Zmarnowawszy skarbowe pieniądze, powierzone im na kulturę *rheumbarbarum*, postanowili pomysłowi ci przebysze umknąć jakimkolwiek sposobem w rodzinne strony. A że władza miała ich na oku, zaś granica pilnie była strzeżoną, przeto koloniści, nie grzeszący — jak się to okazało — nawet t. z. chłopskim rozumem, dali się wyzyskać pospolitej, ruskiej babie, niejakiej Jędrzejowej ze Skwarzawy, która wyłudziwszy od nich resztki pieniędzy, uwodziła ich obietnicami bajecznego króla Mykity, przyrzekającego kolonistów obsypać złotem i przenieść ich w ciągu jednej doby nad Ren. Gdy przyszło wszakże do spełnienia wspaniałomyślnej owej obietnicy,

Mykita skrewił i biedacy, próbując ucieczki na własnych nogach, znaleźli się na ławie oskarżonych [1]).

„Mógłbym opowiedzieć“ — słowa Hacqueta — „więcej wypadków, gdzie dano bez żadnej korzyści zaliczki rzemieślnikom, artystom i fabrykantom, którzy, straciwszy pieniądze, zeszli na dziady ku ciężarowi i pośmiewisku Polaków.“ Od niekorzystnego sądu o obcych osadnikach wyjmuje wszakże autor Menonitów oraz niektórych deistów, którzy pozornie przyjąwszy katolicyzm, oddawali się rolnictwu i — być może — z obawy przed prześladowaniami, jakie ich w innych prowincyach spotkać mogły, okazywali się pożytecznymi dla kraju obywatelami.

Ostatnia żupa na Pokuciu — opowiada nasz autor w dalszym opisie swej podróży — mieściła się w Kałuszu, wytwarzając rocznie ośm do dziesięciu tysięcy cetnarów warzonki. Ogółem było w kraju dziewiętnaście wielkich warzelni, nie licząc pomniejszych zakładów tego rodzaju, które zamykano po części dla nieumiejętności racyonalnego exploatowania tychże, po części zaś z powodu braku drzewa opałowego.

Dotarłszy do Halicza, wywodzi Hacquet nazwę tej miejscowości od greckiego słowa: ἅλς, (sól), twierdząc, iż przed wiekami musiano w tem miejscu odkryć pierwsze źródła solne, później zaginione. Przy tej sposobności dowiadujemy się o bajeczce, jakoby król Kazimierz Wielki, zajmując Ruś, kazał w jednym dniu zniszczyć wszystkie dokumenty i akty procesowe, znalezione we Lwowie i w Haliczu. Opowiedziawszy tę anegdotkę, dodaje łaskawie nasz autor, iż czyn podobny nie jest wprawdzie legalnym, lecz staje się koniecznym tam, gdzie procedura sądowa nie może się wydostać z manowców formalistycznych. Wspomniawszy o Haliczu, nie mógł naturalnie pominąć milczeniem uczony lwowski Karaitów, a zaznaczywszy, iż sekciarze ci, uprawiający rolę, pożytecznymi są dla kraju, uderza z całą stanowczością na żydów, zwąc ich najnędzniejszym, najbiedniejszym, najbrudniejszym i najgłupszym — z wyjątkiem zmysłu do oszukaństwa — narodem w tym kraju. Nigdy jeszcze żaden naród nie stał się do tego stopnia uciążliwym państwu, jak właśnie żydzi, a przecież zarazem jest to najbardziej pożałowania godna rasa ludzka na świecie. Dowodzi następnie Hacquet, że wszelkie opłaty i ciężary, nakładane specyalnie na żydów, nie odpowiadają swemu celowi, gdyż utrzymanie odnośnej administracyi pożera

[1]) „Der König Mikita“. Eine ganz neue Geistergeschichte. (Berlinische Monatsschrift. — Berlin 1789. — B. XIII. S. 522—550).

wszelkie dochody z tego źródła płynące, zaś każdy nowy podatek na żydów nałożony, pobudza ich do tem większych oszustw wobec chrześciańskiego społeczeństwa. Doradza przeto Hacquet użycie środków przymusowych przeciw żydom, a mianowicie ogłoszenie zakazu: noszenia odrębnego stroju, golenia głów i noszenia brody, używania żargonu, trzymania sług chrześciańskich, odprawy publicznej religijnych obrządków. W razie zaś, gdyby ci „wyrodki ludzkości“ nie okazali się posłusznymi, skazuje ich nasz autor na wymarcie, pozwalając tylko pierworodnym synom na zawieranie małżeństw, podczas gdy dzieci nieślubne, żydowskie, odbierałyby wychowanie chrześciańskie w publicznych ochronkach. Dla niepoznaki każe im uczony przyrodnik zmieniać nazwiska, nie daje wszakże żadnej rady, co czynić należy z tyle wybitnemi fizyonomiami nawróconych przymusowo semitów?...

Wszystkie wyliczone powyżej środki przymusowe nie są — zdaniem autora — cięższymi od obowiązków, pełnionych codziennie przez żołnierzy. „Wiele pisano za i przeciw żydom“ — mówi Hacquet — „czytałem prawie wszystko, ale to się nie odnosi do żyda galicyjskiego. Kto go zna, obok niego mieszka, ten z pewnością przemówi inaczej, niż to miało miejsce dotychczas. Trudno opisać, jakie on szkody wyrządza? Żyd jest w Polsce pośrednikiem między panem a poddanym, oszukując jednego i drugiego. Dzierżawi w Galicyi wszystkie monopole i szynki na wsi, gdyż odnośne zakazy [1]) stniały jeno na papierze. A wszelkie okoliczności łagodzące, podnoszone przez finansistów, broniących żydów, mijały się o tyle z prawdą, że każda podwyżka opłat, ściąganych od starozakonnych, przynosiła państwu jeno straty, gdyż grosz ten zdobywali kontrybuenci w drodze wyzysku bliźnich, nie trudniąc się sami ani rolnictwem, ani też przemysłem.“

Załatwiwszy się w tak stanowczy sposób z żydami, kończy Hacquet część pierwszą swej pracy wywodami, mającymi stwierdzić prawdziwość postawionej przez niego hipotezy o ciągłości nieprzerwanej pokładów solnych wzdłuż stoków karpackich, począwszy od Wołoszczyzny a skończywszy na górnym Szlązku.

Tom drugi *Podróży* Hacqueta opuścił prasy drukarskie w roku 1791 i niewiele przedstawia materyału dla badacza stosunków galicyjskich, gdyż w przeważnej części zawiera relacye z wycieczki autora, odbytej w roku 1789 po raji Chocimskiej, po Multanach

---

[1]) Zakaz dzierżawy szynków, myt, młynów i t. d. został wydany w r. 1784.

i Siedmiogrodzie. Krótkie wzmianki o Galicyi znajdują się jedynie w początkowym i w końcowym rozdziale książki.

Od Halicza mianowicie zwrócił się Hacquet podczas swej podróży, odbywanej w roku 1788, na północ. Pokłady pięknego alabastru, rozciągające się pod Meduchą, nasunęły mu pod pióro wymowne refleksye na temat militaryzmu, dławiącego już wówczas dobrobyt, i co za tem idzie, rozwój sztuki w przeważnej części państw europejskich, zaś w Nowosielcach zajął się nasz uczony szczegółowem zbadaniem bijących tamże źródeł siarczanych, używanych z korzyścią przez ludność okoliczną. Złoczów z swym warownym zameczkiem doczekał się u Hacqueta kilkowierszowej wzmianki. Żydzi mieli w Złoczowie przewagę, zamieszkując obszerne place, podczas gdy ludność chrześciańska tłoczyła się w pobocznych uliczkach. Przeważnie też żydowskiem miastem było wolne miasto Brody, nazwane przez naszego autora polską Jerozolimą. Miasto było zabudowane drewnianemi domostwami i liczyło czternaście do szesnastu tysięcy żydowskiej ludności, żyjącej z „oszukańczego handlu". Przeważna część tych żydów jest ubogą, choć nie brak między nimi i takich, którzy mają po pół miliona i więcej majątku. Brody wraz z warownym zamkiem były tymczasowo własnością rodziny Potockich. Tu tłómaczy się autor z użycia wyrazu: tymczasowo, twierdząc, że szlachta galicyjska, podobnie jak to miało miejsce w całej Europie, podupadła znacznie, tak, iż dobra ziemskie nieustannie zmieniały właścicieli. Przyczyny materyalnego upadku szlachty upatruje autor w rozradzaniu się członków tego stanu, w braku rządności i w wydatkach, jakie pociągał za sobą militaryzm. Nie mając zamiaru zwiedzania Wołynia, zwrócił się Hacquet z Brodów w kierunku południowym, zatrzymując się chwilowo w Zborowie. Miejscowość ta, niegdyś znaczna, przedstawiała w owym czasie widok nędznej wioski. I Tarnopol, siedziba cyrkułu, był małem miasteczkiem, w którem zamek i obszerny staw zwracały jedynie uwagę podróżnika. Sumy z tarnopolskiego stawu miały ustaloną sławę na targu rybnym. Żydów tamtejszych uważa nasz autor jako najdorodniejszych w całym kraju. Zwłaszcza żydówki wpadły w oko poważnemu przyrodnikowi, który, zwiedziwszy nieznaczne źródła siarczane, bijące w okolicy Mielnicy, Trembowli i Mikuliniec, notuje z oburzeniem fakt wymordowania całej rodziny żydowskiej w Mielnicy, złożonej z siedmiu osób, popełniony przez nieznanych sprawców na czas krótki przed jego przyjazdem. Ponieważ zbrodnia nie została popełnioną w celu rabunku, przeto Hacquet przypuszcza, że pobudką tego krwawego czynu była zemsta. Plantacye tytoniu, istniejące w okolicach

Czortkowa oraz w innych miejscowościach na Podolu, dały znów powód naszemu badaczowi do wystąpienia z ostrą krytyką bezwzględnego postępowania władz tabacznych, odbierających liście tytoniowe i sortujących takowe. „Można sobie wyobrazić“ — pisze Hacquet — „co się dzieje podczas rozgatunkowywania liści, przyczem tylko kupujący, nie zaś sprzedający ma głos i dezycyę. Przeciw licznym nieprawidłowościom podnosiły się częste skargi ze strony biednych włościan. Rząd pragnąc kres położyć niesprawiedliwemu postępowaniu, wyznaczył komisarza dla kontroli w każdym obwodzie. Ale to zarządzenie nie wiele pomogło pokrzywdzonym, nawet w razie obecności komisarza podczas rozgatunkowywania, gdyż tenże najczęściej wcale nie rozumiał się na rzeczy. Obecnie jest w tym celu sześciu zaprzysiężonych świadków w każdej gminie, co na pozór wpływa korzystnie.“

Na tej uwadze urywa Hacquet swą opowieść o Galicyi, udając się wzdłuż brzegu Dniestru w dalszą podróż po Multanach, Wołoszczyźnie i Siedmiogrodzie. Relacya ta nie wchodzi w zakres niniejszego streszczenia. Niepodobna nam wszakże pominąć milczeniem poruszonej w tej części książki kwestyi ormiańskiej. Ormianie handlowali końmi zarówno w Mołdawii, jak na Bukowinie i w Galicyi. Sympatyą naszego autora nie cieszyli się wcale ci przemyślni przybysze z pod Araratu, których Hacquet uważał jako bardziej jeszcze szkodliwych dla kraju, aniżeli żydów. Twierdzenie swe starał się udowodnić tym argumentem, iż Ormianin jako chrześcianin śmielszym jest i znaczniejszych od żyda używa wolności. Jako zamożniejszy, może udzielać na czas dłuższy kredytu, skutkiem czego mienie pożyczającego staje się jego własnoscią, a mając większe od żyda potrzeby, większych też pragnie zysków. Włócząc się niestrudzenie wśród gór i po równinach, zakupowali Ormianie za byle co od chłopów cielęta i barany a nawet skórki bydlęce. Siano i zboże przechodziły na ich własność jeszcze przed pokosem i żniwami. Dzierżawili też Ormianie dobra, gdzie tylko mogli, dzierżąc w ten sposób monopol jak najobszerniejszy. Procenty, pobierane przez nich, wynosiły od dwudziestu pięciu do stu od sta. Chytrość ormiańska odstraszała nawet najbardziej wyrafinowanych żydów od wdawania się z nimi w interesa, gdyż jeden Ormianin oszuka — jak twierdzono — sześciu żydów. Na szczęście dla kraju, konkludował Hacquet, liczba Ormian znacznie się zmniejszyła skutkiem małżeństw mięszanych. „Zresztą są oni o wiele oszczędniejsi, aniżeli Polacy, powściągliwi w wydatkach, nie skłonni do wybryków i religijni. Duchowieństwo

ormiańskie prowadzi się bardzo dobrze i uchodzi w Galicyi za wzorowe."

Z Siedmiogrodu i z Bukowiny powrócił Hacquet pod koniec lata 1789 roku na podgórze Pokuckie, celem ponownego zwiedzenia tamtejszych salin. Nie chcąc nużyć czytelnika powtarzaniem znanych mu już szczegółów, nadmienimy tylko, że niestrudzony podróżnik badał tym razem szczegółowo żupy w Kossowie, w Pistyniu, w Utoropach, w Peczeniżynie, w Łanczynie, w Delatynie i w Krasnej, nie licząc pomniejszych warzelni. Przegląd ten nie wypadł bynajmniej na korzyść odnośnych zarządów. Zaznaczywszy zasługi Menza, powołanego zaraz po rewindykacyi Galicyi do administracyi salinarnej w tym kraju i odwołanego przedwcześnie, zwraca Hacquet uwagę sfer decydujących na najważniejsze — jego zdaniem — braki w zarządzie żupniczym. Doradza mianowicie: większą oszczędność drzewa przy ogrzewaniu warzelni, dokładniejsze próbowanie żoły a zarazem połączenie administracyi salinarnej z administracyą dóbr kameralnych, dostarczających paliwa do żup. Sądzi również, że nie należy wydzierżawiać łąk i pastwisk, znajdujących się w sąsiedztwie żup, żydom, pobierającym po pięć krajcarów i więcej postójnego na dobę od każdej sztuki bydła pociągowego. Był to wyzysk szalony, jeżeli się zważy, że przybywający po sól z Polski i z Ukrainy furmani musieli niekiedy sześć lub ośm tygodni czekać, zanim otrzymali z kolei żądaną ilość warzonki. Żądaniem podwyżki płacy dla urzędników salinarnych kończy Hacquet część drugą swej pracy, aby w tomie trzecim zająć się szczególniej etnograficznym opisem Galicyi, od Pokucia począwszy.

Zanim wszakże zapoznamy czytelnika z treścią tej części książki Hacqueta, zawierającą relacye autora z lat 1791—1793, a wydanej w roku 1794, zwrócić musimy jego uwagę na wielce charakterystyczny ustęp przedmowy, opiewający jak następuje: „Na Galicyę należy się zapatrywać" — pisze Hacquet — „jak gdyby na nowo odkrytą dla monarchii austryackiej wyspę, dokąd zrazu wszystko spieszyło, mięszając się do administracyi, często źle zrozumianej przez mieszkańców. Tak więc zrobiono więcej złego, niż dobrego, i dotychczas forma rządowa nie ustaliła się w tej prowincyi. Nie obyło się bez tego, że często zdaleka zarządzano takie rzeczy, które nie powinny były mieć miejsca, a jednak przemocą miały być przeprowadzane. Podobnie też zdarzały się wypadki, że bardziej jeszcze pobłażano tam, gdzie należało w istocie postąpić surowo. W ten sposób popsuto służących i poddanych, z czego powstał cały szereg wad, którym bardzo trudno zapobiec. Dwukrotnie rząd wysyłał swych

najlepszych lekarzy politycznych — za takich ich przynajmniej uważano — celem położenia tamy tej epidemii nieporządku, ale napróżno, gdyż dobre jego chęci spełzły na niczem. Nie pozostaje przeto nic innego, jak wszystko przekształcić i na świeżej podstawie na nowo rozpocząć robotę. O ile się zdaje, przy rewindykacyi tej prowincyi stracono z oczu cel główny, przepomniano o przyswojeniu sobie ludności słowiańskiej za pomocą szkoły, procedury sądowej i rozkwaterowania wojsk. W pierwszym kierunku załatwiono rzecz połowicznie, w drugim nie uczyniono nic zgoła, pozostawiając barbarzyńską łacinę, której Niemiec nie rozumie wcale a Polak zaledwo połowę. Kwaterunek wojskowy mógł wielce przyczynić się do cywilizacyi narodu, gdyby użyto w tym celu pułków niemieckich. Nie uczyniono jednak tego i nasłano do kraju ludzi, którzy swem barbarzyństwem, dumą i brakiem wykształcenia bardziej jeszcze podburzyli mieszkańców kraju przeciw. rządowi, miasto ich pozyskać dla tego ostatniego. A jednak było to rzeczą tem łatwiejszą, ileże ludność krajową w przeważnej części uwolniono od ucisku arystokratycznego. Wymienione powyżej uchybienia i fałszywi rzecznicy, których wysełano do kraju, niezawsze uważając na ich charakter — (tak przynajmniej czynili Rzymianie w świeżo zdobytych prowincyach) — utrzymali w państwie pierwiastek różnorodności, objawiający się w powstaniach szlachty, tlejących w popiele. Do tego przyczynił się i zarząd z znacznej odległości prowincyą, w której naczelnik rządu ma tak małą władzę, zaś wykonawcy rozkazów monarszych nie znają kraju, ni też ludności. Niejedno państwo doświadczyło tego na sobie, że kto inny na jego niekorzyść zbierał plony“ . . .

Ustęp powyższy przytoczyliśmy na dowód, jak często teorya, niepoparta praktycznem doświadczeniem, do mylnych wiedzie wniosków. Hacquet, człowiek wolnomyślny, nie mający żadnych cech wspólnych z nienawistną krajowi biurokracyą, w germanizacyi Galicyi za pomocą szkół, procedury i — kwaterunku wojskowego, upatruje pomyślną przyszłość tej prowincyi! Jak z tego widać, że uczoność i zdolność polityczna nie zawsze zwykły z sobą chadzać w parze.

Od Halicza rozpoczyna znów Hacquet opis swych wędrówek w tomie trzecim, starając się ponownie udowodnić, że nazwa tej miejscowości wywodzi się od starogreckiej nazwy soli i na stwierdzenie swej hipotezy przypomina podobne nazwy miejscowości, jak Hallein w Salcburgskiem, Hallstadt w Górnej Austryi, Reichenhall w Bawaryi. Opowiedziawszy następnie pierwiastkowe dzieje Halicza, czyni nasz autor Polakom graniczący z naiwnością zarzut, iż nie sta-

starali się ochraniać Rusi Czerwonej wobec napadów tatarskich, tureckich i szwedzkich. Snać bojowa przeszłość Galicyi, zasianej mogiłami, w których śpią snem wiekuistym skrzydlaci tej krainy obrońcy, obcą była uczonemu przyrodnikowi, który z równą niesłusznością obwinia tutejszą szlachtę i duchowieństwo o bezprzykładne znęcanie się nad ludem wiejskim, by w końcu i nowemu rządowi uczynić zarzut z tego powodu, iż na stolicę kraju nie wybrał Halicza, leżącego wśród urodzajnych prowincyi i nad spławną rzeką, lecz Lwów, pozbawiony wszystkich warunków stołecznego miasta.

Na Jezupol i Tłumacz udał się nasz podróżnik do Tyśmienicy, zamieszkałej przez żydów i Ormian, kupczących bydłem rogatem i końmi, wypasanymi na karpackich połoninach. W Gwoździcu, prócz żydów, zwrócił jego uwagę ubożuchny klasztor Franciszkanów, zaś za Kutami, podążając ku źródłom Białego Czeremoszu, opisuje z szczególniejszą dokładnością strój i obyczaje Huculów, których zwie typowymi mieszkańcami Pokucia. W czasie pobytu Hacqueta na Huculszczyźnie wybuchła między tamtejszem bydłem zaraza, którą jedni zwali: paskudnikiem, inni: ochwatem. W rzeczywistości był to tak zwany karbunkuł. Lud leczył chore bydło, nacierając mu język i inne opuchłe narządy olejem skalnym, co było rzeczą o tyle wskazaną, iż olej zapobiega zgniliźnie. Od wieków zresztą używa lud oleju na wszelkie choroby bydlęce. Nie poprzestając wszakże na zastosowaniu tego naturalnego środka, uciekali się niektórzy włościanie do czarów. Oto ucinali padłemu bydlęciu nogi i ogon i wkładali je w rozłupaną tykę w ten sposób, iż nogi tworzyły krzyż, zaś ogon zwisał z górnego końca koła, zatkniętego przy drodze dla ochrony zdrowego inwentarza od zarazy. W pochodzie przez wsie górskie, ciągnące się pod Czarnohorą, spotkał się Hacquet niejednokrotnie z szorstką odmową ze strony włościan, którzy podczas postu nie chcieli mu sprzedać mleka z obawy, by im bydło nie padło. Przesąd ten dał sposobność naszemu podróżnikowi do skreślenia ostrej filipiki przeciw ciemnocie ludu i — wiejskiego duchowieństwa, oraz przeciw celibatowi... W jednej z osad zmuszony do zatrzymania się przez dwa dni, był Hacquet uczestnikiem wesela huculskiego, którego obrzędy i zabawy opisał wcale trafnie i dokładnie, doświadczywszy na swej osobie objawów gościnności huculskiej, nieco drastycznych, gdyż jeden z biesiadników weselnych zaofiarował mu swą połowicę do towarzystwa... Biedny profesor, okupiwszy się — jak nas zapewnia — ognistej mołodycy, pozbierał co rychlej rozbawionych swych przewodników, by w dalszą ku źródłom Prutu wyruszyć wędrówkę. Po drodze zdumiały go liczne

transporty okazałego bydła rogatego, przepędzanego górskim szlakiem z Wołynia, Podola i Ukrainy do Węgier. Zrazu myślał nasz uczony, iż to tylko w wojennych czasach Węgry potrzebują obcego bydła. Wyjaśniono mu wszakże, że handel bydlny między Polską a Węgrami odbywa się od niepamiętnych czasów, i że Polacy, prócz wina, nie sprowadzają żadnych produktów od swych zakarpackich sąsiadów. Fakt ten, obalający poniekąd madiarskie przechwałki co do niewyczerpanych bogactw krajów korony świętego Szczepana, przypomniał lwowskiemu uczonemu następujący, wielce zabawny epizod: Oto pewnego dnia odwiedził go w gabinecie przyrodniczym jeden z najznakomitszych magnatów węgierskich, a ujrzawszy w zbiorach profesora kawał przedniej miedzi, zawołał z uczuciem patryotycznej dumy: My tylko Węgrzy posiadamy taką wodę, w której żelazo przemienia się w miedź! Na uwagę Hacqueta, że podziwiany okaz nie pochodzi z Węgier, oburzył się wielce gość ów znakomity, twierdząc, że tylko dla dokuczenia mu zaprzeczył gospodarz posiadanej przez niego miedzi węgierskiego pochodzenia. „Gdyby wszystkie narody posiadały tyle patryotyzmu co Węgrzy“ — słowa Hacqueta — „to byłoby rzeczą zbawienną dla niejednego państwa. Należy przeto wybaczyć entuzyazmom tego rodzaju, które wynaturzone mogą się wprawdzie okazać szkodliwemi dla sąsiadów, ale u cywilizowanych ludów wypadki takie są nader rzadkie.“ U stóp Czarnohory spotkał Hacquet podczas swej wycieczki w lecie 1790 roku gromadkę zbiegłych przed branką rekruta, zbrojnych parobczaków, którzy mimo nawoływań naszego profesora, umknęli w góry. Stanąwszy na nocleg u jednego z zamożniejszych włościan, dowiedział się autor, iż zbiegi ci w liczbie dwudziestu zamierzają napaść na owe domostwo. Noc całą czuwano z bronią w ręku. Opryszki nie przyszli. Natomiast rano przybyła stara kobieta, która wśród płaczu opowiadała, iż syn jej, jedyna w starości podpora, umknął przed poborem wojskowym w góry. Nieszczęśliwą starał się pocieszyć profesor, opowiadając, że syn jej, jako jedynak, wolny jest od wojska, oraz że wydano jeneralny pardon dla dezerterów. Na poparcie swych zapewnień dodał, że opryszki mogą go przecież jako zakładnika zatrzymać w górach, gdyby to, co mówił, było nieprawdą. Ucieszona staruszka oddaliła się co prędzej, chcąc zapewne synowi zwiastować miłą nowinę.

Pokłady łupku ałunowego, rozciągające się nad Prutem aż do Delatyna, niewyzyskane przez nikogo, przedstawiały — zdaniem naszego autora — znaczną wartość w kraju bardziej fabrycznym, aniżeli Galicya, która nadto po roku 1772 opłacać musiała od spławianych na Wiśle produktów znaczne cło na granicy pruskiej. W ciągu

wycieczki w górach spotkali nasi podróżnicy pogrzeb jakiegoś biedaka, spoczywającego na desce, do której sznurem przymocowany był drąg, niesiony przez dwóch mężczyzn. Zaledwo kilka kobiet towarzyszyło zwłokom. Opuszczając Huculszczyznę, poświęca Hacquet kilka słów pochlebnej wzmianki jej mieszkańcom. Chwali ich pracowitość oraz wstręt do żydów, których za żadną cenę nie znoszą w swych siedzibach. Są nadto gościnni, dyeta zastępuje im lekarza, a pięść silna w bójce — adwokata. Hucułka rodzi stojąc, bez jakiejkolwiek pomocy. Dziecko nowonarodzone spada na przygotowane w tym celu siano, przerywając podczas upadku pępowinę. Kieliszek wódki był jedynem wzmocnieniem położnicy, którą odwiedzał Hacquet. „Lekarze! nie chlubcie się swą wiedzą“ — pisze on — „wszak musicie widzieć, jak mało wynalazła wasza sztuka. Najdzielniejsze środki odkrywa najczęściej zwierzę, nie wy..“

Drugi rozdział tomu trzeciego poświęcił autor wyłącznie opisowi hut żelaznych, istniejących w Mizuniu, w Skolem i w Smolnej, Sztolnie w Mizuniu nie zaimponowały bynajmniej profesorowi, który nazwał je po prostu ze stanowiska górniczego dłubaniną. Jakoż na krótki czas przed jego przyjazdem całe jedno wzgórze osunęło się wraz z wydrążonymi wewnątrz chodnikami, do których na szczęście nie spuszczono jeszcze górników. Eksploatacya rudy tamtejszej odbywała się powierzchownie i dawała, po przetopieniu, od dwudziestu do dwudziestu sześciu funtów żelaza na cetnar, podczas gdy wydobywana w pobliskim Kropiwniku bagnista ruda zawierała od dziesięciu do ośmnastu procentów żelaza. Rudy nie czyszczą w ogniu, jeno topią i sporządzają z niej rozmaite wyroby z lanego żelaza. Niekiedy też formują z niej masy o wadze czterech do pięciu cetnarów, które raz jeszcze dane na fryszerkę, dostarczają materyału na drągi żelazne. Ogółem produkowano w Mizuniu 55—60 cetnarów surowego żelaza tygodniowo, przyczem na przetopienie cetnaru rudy zużywano takąż ilość węgla. Manipulacya w hutach tamtejszych nie należała do najlepszych. Zarząd nie dbał o racyonalną eksploatacyę rudy, gdyż poddani obowiązani byli do dostarczania kubła rudy za opłatą 5—8 krajcarów w miarę odległości od huty. Wobec kosztownej pisaniny i kontroli, wskazaną była, zdaniem Hacqueta, eksploatacya prywatna rudy w tej okolicy, podczas gdy niedbalstwo i nieumiejętność urzędników narażały jeno skarb państwa na znaczne straty. Co najdziwniejsze jednak, to fakt, iż w niewielkiej odległości od rud w Mizuniu znajdowano bursztyn wśród pokładów piasku i węgla. Był to jednak bursztyn niezbyt czysty, ciemno zabarwiony. Z Mizunia zawrócił nasz turysta do Bolechowa, w której to miej-

scowości przeważała ludność żydowska. Pod Bolechowem istniała kolonia, zbudowana dla żydów a złożona z dwunastu domostw, wzniesionych w stylu holenderskim. Kolonistów zaopatrzono we wszelkie sprzęty gospodarskie, lecz po latach dwunastu istnienia kolonia ta przedstawiała widok najokropniejszego spustoszenia. Ogrodzenia i płoty rozebrano na opał, pola leżały odłogiem, a te nieliczne przestrzenie, które uprawiano, obrabiali koloniści rozpojonymi przez nich chłopami. Domy, zanieczyszczone do najwyższego stopnia, pogarszały jeszcze ujemne wrażenie, wywołane widokiem osady, będącej jawnym dowodem, że żyd nie nadaje się w Europie na rolnika. Wziąwszy tedy assumpt z Nowego Babilonu — jak nazwano później żydowską kolonię pod Bolechowem — rozwodzi się nasz autor nad niechęcią żydowskiej rasy do rolnictwa, której ślady udało mu się odkryć nawet u wesołych cór Izraela, przyjmujących z obojętnością kwiatek, ofiarowany przez wielbicieli . . .

Huta żelazna w Skolem, w „żydowskiem miasteczku" — jak je autor nazywa — założona przez właścicielkę tej miejscowości [1]), przypadła bardziej do gustu profesorowi od Mizuńskiej. Chwali i urządzenie tego zakładu i wyroby z lanego żelaza tamże fabrykowane. W Skolem zaskoczyła Hacqueta komiczna potroszę przygoda. Oto nocując w zajeździe, jął się dopytywać gospodarza, (n. b.) żyda, o najlepszą drogę do Węgier, co dało powód przemyślnemu arendarzowi do zadenuncyonowania swego gościa jako niebezpiecznego emisaryusza węgierskiego, wobec miejscowej władzy bezpieczeństwa. Zaraz też pojawił się w zajeździe porucznik, stacyonowany w Skolem, w towarzystwie sierżanta. Pan porucznik nie posiadał nosa i podobnie jak jego podkomendny znajdował się w stanie silnie podochoconym. Nie poprzestawszy jednak na pokazanym mu paszporcie, zażądał od profesora marszruty, która spisaną była w języku łacińskim. Wyraz: *ubique locorum*, umieszczony w marszrucie, nie podobał się beznosemu, który twierdził, że podobna miejscowość nie istnieje w Galicyi. Kazał więc przyaresztować Hacqueta, strzedz go pilnie przez noc całą i nazajutrz pod eskortą zgrzybiałego inwalida odstawić do miasteczka obwodowego. Mógł łacno umknąć nasz autor, któremu zresztą sam pan porucznik ofiarowywał wspaniałomyślnie wolność, ale wolał udać się do cyrkułu, gdzie też mu dano należyte zadośćuczynienie.

Po tej niespodziance zwiedził jeszcze Hacquet pokłady rudy żelaznej w Dołhem, dające trzydziesty procent czystego kruszcu,

---

[1]) Skole należało w owym czasie do Czartoryskich.

i huty w Smolnej, zawiadywane przez jedynego zawodowego, jakiego znalazł w Galicyi, górnika, niejakiego Mauthnera. Huta smolniańska produkowała nietylko piece, moździerze, garnki z lanego żelaza, lecz nadto wyrabiała rozmaite przedmioty z czyszczonego kruszcu, przerabiając rocznie dwa do trzech tysięcy cetnarów. Nie była to ilość znaczna, lecz należało uwzględnić trudności, z jakiemi zarząd huty miał do walczenia: nieudolność dyrekcyi, złe położenie i brak robotnika. Zaznaczywszy przeto i taniość kosztów produkcyi i łatwość eksploatacyi, doradza autor utworzenie krajowej dyrekcyi górnictwa, któraby z pomocą sprowadzonych górników przystąpiła do racyonalnej gospodarki, starczącej nietylko na zaspokojenie krajowych potrzeb, ale i na wywóz żelaza na wschód. Istniejący bowiem zarząd górnictwa galicyjskiego, podzielony między dyrekcyę górniczą we Wiedniu i administracyę dóbr kameralnych, przyczyniał się tylko do obniżenia poziomu gospodarki górniczej i wywoływał nieustanne zajścia między górnikami a urzędnikami kameralnymi.

W dalszym ciągu podróży na Turkę udał się nasz profesor do Boryni, gdzie zwrócono jego uwagę na choroby weneryczne, szerzące straszliwe spustoszenie wśród tamtejszej ludności wiejskiej. Ponieważ dla ubóstwa mieszkańców nie mogło być i mowy o sprowadzeniu lekarza, przeto radził Hacquet, by chorym dawano do picia odwar z zielonych łupin orzechowych, oraz z korzenia łopianu. Był to środek podówczas praktykowany dość powszechnie w tego rodzaju chorobach. Ze Starego Miasta ciekawość badacza zawiodła naszego autora na węgierską stronę do Bardyowa. Szczawy tamtejsze tryskały w lasku i odwiedzane były przez licznych gości, dla których wszakże nie postarano się o żadne wygody, z wyjątkiem kilku budynków, wzniesionych koło zdrojów. Ogół gości mieszkać musiał o pół mili drogi. Wszystkich źródeł było pięć. Prócz drewnianej cembrowiny, nie posiadały one żadnego zabezpieczenia, ani też dachu. Mimoto woda w zdrojach była jasna i przejrzysta. Pita na miejscu o porannej porze sprawiała pewne oszołomienie, w smaku była przyjemna, szczypiąca i przypominała nieco szampana, choć dawał się w niej czuć równocześnie zapach siarki. Podobne źródła biły też w odległej o milę od Bardyowa wsi Langenau. Było ich trzy i one to bez wątpienia były pierwej znane i używane, aniżeli zdroje bardyowskie, w lesie ukryte. Używano ich i później do kąpieli, podczas gdy woda bardyowska służyła do picia i do wysełki za granicę. W braku kamionek, transportowano ją we flaszkach z kruchego szkła, ulegających łatwo stłuczeniu, skutkiem czego butelka wody bardyowskiej kosztowała we Lwowie 34 krajcary. Gdy w lecie

1790 r. gościł Hacquet w Bardyowie, zastał tam zjazd tak liczny, iż większość przybyłych mieścić się musiała w mieście. Przeważną część kuracyuszów stanowili Polacy.

Powracając z Bardyowa, zatrzymał się autor w Dukli, którą zaliczał do najładniejszych i najczyściej utrzymanych miasteczek w Galicyi. Wprawdzie i tam znaczny procent ludności tworzyli żydzi, ale urząd cyrkularny, przeniesiony następnie do Sanoka, umiał ich utrzymać w należytym ładzie. Na tem przeniesieniu źle wyszli urzędnicy, najgorzej zaś cyrkularny farmaceuta, który z udzielonego mu przez rząd zasiłku zbudował dom na pomieszczenie apteki. Zmuszony do porzucenia tej posiadłości, otrzymał od skarbu tytułem odszkodowania sumę stu złr.! Z Dukli zrobił Hacquet wycieczkę do Samoklęsk, celem zbadania tamtejszego źródła siarczanego, a zawadziwszy o Krosno, zniszczone przez żydów, wspomina o nader ożywionej w tej okolicy uprawie lnu, oraz o tkactwie grubszych gatunków płótna: „Chciano podnieść i powiększyć kulturę lnu i lnianych produktów“ — słowa autora — „ale Galicya skutkiem złego wyboru zawsze miała to nieszczęście, iż powoływano do niej fabrykantów, którzy miasto roboty, do nich należącej, zajmowali się zgoła czem innem, niezbyt na pochwałę zasługującem i umykali z pieniądzmi, wziętymi tytułem zaliczki. Tak więc w chwili, gdy to piszę, nie ma w całym kraju ani jednej fabryki, którąby na to miano zasługiwała, z wyjątkiem rządowej fabryki tytoniu . . .“

Że przyrodnik nasz nietylko na kamienie i skały zwracał pilną uwagę, dowodem okoliczność, iż w Odrzykoniu zauważył aksamitne czepce, noszone przez tamtejsze mieszczki, a przypominające mu stroje wendyjskich kobiet w Łużycach. Twierdzenie wszakże autora, jakoby w tem miejscu istniała ongi saska kolonia, wielce nam wydaje się nieprawdopodobnem. We wsi Węglówce spotkał Hacquet węgierskich górników, którzy świeżo po swem przybyciu usiłowali w błąd wprowadzić władzę cyrkularną w Dukli, przedkładając jej kawałki przyniesionej z sobą rudy miedzianej, jako odkryty w Galicyi metal. Pozyskawszy zaufanie tych pomysłowych szalbierzy, kazał się autor zaprowadzić na miejsce rzekomego odkrycia, gdzie im wykazał całą bezcelowość ich roboty. Madiary udali skruchę, ale po wyjeździe profesora wyłudzili od okolicznych włościan kilkaset złotych, nibyto na dalsze poszukiwania, poczem znikli bez śladu. W Węglówce ukazano też Hacquetowi w moczarowatym ogrodzie kilka źródeł, dostarczających oleju skalnego, którego mieszkańcy używali do smarowania osi u wozów, poczem na Dynów przybył tenże do Przemyśla. Starożytny ten gród wraz z zamkiem, leżącym

po części w ruinach, nie sprawił dodatniego wrażenia na naszym autorze. „Stare to miasto“ — pisze on — „zabudowane nieregularnie, zamieszkane jest przeważnie przez żydów i klechów. Mimo swych szczupłych rozmiarów posiada dwóch biskupów: greckiego i łacińskiego. Ponieważ stoi tu ciągle niewielki garnizon, oraz istnieje urząd cyrkularny, przeto jest dość Niemców. Mimo to jednak o pierwszeństwo współubiegają się żydzi z klechami. Łatwo przewidzieć, która partya zwycięży; na hańbę chrześcianstwa żydzi i tutaj będą górą. Nic szczególniejszego nie mam do nadmienienia o tej miejscowości, jak tylko to, że z mniejszych miasteczek krajowych jest ona superlatywem wyuzdania i bezwstydu. Latem, wśród dnia jasnego, widzieć można o każdej godzinie nagie osoby płci obojga, kąpiące się w rzece i wyprawiające w wodzie najnieprzyzwoitsze igraszki...“ Nie lepiej przedstawiał się Sanok, który przed przeniesieniem do tego miasta urzędu cyrkularnego sprawiał wrażenie nędznej wsi. Lisko, zniszczone świeżym pożarem, odznaczało się ładnym widokiem na San, lecz Hacquet mniej miał zapewne czasu do zachwycania się pięknością krajobrazów, gdyż znalazł się znów w krainie dzisiejszej nafty, zwanej podówczas olejem skalnym. Obfite źródła ropy znajdowały się w lasach pod Kwaszeniną, lecz właściwego użytku tej drogocennej cieczy nikt jeszcze nie przeczuwał. Smarowano nią osie u wozów. Z tem większą uwagą zwiedzał nasz podróżnik licznie rozsiane w tych stronach warzelnie soli. I tak żupa w Lacku dostarczała 47.569 cetnarów, w Starejsoli 36.000 fasek (faska po 140 funtów) rocznie, natomiast żupę w Tarnawie musiano zamknąć z powodu nieodpowiedniego rodzaju żoły, oraz dla innych braków. Podobnież żoła w Starejsoli nie woniała wcale z powodu bliskiego sąsiedztwa źródeł naftowych. Sambor posiadał bardzo przyjemne położenie, a nadto żydzi nie rozpanoszyli się jeszcze zbytnio w tem mieście. Istniał tam blich, założony wielkim nakładem i posiadający z natury wszelkie warunki powodzenia, lecz zamknięto to przedsiębiorstwo dla nieumiejętności prowadzenia. Z Sambora udał się nasz podróżnik ponownie w góry, a jadąc lasami, z których brano drzewo do salin, przekonał się naocznie, jak okropną prowadzono pod tym względem gospodarkę. Mnóstwo kloców próchniało w lesie, ponieważ nie wydawały się odpowiednimi dozorcom salinarnym. Wiele drzew marniało obalonych bez ładu i potrzeby, a o świeżych zapustach nikt nie pomyślał. W Nahujowicach, gdzie ongi była również czynną żupa, widział Hacquet sporą ilość ropy naftowej, którą dobywano z umyślnie w tym celu kopanych dołów.

Kwartę ropy, zastępującej miejsce mazi do wozów, sprzedawano na miejscu po pięć krajcarów.

Z galicyjskich warzelni soli najznaczniejszą była żupa, istniejąca pod Drohobyczem, mająca swe filie w Huczku, w Stebniku i w Solcu. Sama żupa drohobycka dostarczała rocznie do 50.000 cetnarów warzonki, a ogólny, czysty dochód z salin w Drohobyczu i w Starejsoli wynosił w r. 1790 złotych reńskich 171.078, krajcarów 48$^1/_2$. Ogółem za sól pobierała Galicya przed r. 1792 przeszło półtora miliona złotych z zagranicy, nie licząc należytości za sól w kraju sprzedaną. Dochód ten mógłby być o wiele znaczniejszy, gdyby istniał jakikolwiek system w gospodarce salinarnej. Co jednak dobrego zdziałał jeden zarządca, to jego następca niezawodnie zepsuł, po części skutkiem nieumiejętności, po części zaś ze złej woli. O fabrykacyi potażu, saletry, soli glauberskiej, magnezyi, dającej się uskutecznić w żupach bardzo tanim kosztem, nikt nie pomyślał.

Z Drohobycza na Szczerzec udał się nasz uczony do Lwowa, którego opisowi znaczną część swej książki poświęcił. Wyjmujemy z tej relacyi najważniejsze jeno szczegóły, dotyczące zarówno położenia miasta, jak i jego mieszkańców. Przedewszystkiem przeto zwraca nasz autor uwagę na niestosowność przekopywania góry zamkowej, którą zwie gołą, gdyż ona chroniła miasto od północnych wichrów, a zarazem nadmienia o istnieniu zapomnianych dziś źródeł, zawierających siarczyk potażu. Najsilniejsze z tych źródeł istniało w dziedzińcu domostwa, należącego do bankiera Klotza. Śródmieście było zabudowane wcale regularnie w kotlinie, podczas gdy przedmieścia, złożone z 2.759 domów, wybiegały gdyby promienie gwiazdy, pnąc się wśród ogrodów ku okolicznym wzgórzom. Rynek, dzięki ratuszowi i otaczającym go domostwom, dzielił się właściwie na cztery place. Z kamienic w rynku wyróżniał się dom Sobieskich, utrzymywany starannie przez Rzewuskiego. Ulice proste liczyły 322 domów murowanych, zaś na przedmieściach obok pałaców spotkać też było można drewniane chaty. Szczególniejszą właściwością Lwowa, jako stolicy, był brak rzeki, gdyż figurująca pod tem szumnem mianem we wszystkich geografiach Pełtew nie była niczem innem, jak potokiem, wysechającym niemal zupełnie w porze letniej. Wody do picia dostarczały miastu podostatkiem liczne źródła, lecz autor nasz przestrzega mieszkańców przed możliwością zaniku tychże w miarę ogałacania z drzew wzgórz okolicznych. Również niestosownem wydało się Hacquetowi pokrywanie dachów gontami, co wobec pożaru było rzeczą wielce niebezpieczną. „Co za błąd popełniono zaraz z początku“ — pisze nasz profesor — „wybierając na stolicę miej-

scowość wśród piaszczystej puszczy, gdzie niema drzewa, wody, materyałów do budowy domów i do bruku. Teraz tysiąc złych cegieł kosztuje 15—16 złotych. Co się stanie, gdy cena drzewa dojdzie do czterech dukatów za sążeń? Płaciliśmy już po dwa dukaty i jakie to było drzewo, jaki sążeń? Gdyby wybrano na stolicę miejscowość jaką wzdłuż Karpat, wszystkiego byłoby podostatkiem i nie zagrażałoby niebezpieczeństwo, że dziś lub jutro trzeba się będzie wynosić, do czego tu z pewnością przyjść musi. Pomysł, podniesiony przez niektórych ludzi sprowadzenia tutaj rzeki Dniestru, jest tak niedorzeczny, iż nie zasługuje na odparcie. Po pierwsze, Lwów leży wyżej od Dniestru, a powtóre, jakim sposobem możnaby bez materyału budowlanego, odpowiedniego, utrzymać kanał w gruncie piaszczystym, o brzegach wysokich na 40—50 sążni?"...

W roku 1772 miasto liczyło 72 kościoły, z których obecnie w śródmieściu i po przedmieściach pozostało zaledwo 20. Resztę poprzerabiano na urzędy, koszary, magazyny, szpitale i fabryki. Z tych ostatnich jednak nie korzystano. Nadto były w mieście dwie synagogi; niemiecka w śródmieściu i polska na przedmieściu, tudzież jeden zbór reformowanego wyznania. Ogół ludności dochodził do czterdziestu tysięcy głów; z tych piętnaście tworzyli żydzi, tyleż Polacy i Rusini. Reszta ludności składała się z Ormian, Niemców, Węgrów, Czechów i Serbów. Miasto było siedzibą trzech biskupów [1], władz krajowych i głównodowodzącego jenerała. „Naczelnik kraju" — słowa Hacqueta — „jest najczęściej tak dalece w władzy swej ograniczony, iż dzieje się to z najwyższą niekorzyścią dla Monarchy. Jeżeli się mianuje namiestnika, to powinien on posiadać odpowiednie zdolności i zaufanie monarsze. Jeżeli na nie zasłużył, wówczas bez ograniczenia należy się mu zarząd podwładnymi, tudzież wydatkami państwowymi. Gdy rzecz ma się przeciwnie, gdy niegodne indywiduum znajdzie ubocznemi drogami poparcie w stolicy, gdzie zawsze więcej się znajdzie ludzi podstępnie działających, aniżeli uczciwych, wówczas nie ma mowy o powadze naczelnika kraju i o porządku, zwłaszcza, gdy naczelnik rządu krajowego nie może czynić żadnych zarządzeń, połączonych z wydatkami, lecz oczekiwać musi na zlecenia, wydawane z odległości stumilowej"... Coś podo-

---

[1]) Hacquet błędnie mieni Lwów siedzibą trzech biskupów, gdyż lwowscy książęta kościołów r. k. i ormiańskiego obrządku nosili tytuł arcybiskupów. Metropolia lwowska gr. k. obrządku datuje się dopiero od r. 1806.

bnego o gospodarce prowincyonalnej powiedział w swoim czasie Hacquet wobec cesarza Józefa II., który odparł mu w te słowa:

— Tak dzieje się w istocie, jeżeli się jest źle obsłużonym...

Krytykując w dalszym ciągu wady gospodarki krajowej, wspomina nasz autor o owym oszuście, który nadużywszy zaufania rządu, umknął, narażając skarb państwa na stratę 20.000 złotych. (hr. Strassoldo?) i uwagi swe kończy temi słowy: „Nie mówmy o przeszłości. Jest rzeczą w publicznych nawet pismach stwierdzoną, jakiej reputacyi zażywa administracya galicyjska. Cóż jednak sądzić o tem, gdy naczelnicy nie znajdują należytego poparcia z góry. A może nie odpowiadają swemu zadaniu? Pocóż więc ich zostawiać na stanowisku? Można twierdzić, że stolica Galicyi jest dla monarchii kociołkiem Pappina, w którym wszystko kruszeje. Doświadczyły tego wszelkie komisye nadworne, delegowane przed rokiem 1793 i wszystko zostanie po dawnemu, jak długo kraj nie będzie rządzonym przez naczelnika, posiadającego nieograniczoną władzę, sprawiedliwego i zdolnego, a zbrodniarze nie zostaną tak ukarani, by szkodzić na przyszłość nie mogli"...

Z duchowieństwa najżywsze pochwały oddaje nasz autor klerowi ormiańskiemu, utrzymywanemu przez pobożnego naczelnika w moralności i uczoności [1]. Drugie z kolei miejsce przyznaje klerowi ruskiemu [2]. Natomiast z całą bezwzględnością występuje przeciw arcybiskupowi łacińskiemu, zarzucając mu, iż nie umie utrzymać ładu, ani nauki wśród swych księży, oraz że nienawidzi Niemców, gdyby potępieńców [3]. Przy tej sposobności przytacza Hacquet zapomniane dziś przysłowie:

Dopóki świat światem,
Nie będzie Niemiec Polakowi bratem

i na obronę sędziwego arcypasterza przytacza okoliczność, iż chciał on karcić opornych księży, piastujących katedry nauczycielskie, ale pod tym względem natrafił na nieprzewidziane przeszkody.

Z kolei poświęca nasz autor obszerniejszy ustęp charakterystyce polskiego narodu. „Polak, ogółem rzecz biorąc, jest najlepszym i naj-

---

[1]) Arcybiskupem ormiańskim był w latach 1783—1798 Jakób Tumanowicz.

[2]) Biskupem lwowskim g. k. obrządku był w latach 1770—1798 Piotr Bielański.

[3]) Arcybiskupem lwowskim r. k. obrządku był w latach 1780—1797 Ferdynand Onufry z Kitek Kicki.

łagodniejszym człowiekiem wśród słowiańskich ludów Europy i rzec można, jest on najwykształceńszym pod względem psychicznym, zwłaszcza klasa szlachecka. Byłoby niesprawiedliwością wobec narodu, gdybyśmy wszystkie niedorzeczności zarozumiałej i po Francuzach odziedziczonej lekkomyślności, jaką obdarzoną jest szlachta, przypisywać chcieli ogółowi ludności. W tej mierze występowali wszyscy autorowie słusznie przeciw szlachcie, niesłusznie przeciw całemu narodowi, twierdząc, że Polak zuchwałym jest w powodzeniu, w niedoli nędznie uniżonym, że czyni wszystko dla pozyskania grosza, który następnie za okno wyrzuca i że miesza się chętnie do wszystkiego, choć nie zawsze wie, jak wyjdzie ze sprawy. Twierdzili również ci pisarze, że szlachta nierozważna niejednokrotnie doświadczyła tego losu przed swym upadkiem, który jest już bliskim, że są to ludzie nie dotrzymujący słowa, oszuści i t. d. Tak mniej więcej wyrażali się Fryderyk Wielki i inni, najzupełniej słusznie. Rozumie się jednak, że zarzuty te dotyczyły jedynie szlachty, z którą piszący mieli tylko stosunki, i ją też wyłącznie poznali, nie mając sposobności zapoznania się z wszystkiemi warstwami narodu. Gdy przed siedmiu laty przybyłem do tego kraju, rozpocząłem poznawać naród od szlachty. Poznałem też rychło, że szlachta całą swą powierzchowną nicość i złe, nic zaś dobrego, odziedziczyła po Francuzach. Spostrzegłem, że jej lekkomyślność żywi odrazę wobec wszelkiej gruntowności i ścisłości, że zatem Anglik i Niemiec nie przypadają jej do smaku. Zwłaszcza przeciw Niemcowi byli oburzeni, gdyż ujął ich w karby, narzucił ich samowoli subordynacyę. Nie da się przytem zaprzeczyć, że szlachta doznała wiele ucisku ze strony złych urzędników państwowych i że Józefińskie Urbarium przez zbyt pospieszne i złe wykonanie było jej nienawistne. Nie było to wszakże wolą mądrego, lecz źle wynagrodzonego reformatora, który wszystkich ludzi chciał uszczęśliwić. Ale złe było dziełem jego doradców, którzy go obłudnie podniecali, iż zaraz pragnął ziszczenia ulubionych swych myśli. Niesłusznie wszakże nienawidzi Polak każdego Niemca, któremu zawdzięcza całe swe wykształcenie. — Wygnajcie dziś — powiada anonim [1]) — wszystkich Niemców z Polski, a jutro nie będziecie mieli ani artysty, ani mieszczanina, ani rękodzielnika"... I w tym sensie prawi dalej uczony przerodnik, przeskakując wprost od czasów Kazimierza Wielkiego na dzieło Konstytucyi Trzeciego Maja i rewolucyę, przygotowywaną współcześnie w Galicyi przez tutejszego Vandernoota, (Dzierzkowskiego?) i R(ze-

---

[1]) Autor dzieła „Magna Charta von Galicien", wydanego w r. 1790.

wuskiego Kazimierza?), by bezwzględnem szyderstwem obrzucić naszych magnatów z powodu ich zamiłowania w błyskotkach, zbytku i orderach. Rzecz swą o szlachcie kończy Hacquet anegdotką o Stanisławie Auguście, który proszony o nadanie orderu uszlachconemu szulerowi, udzielił mu żądaną dekoracyę, dodając przytem:

— Czy mogę Pana prosić o jedną grzeczność?

— O wszystko w świecie — brzmiała odpowiedź orderowego.

— Oto, gdy cię wieszać będą, racz przedtem zdjąć ten order!

Za autentyczność tej opowieści odpowiada naturalnie autor.

Chłop, wedle naszego badacza, jest typem zupełnie odmiennym. Dobroduszny, chętny do nauki, pracowity, o ile powstrzymujący się od trunków, mierny w jedzeniu. Lud ten obrządku grecko-katolickiego stanowi część przeważną mieszkańców kraju. „Ta najbardziej użyteczna część ludności“ — słowa Hacqueta — „poczyna poznawać należne jej prawa, a ponieważ dotychczasowe jej potrzeby są bardzo małe, przeto jest szczęśliwszą od innych narodowości, którym mrzonki o równości zajechały do głowy. Gdzież istnieje równość w królestwie zwierząt, czy też roślin? Czyż pod wpływem lepszego pożywienia nie podnoszą do góry po nad otoczenie swe korony pewne drzewa i rośliny? Te zasady nie powinny być nieznane ludziom!“

Słuszność każe nam przyznać, że Hacquet, tak surowo sądzący intelligentną warstwę tutejszej ludności krajowej, z równą bezwzględnością oceniał Niemców w Galicyi osiadłych, tworzących w owym czasie szóstą część mieszkańców Lwowa. Niemcy, nie cieszący się dobrą sławą jako urzędnicy, żyli, jego zdaniem, nad stan. Ograniczenie wydatków domowych, zniesienie kosztownych widowisk, zakaz gier hazardownych, zamknięcie szynków i kawiarń — oto środki podniesienia moralności wśród tej warstwy ludzi, stojących u steru rządu. Płeć piękną Lwowa zalicza nasz autor do największych zbytnic pod względem stroju. Jest to zguba rodzin obok zaniedbywania dzieci i oszukiwania męża. Należałoby przeto na wzór wojskowych tym tylko urzędnikom cywilnym pozwalać na ożenienie się, którzy mogliby się wykazać możnością utrzymania rodziny. Od ponurego obrazu, jaki przedstawiał niski poziom moralności we Lwowie, przechodzi nasz autor do krytyki galicyjskiego szkolnictwa. Założenie uniwersytetu uważa jako przedwczesne, a zwłaszcza ostro występuje przeciw istnieniu fakultetu medycznego, którego sam był profesorem. Twierdzi bowiem Hacquet, że uniwersytet wiedeński produkuje potrzebną ilość medyków dla kraju, podczas gdy zdolniejsi wychowańcy fakultetu lwowskiego wynoszą się po skończeniu studyów do Polski,

gdzie znajdują lepszy zarobek. Uniwersytet, gimnazya i szkoły normalne kosztowały rocznie, (jedynie płace na nauczycieli), sumę 93.725 złr., który to wydatek nie pozostawał, zdaniem naszego profesora, w żadnym stosunku do dochodów kraju, nie płacącego rocznie i miliona podatku.

Z kolei zwraca się Hacquet do omówienia kwestyi żydowskiej. Żydów uważa on za żywioł pod względem narodowościowym i religijnym dominujący we Lwowie. Są oni panami miasta i przedmieść, właścicielami najpiękniejszych domostw, ludźmi wpływowymi i niezwyciężonymi z pomocą argumentów pieniężnych. Wsiadłszy raz na ulubionego konika, stara się udowodnić nasz autor, że żydzi w monarchii austryackiej zajmują pod każdym względem stanowisko wyjątkowe, uprzywilejowane i 'że działają na szkodę państwa zarówno pod względem materyalnym, jak moralnym. Na potwierdzenie swych wywodów przytacza postępek wspomnianego już przez Bretschneidera, zarządcy salinarnego, Goldschmidta, który monarsze przedstawił plan powiększenia eksportu zagranicznego soli pod warunkiem, by mu z uzyskanej nadwyżki w dochodach wypłacano tantyemę. Miasto wszakże ulepszenia produkcyi lub zniżenia cen soli, wpadł pomysłowy izraelita na pomysł tego rodzaju, iż sól czystą sprzedawał tylko zagranicą, podczas gdy krajowi odbiorcy dostawali sól zanieczyszczoną ziemią i piaskiem.

Podczas pobytu we Lwowie cesarz Józef II., spoglądając z okien swego mieszkania na snujące się po rynku, próżnujące żydowstwo, rzekł do jednego z radców gubernialnych:

— Co czynić z tymi hultajami?

— Zmniejszyć ich liczbę — odparł zapytany.

— Ale w takim razie zmniejszy się kontrybucya! — zauważył cesarz.

— Jeżeli mam ogród — ciągnął dalej radca — zarosły szlachetnemi roślinami, pomięszanemi z chwastem, to przedstawia on jednostajną zieleń. Jeżeli wyplenię chwasty, wówczas ogród wyglądać będzie zrazu opustoszały i szary, ale z czasem szlachetne rośliny tak się rozkrzewią, iż przyniosą potrójny dochód...

I w rzeczywistości starano się zastosować projekt zmniejszenia populacyi żydowskiej, podany przez owego interlokutora, ale żydzi znaleźli tysiące sposobów na to, by pomysł ten pozostał na papierze.

Że historykiem nietęgim był nasz przyrodnik, widać to z opowiadania jego o hajdamakach, których tracić miano na wszystkich wzgórzach, okalających miasto, w ten sposób, iż jeden skazaniec był zmuszony wieszać drugiego. Tracono w rzeczy samej hersztów haj-

damackich, więzionych na niższym zamku, ale egzekucye te odbywały się zazwyczaj tylko na górze tracenia, a z skazanymi mistrz i jego pachołkowie mogli sobie dać ostatecznie radę, gdyż w jednym dniu egzekwowano nie więcej, jak trzydziestu hajdamaków. Bajką jest również opowieść Hacqueta o napadzie konfederatów barskich na Lwów w roku 1771 i o spalonych przez nich domostwach Bogu ducha winnych mieszkańców. Ostatnia bowiem potyczka między Barszczanami a garnizonem rosyjskim, konsystującym we Lwowie, nastąpiła w nocy z szóstego na siódmego lipca 1770 r., zaś pożar, który, prócz wielu domów na halickiem przedmieściu, zniszczył też wieżę karmelickiego klasztoru, podłożony został w dniu pierwszym czerwca 1769 roku nie przez konfederatów, atakujących miasto pod wodzą Puławskiego, lecz przez komendanta Lwowa, Korytowskiego.

Winniki z fabryką tytoniu, niosącą skarbowi miesięcznie 100.000 złr., oraz Kleparów, sławny z swych czerech, zamykają szereg wspomnień o Lwowie w książce Hacqueta, który ze stolicy kraju udał się do Buska. Założona tamże garbarnia nie była wówczas w ruchu. Szczęśliwszym był nasz uczony w swych poszukiwaniach, czynionych na Bugu pod Sokalem. Znalazł tam bobry, jedne z ostatnich w Galicyi, wiodące z powodu szczupłej liczby żywot wędrowny, kryjące się po rozpadlinach i jamach. Sztuki tych zwierząt ważyły od 50 do 60 funtów i liczyły wraz z ogonem do pięciu stóp długości. Ostatnią miejscowością, jaką zwiedził Hacqet we wschodniej części ówczesnej Galicyi, był Zamość, który zaliczył do najpiękniejszych i najporządniej utrzymanych miast prowincyonalnych. Twierdza, pałac Zamoyskich, gimnazyum, ratusz i kościół, nadawały miastu porządny pozór. Opodal od miasta isniał duży zwierzyniec, w którym najciekawszymi okazami były dzikie konie, niemożliwe do ujeżdżenia. Były małe, ciemnokasztanowate, o dużych głowach i małej grzywie. Ogon posiadały krótki. Natomiast ogiery wyróżniały się brodą. Ponieważ stworzenia te mnożyły się bardzo szybko, przeto część ich musiano wystrzelać; niektóre sztuki odesłano do szczwalni lwowskiej, gdzie potykały się nader odważnie z innemi dzikiemi zwierzętami. Na Rawę powrócił nasz autor do Żółkwi. Dawny ogród królewski, acz wielce zaniedbany, istniał jeszcze, ale zamek chylił się już ku ruinie. W pobliskim Mokratynie istniała założona przed siedmiu laty plantacya rheumbarbarum, licząca w r. 1792 sztuk 36.000, z których pewną część w owym czasie miano wyjąć do osuszenia. Próbki korzeni z tych roślin, odesłane celem zbadania do Wiednia, nie uzyskały aprobaty tamtejszych powag lekarskich. Jednakowoż Hacquet twierdził, że było to praw-

dziwe rheumbarbarum, jeno słabsze od austryackiego i dlatego należało go używać w większych ilościach.

Etymologiczne wywody autora na temat nazwy Rusi Czerwonej, oraz króciuchny opis ubiorów, używanych przez ludność tutejszą, kończące tom trzeci, nie przedstawiają dla czytelnika szczególniejszego interesu.

Wielce ciekawą jest natomiast przedmowa autora do końcowego tomu „*Podróży*", spisana w dniu pierwszym lipca 1795 roku we Lwowie, podczas gdy książka ta wydana została w roku następnym. W allokucyi do czytelnika składa nasz profesor zarówno wyznanie swej wiary politycznej, jakoteż oświadcza zamiar stanowczy rozstania się z literackim zawodem. Co do przekonań politycznych zapewnia, iż był zawsze kosmopolitą, a jako pisarz nie zawinił nigdy ani stworzeniem systemu, ni też książki naukowej, zamącającej pojęcia ludzkie. „Nie miałem wielu zawistnych — (głupcy i tak zwani: koledzy zawodowi nie wchodzą tu w rachubę. Są oni podobni do jamników, szczekających zdaleka, lecz nie mogących nadążyć celem ukąszenia) — ponieważ dochody moje, pobierane od państwa, były tak szczupłe, iż mi je wybaczano, widząc, że nie są wystarczającymi. Gdy jeszcze z tytułu mego urzędu wykonywałem praktykę lekarską, nie miałem również zazdrosnych współzawodników, choć chciwym i marnym jest ludek lekarski, ponieważ nienawidziłem wszelką szarlataneryę i poświęcałem się najczęściej leczeniu ubogich. Możni bowiem i bogacze przekładają często „pochlebców lub intrygujących błaznów jako lekarzy"... Serdeczna odezwa do przyjaciół, pozostałych jeszcze przy życiu, kończy tę oryginalną przemowę sędziwego uczonego, który, jak sam powiada, niema nikogo z bliższych na świecie.

Od opisu zdrojów siarczanych w Szkle i w Lubieniu rozpoczyna Hacquet część czwartą swej pracy. Nadmienia więc pokrótce o literaturze medycznej i przyrodniczej, dotyczącej Szkła, o dziełach Syxta, Connora, Rzączyńskiego, oraz o badaniach Guetarda, poczem przystępuje do opisu samejże miejscowości. Szkło leży o cztery mile od Lwowa, przy gościńcu wiedeńskim, na ładnej równinie. Posiada wielki, rybny staw, od którego w odległości kilkuset kroków bije główne źródło, osłonione dachem i ocembrowane. Z tego źródła wodę sprowadzano rurami do pobliskich łazienek, gdzie po ogrzaniu służy za kąpiel. Na łące opodal znajdowało się drugie źródło, z którego brano wodę do picia. Nadto w pobliskim lesie biło kilka słabszych źródeł. Budynki kąpielowe w Szkle wzniesione zostały kosztem rządowym. Ze Szkła lasami wiodła droga do Janowa, zkąd stawy

ciągnęły się aż pod Gródek. O milę od tego miasteczka, w Rodatyczach, gnieździły się bobry, które wodne swe mieszkania założyły na głębokiej strudze, wijącej się wśród lasów a gubiącej się w tamtejszym stawie. Miejscowość ta, wydzierżawiona była przez rząd na polowanie i dopiero na przedstawienie Hacqueta zabroniło guberbernium tępienia bobrów. Z Rodatycz udał się nasz podróżnik do zdrojów siarczanych w Lubieniu, które pod względem siły nie ustępowały wcale źródłom w Szkle. Natomiast budynki zakładowe były w daleko lepszym stanie, dzięki zapobiegliwości właściciela, nie szczędzącego żadnych nakładów. „Ponieważ źródła te“ — słowa autora — „odległe są zaledwo o trzy mile od stolicy, przeto należałoby sobie życzyć, by doznały lepszego poparcia, ale w tym kraju nie można się czegoś podobnego spodziewać. Wszystkie źródła bez żadnej osłony znajdują się wśród bagnisk. Wodę pompuje się do łazienek.“

Podczas bytności Hacqueta w Lubieniu w r. 1787 rozegrywała się tamże ciekawa scena. Właśnie wysłano na miejsce komisyę rządową celem zbadania, czy założona tamże z pomocą skarbu fabryka siarki może się nadal utrzymać. I cóż się okazało? Oto zarówno rząd, jak właściciel Lubienia [1]), zostali w błąd wprowadzeni przez żydów, którzy, czyniąc rzekome doświadczenia w wodzie, ukryte pod chałatami kawałki siarki pokazywali jako znalezione na gruncie. Wobec braku siarki, chciano więc fabrykować ałun, ale i ta próba spełzła na niczem. Źródła siarczane istniały nadto w Pustomytach i w Chocimierzu pod Stanisławowem. Własności lecznicze przyznaje wszakże nasz autor przedewszystkiem zdrojom w Lubieniu i w Szkle, twierdząc równocześnie, że zawdzięczają one swą wziętość raczej tradycyi ludowej niż lekarzom, którzy podkopali wiarę w lecznicze własności tych wód, śląc do nich niewłaściwych pacyentów, byle się ich pozbyć z miasta. Z Lubienia na Jaworów dążył nasz profesor do Krakowca, rezydencyi Cetnera, wojewody bełzkiego. Park angielski, tamtejszy, zdradzał ślady opuszczenia. Wojewoda był już stary, a fortuna z powodu zbytniej dobroci dziedzica znacznemu uległa uszczupleniu. Cetnera sławi Hacquet jako wielkiego przyjaciela cudzoziemców, oraz jako założyciela wspaniałych ogrodów, z których chętnie udzielał każdemu szlachetnych szczepów. Korzystne też wrażenie sprawił na autorze widok kościółka, zbudowanego przez Cetnera, w Krakowcu. Na frontonie świątyni widniał napis: *Deo et populo.*

---

[1]) Lubień należał wówczas do Anny z Rzewuskich Humieckiej Miecznikowej Koronnej.

O źródłach siarczanych w Niemirowie nie znajdujemy wcale wzmianki w książce Hacqueta, który natomiast wspomina o istniejącej w tamtejszych lasach hucie szklanej, prowadzonej bez znajomości rzeczy przez właściciela, byłego urzędnika kameralnego. Dalej na zachód, wśród piasków, leżała Ruda Różaniecka, gdzie czynną była huta żelazna, w której wytapiano bagnistą rudę, znajdującą się w tych stronach a nie dającą więcej nad 20% żelaza. Na Lubaczów przybył autor do Jarosławia Miasteczko to, pełne żydowstwa, leżało na wzgórzu, opodal od rzeki i nadawało się o wiele bardziej na stolicę kraju, aniżeli Lwów. Dawniej miasto to było kwitnące. Żydzi jarosławscy prowadzili z Gdańskiem znaczny handel solą, potażem, płótnem, sprowadzając w zamian korzenie, cukier, śledzie i sukna. Skutkiem rozbioru Polski i cła pruskiego na Wiśle handel jarosławski znacznie podupadł. Rzeszów nie miał i tej przeszłości za sobą. Było to prawdziwe, żydowskie gniazdo. Zaledwo pojawił się podróżny na ulicy, gdy opadła go cała zgraja żydów, ofiarowując mu rozmaite galanterye: pierścionki, pieczątki i t. d. W mieście nie było nic zasługującego na uwagę z wyjątkiem śmiesznej kolumnady — z drzewa, pokrywającej najpospolitszą studnię, a zdobnej szumnym napisem: *Senatus populusque Rzeszoviensis.* Parodya ta powstała podobno za inicyatywą naczelnika miasta.

Zwiedziwszy następnie Tarnów, ludne miasto, siedzibę katolickiego biskupa i cyrkułu, tudzież Zakliczyn z starem zamczyskiem, wzniesionem na piaskowej skale, zrobił Hacquet wycieczkę w granice Rzeczpospolitej celem zwiedzenia dawnych kopalni srebra w Olkuszu, oglądnął łomy marmurowe w Dębniku, poczem zatrzymał się w Krzeszowicach, gdzie zwróciło jego uwagę źródło siarczane, licznie bardzo odwiedzane. „Właścicielką tych zdrojów jest księżna Lubomirska" [1]) — słowa autora — „dama, która podczas swych podróży zagranicznych więcej zdobyła wiadomości, aniżeli dziesięciu książąt jej narodowości, choćby nawet mieli potemu więcej sposobności. Ten rys charakterystyczny jest ogólnym wśród szlachty polskiej, że kobiety pod względem pamięci, dowcipu i rozumu przewyższają mężczyzn, którzy też są ich najuniżeńszymi służkami. Naturalnie nie ma reguły bez wyjątków, ale w obecnem położeniu rzeczy kobiety, nie mężczyźni, stać winne u steru, przynajmniej u Słowian północnych, a to z powodów, które nie nadają się do powtórzenia"...

---

[1]) Hacquet ma tu na myśli Izabelę Lubomirską, siostrę księcia jenerała ziem podolskich, zaślubioną marszałkowi koronnemu, Stanisławowi Lubomirskiemu. Zwano ją też w całej Polsce księżną marszałkową.

Księżna pobudowała obok zdrojów willę dla siebie, tudzież wygodne pomieszkania dla gości, urządzone w ten sposób, że każda rodzina znaleźć mogła oddzielne pomieszczenie. Obok łazienek urządzono park, na którego utrzymanie łożyła dziedziczka znaczne sumy z własnej szkatuły, zaś koroną jej działalności w tych stronach był zakład dla trzydziestu ubogich chorych, którzy prócz utrzymania mieli bezpłatną pomoc lekarską. W okolicy Tenczyna eksploatowano już wówczas pokłady węgla, którego używano do ogrzewania wody w łazienkach. Hacquet zastał tam Sasa, górnika, który szukając świdrem soli lub siarki, odkrył przypadkowo węgiel kamienny.

„Kraków“ — pisze nasz autor — „ma położenie bardzo ładne i przyjemne. Leży w równinie, przerzniętej Wisłą. Od zachodu, w obrębie murów miejskich, sterczy skała wapienna, na niej wznosi się rezydencya dawnych królów polskich, tudzież katedra, przepełniona pomnikami, przeważnie z czarnego marmuru wzniesionymi. Szkoda, że w tym Panteonie, obok niewielu godnych, spoczywa tylu niegodnych, których pomniki pięknością i okazałością przewyższają grobowiec Kazimierza Wielkiego. Zamek wraz z katedrą ma tworzyć cytadelę miejską, ale ta warownia dziś już niema żadnego znaczenia, jakkolwiek podczas mego pobytu starano się ją umocnić ze wszech stron. Stolica ta, zniszczona wojnami szwedzkiemi i przez konfederacye, nie podniesie się już zapewne nigdy, choćby nawet przeszła pod obce panowanie. Całe ulice w śródmieściu i na Kazimierzu leżą w gruzach, a widok ten sprawia tem smutniejsze wrażenie wobec śladów wyraźnych dawniej kwitnącego tutaj handlu. Stojące w pośrodku rynku: ratusz, Sukiennice i dom wagi, zdradzają, że dawniej istniały w tem miejscu znaczne składy towarów, dziś opuszczone. Kościoły podobnie, jak dawniej we Lwowie, tworzą główną część miasta. Jest ich 73. Kto zna Włochy, ten z pewnością nie zatrzyma się i chwili, by je podziwiać. Gdy tu przybyłem w dniu 25. lipca 1792 r., kościół był przepełniony tłumem rozradowanych mieszkańców z powodu pogłoski o zwycięztwie, odniesionem nad Rosyanami. Tegoż dnia wieczorem nastąpiło jednak wielkie zamięszanie. Nic nie było słychać, prócz przekleństw, lamentów i płaczu, jak gdyby już się wszystko skończyło dla królewskiej Rzeczypospolitej. Wszyscy złorzeczyli dobremu królowi, który nie mógł postąpić inaczej, oraz Rosyanom. Złorzeczono pierwszemu, ponieważ odprzysiągł się konstytucyi z d. 3. maja 1791 r., stworzonej przez niegodziwego klechę, Kołłątaja. Oburzano się na Rosyan, ponieważ Polska przechodziła znów pod ich opiekę. Teraz nikt już nie chciał wierzyć w zwycięztwo Polaków nad Rosyanami. Przeciwnie, lada chwila

oczekiwano przybycia tych ostatnich i szlachta tłumnie umykała za Wisłę do Galicyi, by tam wyczekiwać końca katastrofy"...

Jak już poprzednio nadmieniliśmy, historykiem nietęgim był nasz przyrodnik, a jeszcze gorszym politykiem, sądzącym dziejowe fakty jedynie według pomyślnego sukcesu danej sprawy.

Niepodobna się również pisać na krytykę, jakiej Hacquet poddaje wszechnicę Jagiellońską. Istnienie odrębnych fakultetów: teologicznego i prawniczego, uważa jako nieodpowiednie. Teologii nauczyć się można w seminaryach, zaś prawa w kancelaryi adwokackiej. Również wydaje mu się zbędnym fakultet medyczny w mieście, „gdzie jest tak mało chorych", pozbawiony kliniki i porządnego szpitala. W ogóle nasz autor odmawia Polakom zdolności w dziedzinie nauk ścisłych, do których zalicza filozofię i medycynę. Chęć do próżnowania i lekkomyślność młodzieży są powodem tego smutnego objawu, którego nie zataił Hacquet wobec K(ościuszki?), gdy tenże bawiąc we Lwowie dla przygotowań rewolucyjnych, zapytał go o postępy uczniów w uniwersytecie. Otrzymawszy wiadomą już odpowiedź profesora, rzekł: Niestety, to jest nieszczęściem Polski. „I później w Warszawie" — pisze autor — „miał on niejednokrotnie wyrażać się w te słowa: Nie ci z mych nieprzyjaciół są najniebezpieczniejsi, którzy są przed nami, lecz ci, którzy stoją za mną lub obok mnie. Niestety, sprawdziło się to przypuszczenie."

Następnie mówi Hacquet o kołtunie, tyle rozpowszechnionym w okolicy nadwiślańskiej, upatrując prawdopodobną przyczynę tej choroby w wodzie, której lud wiejski do picia używa, poczem przechodzi do opisu Wieliczki. Wylicza pokrótce literaturę, odnoszącą się do tych salin, podaje opis i porządek pokładów ziemi, soli i kamienia, zbadany na miejscu, tudzież najważniejsze odmiany składników, istniejących w tych salinach. Dochód z tej kopalni ocenia nasz autor na 700.000 złr. rocznie, jakkolwiek rozbiór Polski obniżył znacznie zbyt soli wielickiej. Z niezwykłym zapałem chwali i położenie korzystne Wieliczki w pobliżu spławnej rzeki i zdrowe a bezpieczne zarazem, wewnętrzne urządzenie salin.

W Swoszowicach zajęły Hacqueta zarówno kopalnia siarki, produkująca według jego obliczenia do 3.000 cetnarów rocznie, i kąpiele siarczane tamtejsze, silniejsze od krzeszowickich a ściągające z pobliskiego Krakowa nietylko rzeczywiście chorych, ale i żądnych zabawy gości. Pięknością położenia uderzyły naszego turystę Mogilany i Kalwarya Zebrzydowska, zaś Myślenice wprowadziły go w dobry humor — zupełnym brakiem żydów. W pobliżu tej miejscowości, po przeciwnej stronie Raby, istniały obfite łomy kamienia

młyńskiego, sprowadzanego ztąd do odległych nawet okolic w Polsce. Z Myślenic wybrał się autor do Bochni, której kopalnie wraz z wielickiemi podlegały bezpośrednio nadwornej komisyi górniczej we Wiedniu, nie pozostając w żadnym stosunku z innemi żupami solnemi w kraju. Ztąd na Maków, Żywiec i Lipową zapuścił się Hacquet w góry. Na Babiej Górze omal, iż nie padł ofiarą grabieży ze strony węgierskich włóczęgów, poczem na Jordanów przybył do Limanowej. Miasteczko, zabudowane w czworobok, posiadało obszerne podsienia, co dało naszemu autorowi powód do twierdzenia, że domy w jednym rzędzie budowane posiadały dach wspólny. Żydów w tych górskich mieścinach było bardzo niewiele: co najwięcej po parę rodzin w każdej miejscowości. Od Nowego Sącza w pięciomilowej odległości leżały w wązkiej dolinie szczawy Krynickie. Przybywszy na miejsce, znalazł nasz uczony ujęte w drewnianą cembrowinę źródło, wielkości sążnia kwadratowego, bijące u stóp góry. Nie było tam ani chaty, ani też innego przytułku. Chcąc przeto uskutecznić rozbiór chemiczny, musiał Hacquet przedewszystkiem pomyśleć o budowie szałasu. Smak wody krynickiej był przyjemny, szczypiący, bez siarkowego posmaku, jaki cechował wodę Bardyowską. Podczas doświadczeń chemicznych, czynionych przez profesora przy pomocy siarczanu potażu, obecnych było kilku włościan, noszących wodę ze źródła. Ujrzawszy wodę, zabarwiającą się pod wpływem żelaza, to znów odzyskującą przezroczystość, oddalili się prostaczkowie co rychlej, obrzucając badacza nieufnem spojrzeniem. Położenie Hacqueta było tem krytyczniejsze, że właśnie w owym czasie burza, szalejąca w okolicy, wyrządziła włościanom znaczne szkody, wobec czego ciemny lud łacno mógł się porwać na jego osobę, jako na czarnoksiężnika. Usiłował przeto biedaczysko w sposób jak najbardziej przystępny wytłómaczyć jedynemu pozostałemu przy nim chłopkowi proces przeobrażania się wody pod wpływem rozmaitych czynników chemicznych, dzięki czemu udało mu się wyjść bez szwanku z tej sprawy. Już wówczas doradzał Hacquet urządzenie w Krynicy zdrojowiska dla tych, którzyby chcieli pić wody na miejscu, a oraz założenie tamże huty szklanej, produkującej bańki i butelki dla wysełki wody służące, gdyż wożenie pustych flaszek ze Lwowa do źródła i transport tychże po napełnieniu, podwyższały cenę wody krynickiej do tego stopnia, iż taniej można było dostać wodę bilińską, z Czech sprowadzaną.

W Łącku spotkał nasz badacz okaz kretyna z wolem potężnym u gardła, nie umiejącego mówić, ani też zdolnego do jakiejkolwiek fizycznej roboty. Widok tej nieszczęśliwej istoty nasunął mu pod

pióro przypuszczenie, że skład wody do picia, zimno, liche pożywienie a może też i dziedziczność przyczyniają się w górskich okolicach do wytwarzania wśród ludności kretynów, choć nie zawsze przypadłość wola jest identyczna z głupkowatością. W dolinie Nowotarskiej, we wsi Witowie, inna znów osobliwość zajęła Hacqueta. Był nią staruszek, włościanin, nazwiskiem Kazimierz Bajor, liczący lat 129. Profesor zastał go siedzącego na kamieniu i wygrzewającego się do słońca. Stracił już wzrok, lecz był dość krzepki i wszystkich znajomych poznawał po głosie. Wędrując ku źródłom Białego Dunajca, dotarł autor do hut żelaznych, istniejących w pobliżu tychże, wśród zupełnej już pustyni. Była to huta rządowa, więc mieszkało przy niej kilku urzędników, których naczelnik, Otto nazwiskiem, towarzyszył Hacquetowi w dalszych jego górskich wycieczkach. W pół roku później zbrodnicza ręka puściła z dymem ową hutę i zrabowała doszczętnie pogorzelców. W Ornaku znalazł Hacquet ślady dawnych hut, zkąd też poszła nazwa tych miejscowości, (Stara Robota). W Pysznej wydobywano rudę miedzianą, dającą na cetnar zaledwo 2—5 łutów kruszcu, a i w dolinie Kościeliskiej czynną była huta żelazna, przy której istniało kilka domostw z mieszkaniami dla górników. Przez Jaworzynę dotarł nasz autor do stóp Krywania, lecz wycieczka jego na ten szczyt nie powiodła się z powodu przewodników, którzy zmylili drogę. Po nocy, spędzonej wśród śniegów, ruszyli turyści z powrotem, nie dotarłszy do szczytu. Morskie Oko nie zajęło ich wcale. Hacquet zbywa je trzywierszową wzmianką, obszerniej rozpisując się o hucie, założonej na Jaworzynie przez pewnego szlachcica, któremuto przedsiębiorstwu nie rokował dłuższego powodzenia. Z Czorsztyna ruszył nasz autor w dalszą wędrówkę po spiskim i liptawskim komitacie, lecz wrażenia i przygody, jakich doznał w tej podróży, nie wchodzą w zakres naszej opowieści, podobnie jak zamierzone przez niego w osobnym dodatku wskazówki i rady dla turystów, zamierzających zwiedzać góry.

Książka Hacqueta, mimo pewnych usterek i niewłaściwości, dotyczących politycznej i dziejowej strony jego pracy, pozostanie cennym dokumentem do przeszłości Galicyi zarówno dla przyrodnika, jak dla etnografa i badacza ekonomicznych stosunków naszego kraju. Szorstkie i bezwzględne poglądy, wypowiedziane przez autora *Podróży* o wadach tutejszego społeczeństwa, razić mogą jedynie szowinistów. Historyk rozpozna łacno prawdę od stronniczego, ściśle indywidualnego zapatrywania pisarza, którego pracę uzna i oceni tak, jak na to zasługuje każde poważne, ściśle naukowe dzieło.

V.

Józef Rohrer, podróżnik i statystyk, któremu zawdzięczamy wiele ciekawych szczegółów, dotyczących Galicyi w pierwszych latach bieżącego wieku, nie miał równie burzliwej karyery za sobą, jak Kratter, Bretschneider lub Hacquet, choć i jego zawód publiczny odznaczał się rozmaitością zajęć. Rohrer jadał też chleb z niejednego pieca. Urodzony w Wiedniu, w roku 1769, skończył tamże studya i zrazu wstąpił w służbę do buchhalteryi rządowej, by następnie przenieść się do policyi. Jako komisarz policyjny przybył Rohrer do Lwowa w roku 1800 i w tym też prawdopodobnie charakterze odbył w jesieni 1802 r. i w zimie roku następnego podróż przez całą Bukowinę i Galicyę, począwszy od granic multańskich a skończywszy na Białej. Opis tej podróży, zawierający mnóstwo cennych wiadomości, dotyczących ekonomicznego stanu kraju, wydany w dwa lata później, jak niemniej pracowite rozprawy o Słowianach austryackich oraz o żydach, zapewniły mu katedrę w liceum lwowskiem, gdzie obok umiejętności politycznych należały do niego wykłady z kodeksu karnego w dziedzinie cięższych przestępstw policyjnych, oraz prelekcye statystyki i austryackiego państwowego prawa.

Zrazu myślał Rohrer o przeniesieniu się ze Lwowa i w tym celu kilkakrotnie upraszał władzę przełożoną o udzielenie mu innego miejsca przeznaczenia. Skoro jednak w roku 1816 zamianowano go profesorem licealnym w Ołomuńcu, uznał za stosowne dopraszać się o pozostawienie go we Lwowie, gdzie gotowano się do przeistoczenia liceum w uniwersytet. Uczyniono przeto zadość prośbie Rohrera i do roku 1828 wykładał on jako zwyczajny profesor umiejętności polityczne, gdyż w prelekcyach statystyki wyręczał go od roku 1818 Karol Hüttner. Choroba piersiowa kres położyła profesorskiej i naukowej pracy naszego uczonego, który uwolniony od obowiązków w lutym 1828 r., przesiedlił się do Wiednia, gdzie życia dokonał w dniu 21. września tegoż roku.

Józef Rohrer, którego odróżnić należy od Karola Rohrera, radcy gubernialnego i dyrektora policyi lwowskiej, smutnie zapisanego w historyi rozruchów studenckich, jakie miały miejsce z wiosną 1807 roku na tutejszej wszechnicy, pozostawił prócz pomniejszych rozpraw, umieszczanych w *Vaterländische Blätter*, wcale obfitą spuściznę literacką, złożoną przeważnie z prac statystycznych. Dla nas szczególniejszy przedstawia interes obok rozpraw o Słowianach i żydach w monarchii austryackiej, wspomniany już opis podróży, odbytej od granic tureckich ku Wiedniowi. Tytuł tej pracy brzmi w oryginale, jak następuje: *Bemerkungen auf einer Reise vou der Türkischen Gränze über die Bukowina durch Ost und West Galizien, Schlesien und Mähren nach Wien. (Wien 1804 bei Anton Pichler).* Relacya ta spisaną została w formie listów, których liczymy dwadzieścia i jeden. Począwszy od listu drugiego, datowanego z Suczawy, a skończywszy na szesnastym, pisanym w Białej, znajdujemy wzmianki o handlu i przemyśle, bukowińskim i galicyjskim, które mimo zupełnej zmiany stosunków i dziś jeszcze podatny przedstawiają materyał dla statystyka i etnografa. Zauważyć przytem należy, że Bukowina tworzyła w owym czasie jedną całość administracyjną z Galicyą, w skład której wchodziły też w latach 1795—1809 województwa: Krakowskie, Sandomierskie i Lubelskie, tworzące sześć cyrkułów: Krakowski, Kielecki, Sandomierski, Bialski, Koniecki i Lubelski.

I tak zaraz w granicznem mieście Suczawie zauważa Rohrer, że handel miejscowy ogranicza się do pewnych wyrobów tkackich i bawełnianych, służących do stroju wieśniaczego i wywożonych do Multan, gdy te ostatnie wiodły z Galicyą i z Morawią nader ożywiony handel bydłem rogatem. Drugie z kolei bukowińskie miasteczko Seret nie o wiele korzystniejsze sprawiło na nim wrażenie. Na każdym kroku widział ślady barbarzyństwa, począwszy od gburowatego oficera werbunkowego a skończywszy na landsdragonie, rozbijającym się konno po ulicach miasteczka. Ludność Bukowiny wynosiła w roku 1800 głów 190 389, zamieszkałych w trzech miastach, (Czerniowce, Seret, Suczawa), w trzech osadach, (Kimpolung, Wyżnica, Kocmań), i w 259 wsiach. Ludność krajowa byłaby niewątpliwie o wiele większą, gdyby rząd z powodu znacznych kosztów nie był zmuszony do zaniechania zainaugurowanej przez cesarza Józefa II. kolonizacyi Bukowiny, dzięki której na niewielkiej stosunkowo przestrzeni znalazły się obok siebie rozmaite szczepy i narodowości, jak: Niemcy, Wołosi, Szeklerzy, Żydzi, Ormianie, Polacy, Rusini, Grecy i Cyganie. Kolonie niemieckie najwięcej interesowały

naszego podróżnika, który na przestrzeni między Seretem a Suczawą naliczył dziewięć osad tej narodowości, złożonych z kilkunastu i z więcej domostw. Koloniści ci mieli wspólnego pastora, niejakiego Schwarca, Sasa z Siedmiogrodu rodem, człowieka bardzo wykształconego i zacnego.

Dobra droga, wiodąca z Suczawy do Seretu, w korzystnym pozostawała kontraście z bezdrożami mołdawskiemi. Ponieważ jednak transport kołami był stosunkowo dość drogi, przeto zwracał Rohrer uwagę rządu na korzyści, jakieby dla kraju spłynęły z uregulowania rzek bukowińskich. Już Rosyanie podczas wojny tureckiej spławiali Seretem materyał masztowy do Dunaju, a ułatwienie żeglugi na Dniestrze, Prucie, Mołdawie i Suczawie ułatwiłoby w wysokim stopniu handel z posiadłościami tureckiemi. W ogóle Bukowina odznaczała się obfitością wody. Między Dniestrem a Prutem ciągnęły się nieprzebyte prawie bagna, których osuszenie połączone było z nieobliczalnemi korzyściami dla rolnictwa. Niemniej obfitował kraj ten w sól. Za czasów pobytu Rohrera rząd zamknął 49 słonych źródeł. Największa żupa warzonki istniała w Kaczyce, w okolicy Suczawy, w której sprzedawano rocznie do trzech tysięcy cetnarów soli po cenie dwóch złotych za cetnar warzonki dla bydła i 2 złotych 30 krajcarów za sól jadalną. Sól kaczycka, ciesząca się znacznym odbytem na Mołdawii, przez czas dłuższy miała do walczenia z uprzedzeniem. Twierdzono, że jest ona szkodliwą nawet dla bydła i dopiero badania Jacquina wykazały, że warzonka bukowińska lepszą jest znacznie od węgierskiej.

W Fradautz, w dobrach funduszu religijnego, wydzierżawionych przez rząd, mieściła się komenda wojskowych remontów, dostarczająca koni dla lekkiej kawaleryi, stacyonowanej w Galicyi. Utrzymywano stale na stajni 180 ogierów, rozdzielanych z wiosną po rozmaitych stadarniach, a nadto zakupowano konie w Rosyi, w Multanach i na Bukowinie, gdyż w czasach wojennych zakład ten dostarczał armii rocznie 5000—6000 koni. Na czele zakładu stał pułkownik, br. Calavar. Konie remontowe i klacze ze stadniny pasły się przez całe lato w górach i dopiero na zimę powracały na suchą paszę do Fradautz. W Serecie zrobił nasz podróżnik wcale niemiłe odkrycie. Oto zapotrzebował soli gorzkiej i nie mógł jej dostać w całem mieście, gdyż jedyna w kraju apteka istniała dopiero od roku 1785 w Czerniowcach. Na zdziwienie, wyrażone z tego powodu przez Rohrera, odparł mu gospodarz zajazdu: Dawniej nie było żadnej apteki, a jednak żyliśmy . . .

W Czerniowcach doznał Rohrer przyjaznego przyjęcia ze strony miejscowych urzędników, jakoteż biskupa wyznania wschodniego, Michała Władowicza, którego był gościem. Biskup ten dawniej pobierał dochody z Radowiec, gdzie wyrabiano wyborne sery, smakiem przypominające ser prowansalski. Za reformy Józefińskiej odebrano biskupowi Radowce, dając mu w zamian płacę roczną w sumie 6.000 złotych. W stolicy Bukowiny — był to koniec listopada — zaskoczyły też naszego podróżnika pierwsze śniegi, a stosy drzewa, jakie rzucano do źle urządzonych pieców, dały mu asumpt do wyrażenia skargi z powodu fatalnej gospodarki lasowej na Bukowinie. Ogromne lasy między Prutem a Dniestrem, tudzież między Prutem a Seretem zostały już znacznie przetrzebione, zaś w najbliższej przyszłości los ten zagrażał również lasom w dolinie Czeremoszu. O świeżych zapustach nikt nie myślał i zrębów używano na pastwiska, miasto siania na łąkach pastewnych roślin. Uprawą koniczu zajmował się w większych rozmiarach jedynie zarząd dóbr kameralnych w Radowcach. Do pustoszenia lasów przyczyniała się nadto opłata od każdej fury wywiezionego drzewa, wynosząca od czterech do dwudziestu krajcarów, która wydzierżawiona prywatnemu przedsiębiorcy za czynszem rocznym 4.500 złr., zniewalała arendarza do powiększania, o ile możności, drzewnego wywozu. Równocześnie właściciele prywatni niszczyli niemiłosiernie swe lasy, utrzymując w nich potażarnie. W roku 1799 było w kraju 90 potażarni, które spostrzebowały w ciągu następnych lat pięciu 1,310.714 sążni drzewa. Wprawdzie ludność uboższa znachodziła zajęcie przy tej robocie, ale główny zysk przypadał w udziale nie właścicielom dóbr, lecz żydom, wywożącym gotowy już produkt do Prus. Rząd położył w końcu tamę tej dewastacyi leśnej, zamykając przeważną część potażarni, otwieranych bez wiedzy władzy, a które, zdaniem autora, należałoby zaprowadzić w bardzo lesistych dobrach kameralnych, w Sołce, w Fratautz, w Iliszestie, gdzie ciągnęły się jeszcze całemi milami bory. Potaż bukowiński szedł na Wrocław i Gdańsk do blichów angielskich, holenderskich, francuzkich i północno-niemieckich, zkąd go z drugiej ręki nabywano znów do Czech i Moraw.

Dla braku opału groziło też zaprzestanie robót w hucie ołowianej Manca w Dadul, eksploatującej tamtejszą rudę ołowianą, zawierającą do czterdziestu procentów czystego ołowiu, prócz 2—8 łutów srebra. O wiele ważniejszą dla przemysłu krajowego była huta żelazna w Jacobeny, posiadająca, prócz wydatnej rudy, dobre położenie, podostatkiem wody i drzewa. Huta ta dostarczała rocznie 4.000 cetnarów.

Przewóz podróżnych i frachtów, podobnie jak domy zajezdne, dzierżawili na Bukowinie żydzi. Nawet główny hotel w Czerniowcach „pod orłem“ był własnością wdowy, żydówki. Żydzi bukowińscy rozpanoszyli się, podobnie jak w Galicyi, na niekorzyść krajowych kupców i przemysłowców. Wprawdzie w roku 1785 zarząd wojenny bukowiński wydalił wszystkich żydów, nieposiadających stałego zajęcia, skutkiem czego pozostało w kraju 175 rodzin żydowskich. Od czasu jednak, jak zarząd wojskowy ustąpił miejsca cywilnemu, podskoczyła liczba rodzin starozakonnych do cyfry 549, głów 3.286. Niektórzy z nich zajmowali się rolnictwem. Przeważna atoli część żydów bawiła się wyszynkiem i kramarstwem.

Wśród straszliwej zamieci dotarł Rohrer z Czerniowiec do Stanisławowa bryką żydowską i zatrzymał się w zajeździe na przedmieściu, utrzymywanym również przez starozakonnego gospodarza, gdyż konie, które go przywiozły, pogubiły podkowy. Gotowych podków nie można było dostać w Stanisławowie, musiał więc autor czekać, zanim kowal na świeżo podkuł zbiedzone drogą konięta. W karczmie widok wieśniaka, przybyłego z gór okolicznych, nasunął mu pod pióro kilka uwag o nędzy tej ludności, która miasto gorliwszego zajęcia się chowem koni, owiec i bydła, rokrocznie udawała się na zarobek w żyźniejsze okolice Galicyi i na Multany. Jako przykład ubóstwa tej ludności przywodzi wieśniaków z dóbr kameralnych Jamna, położonych w dzisiejszym powiecie Nadworniańskim. Wieś ta liczyła 351. numerów, lecz chłopi tamtejsi nie posiadali rozleglejszych gruntów, prócz ogrodów przy chacie, w których sadzili kartofle i jarzynę. Głównym ich dobytkiem były: bydło, trzymane zimą i latem pod gołem niebem, pozbawione w porze zimowej należytej paszy, tudzież konie, wynajmowane żydom celem przewozu płótna, miodu i innych produktów do Węgier. Droga ta była wielce utrudzająca, gdyż w ciągu niej dwukrotnie trzeba się było przeprawiać przez Prut. Podczas przeprawy wozy z towarami przewożono na czółnach, zaś konie płynęły obok czółen. Podobnie smutną była dola włościan w Dorze, liczącej do pięćdziesięciu numerów, przyczem żydzi zabierali im niejednokrotnie bydło, pasące się na połoninach, za rzekome długi. Ta okoliczność zniewoliła też autora do wystąpienia z wnioskiem, by w sprawach, toczących się między żydami a chłopami, wydanie bydła włościańskiego w ręce wierzyciela uczynić zależnem od zezwolenia władzy politycznej. Chłopi z Łojowej i z Kosmacza zwykli byli szukać zarobku na węgierskiej stronie, przy spławianiu drzewa, zaś wieśniacy z Dżwiniacza i z Babcza zapuszczali się aż na Mołdawię. Poddani z Markowej

udawali się podczas żniw na doły, gdzie najmowali się do roboty w polu za dziesiąty lub dwunasty snop, który miał im dostarczyć pożywienia w porze zimowej. Tak samo postępowali chłopi w Żurakach, o ile nie znachodzili zatrudnienia przy zwózce soli. Część wsi Żuraki należała do Dominikanów z Bohorodczan, i do kilku dziedziczek, w innej znów części siedziało około czterdziestu właścicieli, tak zwanej szlachty chodaczkowej, nie różniącej się niczem od sąsiadujących z nią chłopów. Ponieważ w Żurakach nie było pastwisk, przeto połowę pól pozostawiano corocznie ugorem dla paszenia bydła. Niedziw przeto, że nędza i głód częstymi w tych stronach były gośćmi a w Cucyłowie, podczas zarazy na bydło ludność w zupełności zaniechała uprawy roli. Zwyczaj ugorowania połowy pól zauważył Rohrer i w Wołosowie i w Tyśmieniczanach a w Czarnołoścach, w Podpieczarach i w Hryniowcach leżały role odłogiem po trzy i cztery lata. Na święty Jan ruszono je lekko pługiem, drugi raz na matkę Boską, we wrześniu przeorano zagon na ćwierć łokcia głęboko, zasiano oziminą i zawłóczono. — To była kwintesencya galicyjskiego rolnictwa! — woła nasz autor zaznaczywszy mimochodem nędzną dolę unickiego duchowieństwa, obarczonego dziećmi i zniewolonego konieczną potrzebą do wyzysku swych parafian.

Niedostatek inwentarza roboczego oraz bydła, potrzebnego choćby dla dostarczenia odpowiedniej ilości nawozu, — (zarząd dóbr kameralnych w Galicyi posiadał zaledwo 2.099 sztuk bydła rogatego), — zaniedbanie uprawy roślin pastewnych i zwyczaju karmienia bydła suchą paszą, sprawiały, iż wszelkie marzenia o podniesieniu rolnictwa krajowego uważać należało za chimerę, podobnie jak uszlachetnienie rasy krajowego bydła. Dlatego też Galicya, produkująca tak znaczną ilość zboża, nie mogła dostarczyć swej stolicy dostatecznej ilości bydła opasowego, które musiano sprowadzać z Mołdawii, podczas gdy zboże i bydło w kraju zakupowali żydzi za marną cenę.

Od wsi przechodząc do miasteczek stanisławowskiego cyrkułu, opowiada nam autor o Niżniowie, założonym przez księcia Jabłonowskiego a osiadłym głównie przez żydów. W Bohorodczanach zajął go klasztor Dominikański. Cechy tamtejszy: szewski, kowalski, tkacki, posiadały przywileje, nadane im w r. 1753 przez kasztelana Kossakowskiego, lecz cechmistrze nie umieli czytać tych dokumentów. Szewcy bohorodczańscy sporządzali buty chłopskie, które sprzedawali następnie na jarmarkach w Obertynie, w Stanisławowie, i w innych miasteczkach, zaś tkacze pozbywali wyrabiane przez

nich płótno po dwadzieścia krajcarów za arszyn, ($1^1/_2$ łokcia w.). Mimoto uskarżali się na brak odbytu. Do starszych w kraju miasteczek zaliczała się Nadwórna, gdzie poszczególne cechy szczyciły się również nadaniami dawnych tego miasteczka dziedziców, datującemi się z pierwszej połowy ośmnastego wieku. Było tam do czterdziestu tkaczów, wyrabiających grube płótno. Prócz kuśnierzy i szewców, pozbywających swe wyroby częścią na miejscowych targach, częścią też ciągnących z nimi na jarmarki do Stanisławowa, Otynii i Słotwiny, wiedli żydzi tamtejsi ożywiony handel wszystkimi produktami krajowymi w Galicyi i w górnych Węgrzech. Handlowali wszystkiem, począwszy od zboża a skończywszy na wyrobach żelaznych.

Z kolei opisuje nam autor fizyonomię samego Stanisławowa, w którym oprócz samego kościoła, podobały mu się szczególniej dworki z ogrodami na przedmieściu, pobudowane przez urzędników tamtejszego cyrkułu i *fori nobilii*. Restauracyę w mieście urzymywała holenderska dama w pewnym wieku. Siedziała za bufetem w żółtej, jedwabnej sukni, ufryzowana, z miną wielce zasmuconą po stracie dopieroco zgasłego męża. Pocieszał ją oficer od Wallonów. Po dobrym obiedzie, spożytym w towarzystwie oficerów konsystującego tamże pułku Beaulieu, udał się Rohrer, do jedynej w mieście kawiarni, utrzymywanej przez czeszkę z wielką schludnością.

Po tak sumarycznej relacyi o grodzie Rewery znajdujemy sie z naszym autorem w Haliczu, gdzie głównym przedmiotem jego ciekawości byli Karaici, których rabina spotkał na ulicy. Żulim Zachariewicz zwał się ów naczelnik sekty, człek jeszcze nie stary, lecz ułomny, skutkiem czego wydawał się nad wiek swój sędziwym. Ubrany był w długą, niebieską bekieszę, okładaną czarnym barankiem; na głowie miał konfederatkę a w ręku długą laskę. Rozmawiał z nim Rohrer po polsku, dopytując się o znaczenie obyczaju sekciarzy, unikających widoku śmierci, nawet swych najbliższych. Karaita, będący mimowolnie świadkiem zgonu którego z swych współwyznawców, spieszy co rychlej do Dniestru, by zanurzyć się wraz z głową w jego nurtach. Toż samo czynią kobiety dla zmycia z siebie rzekomej skazy, wynikającej z dotknięcia nieboszczyka. Ale na wymowne wywody Rohrera, dowodzącego, że zwyczaj ten jest prawdopodobnie powodem, iż sekta tak szczupłą ilość liczy wyznawców, odpowiedział rabbi z niezachwianym spokojem: Bóg tego chce a z Nim spierać się niepodobna.

Odwiedziwszy okopisko i synagogę Karaitów, pożegnał nasz podróżnik Zacharjewicza, otrzymawszy od niego na drogę błogosławieństwo, ale za powrotem do gospody wysłuchać musiał zjadliwej krytyki, z jaką jeden z uczonych, halickich żydów wystąpił przeciw Karaitom. Szydził ów mędrzec, talmudysta, z prostoty obrzędów karaickich, zarzucając sekciarzom, że nie są ani chrześcianami, ani też żydami, jakkolwiek obchodzą sabat. W owych czasach corocznie zjeżdżał z Krymu jeden z Karaitów do Halicza, by zaopatrzyć gminę tamtejszą w księgi święte, zaś sami sekciarze utrzymywali, że przybyli wraz z Tatarami do Polski, gdzie też osiedli otrzymawszy od królów znaczne przywileje. Spisując powyższe wrażenie w karczmie przy świetle łojowej świeczki, dowiedział się Rohrer od swego gospodarza, że jest to jedyna świeca w całem mieście, gdyż dopiero nazajutrz miano znów wylewać świece, szabasówki. Wobec smutnej perspektywy przepędzenia długiego wieczoru po ciemku a co najwyżej przy świetle łuczywa, zastanawia się nasz autor nad dziwnym zaiste ubóstwem w świece i w mydło kraju, który tak jak Galicya opływał w wosk i w łój. Zakupowano wówczas w Galicyi corocznie rosyjskiego mydła za 40.000 złotych a dobre świece drożej kosztowały we Lwowie, aniżeli w Wiedniu.

W liście następnym, pisanym z Bóbrki, dowiadujemy się o robotach rządowych, podjętych celem ułatwienia spławności Dniestru. Odbywały się wówczas próby niwelacyi terenu pod dozorem starosty zaleszczyckiego, barona von Linkena, który właśnie podczas pobytu autora w Haliczu, przybył tamże na osobno w tym celu zbudowanym okręcie. Robotami przedwstępnemi zajmowało się czterech inżynierów, którzy w ciągu trzech lat obiecywali doprowadzić dzieło to do skutku. Żywa fantazya Rohrera pozwalała mu już widzieć zboże galicyjskie, spławiane do Stambułu i do portów morza Śródziemnego. Kazała mu się kłopotać z powodu braku konzula austryackiego w Odessie, ale rzeczywistość nie ziściła dotychczas projektu tyle pożądanego dla handlu galicyjskiego.

Od żeglugi na Dniestrze skok do bartnictwa krajowego jest nieco za śmiały, ale u naszego autora, obdarzonego widocznie wielką ruchliwością obserwacyjnego zmysłu, nie jest on nadzwyczajnością. Widząc w obwodzie brzeżańskim ogromne łany hreczki, starał się koniecznie dowiedzieć, o ile chów pszczół rozwinął się w tej okolicy. Niestety, nie dostarczono mu żadnych dat w tej mierze. Powraca więc do opisu Bóbrki. Bóbrka sprawiła na nim wrażenie żydowskiego miasteczka, w którem obok zamożnych Izraelitów wegetowało ubogie mieszczaństwo. W gronie tegoż znalazło się do stu tkaczów wyzy-

skiwanych straszliwie przez żydów. Właściciel zajazdu, w którym zatrzymał się Rohrer, powrócił właśnie z Gdańska, gdzie sprzedał dwa tysiące sztuk płótna workowego, wyrobionego w Bóbrce. Przypuściwszy, że tylko 1 zł. 30 krajcarów zarobił przedsiębiorczy żydek na każdej sztuce, łatwo się obliczy, że operacya ta przyniosła mu na czysto trzy tysiące złotych dochodu.

I znów od tkactwa zwraca się nasz autor do kultury roślin pastewnych i drzew owocowych w cyrkule brzeżańskim, gdzie znajomy jego, zarządca dóbr kameralnych, (dziś g. k. metropolii lwowskiej). Uniowa, niejaki Haüsler, pomyślne czynił doświadczenia z uprawą koniczyny a zarazem znalazł skuteczny sposób, by zmusić włościan do szczepienia szlachetnych gatunków owoców na leśnych dziczkach. Oto parobkom i dziewkom, chcącym się pobrać, nie wydawał on tak długo pozwolenia na małżeństwo, dopóki każde z nich nie zasadziło dziesięć szczepów w swym ogrodzie. Podobnemu rygorowi podlegali też wdowcy i wdowy, po raz wtóry wstępujący w związki małżeńskie, więc też niebawem kultura drzew owocowych w dobrach Uniowskich nader okazałe przybrała rozmiary. Tenże sam Haüsler czynił doświadczenia z uprawą krokoszu i buraków. Z buraków przechodzi nasz autor do cykoryi, zarastającej w stanie dzikim całe łany między Rawą a Tomaszowem. Ludność miejscowa uważała cykoryę za chwast uporczywy, nie wiedząc o tem, że plantatorowie cykoryi w Brunszwiku zarabiali corocznie na tym artykule 34.200 talarów. Rozprawy swe na temat rolnictwa przemysłowego zamyka nasz autor wzmianką o plantacyach reumbarbarum a mianowicie o świeżo założonej w Jaktorowie tudzież o dawniej istniejącej w Mierzwicy. Ta ostatnia plantacya na czteromorgowym obszarze liczyła 40.442 sztuk, z których 18.000 w kwietniu i takąż ilość w jesieni t. r. miano przesadzić. Pięćset sztuk siedmioletnich korzeni nadawało się już do preparowania, gdyż starsze gniły w ziemi. Plantacyi mierzwickiej nie rokował Rohrer powodzenia na przyszłość i z powodu wilgotnego terenu i zbytniej przewiewności. Lepiej zadowiadały się, jego zdaniem, plantacye w Jaktorowie i w Mokratynie.

Cztery następne listy poświęcił nasz autor opisowi Lwowa. Przedewszystkiem uderza on na knajpiarstwo Lwowian, którzy najchętniej przebywają w kawiarniach i w cukierniach, choć w domu mogliby mieć napoje i lepsze i tańsze. Tem też się tłómaczy, że w krótkim stosunkowo czasie dwaj kawiarze: Polak, (Lewakowski?), i Niemiec, (Wolf?), tudzież cukiernik Włoch, (Andreolli?), nabyli na własność kamienice w rynku. Istniało też w rynku kasyno w domu

lekarza Spawentego, przybyłego tutaj z Trydentu, którego syn rownież się poświęcił praktyce lekarskiej. Wogóle zawód lekarski opłacał się w Galicyi. Przybyli bez grosza z Niemiec medycy dorabiali się rychło do kilkudziesięciu tysięcy złotych majątku. Nie mogli o tem i marzyć krzepiący ducha, nie ciało. Dzieło w polskim języku drukowane było nadzwyczajną rzadkością. Jedynie podczas kontraktów, trwających od połowy stycznia do końca lutego, rozbijali na rynku swe budy polscy księgarze, którzy otuleni w kożuchy sprzedawali stare kroniki i dzieła teologicznej treści, drukowane dawniej w Zamościu, w Lublinie i w Krakowie. Autorowi znane były tylko dwie drukarnie: polska w Zamościu i niemiecka t. z. Pillerowska we Lwowie. Piller wykonywał przeważnie druki rządowe i posiadał pod Szkłem własną papiernię, która wszakże dostarczała jedynie papieru do druku. Papier do pisania sprowadzała Galicya z Morawii. Wiele papieru drukowego spotrzebowały lwowskie drukarnie żydowskie, które sprzedawały wytłaczane w nich księgi liturgiczne do Rosyi, Prus Południowych i Węgier. O stanie literatury galicyjskiej nie chce Rohrer zdawać szczegółowej relacyi, twierdząc, iż niema zamiaru rozdrażniania przeciwko sobie grona tak zwanych uczonych. Poprzestaje więc na ogólnikowej uwadze tej treści, że we Lwowie, podobnie jak w innych miastach monarchii, jest wielu ludzi uczonych, którzy wszakże ze względów przezorności nie chcą uchodzić za autorów. „Doświadczenie poucza nas niestety, że miernota, nie dążąca bynajmniej do czegoś wyższego o wiele łatwiej radzi sobie w świecie i że najłacniej zyskuje się nieprzyjaciół, pisząc lub mówiąc prawdę“ — słowa autora.

Zarazem ubolewa Rohrer, z powodu, iż ogół publiczności tak mało korzysta z biblioteki uniwersyteckiej, obficie zaopatrzonej w dzieła przyrodnicze. Jeden tylko Hacquet pracował z tym samym co w młodszych latach zapałem na niwie piśmiennictwa. Uczony ten jednak prowadził życie tak odosobnione, iż nawet z autorem naszym, swym kolegą po piórze, mieszkającym w najbliższem jego sąsiedztwie, żadnych nie utrzymywał stosunków. Na to odosobnienie pracowitego badacza wpłynęła też zapewne okoliczność, iż ożenił się z młodą Polką, której osobiste przymioty kazały mu zapomnieć o złośliwych wycieczkach, jakie wymierzał ongi w swych dziełach przeciw instytucyi małżeństwa. Oprócz Hacqueta zajmowali się umiejętnością lekarze: Hiltenbrand, Knec, Krausnecker, Masoch, posiadający zasobne zbiory medyczne. Niektórzy sprowadzili sobie już z Wiednia „galwaniczne aparaty“ i szczepili ospę. Pod względem

dem artystycznym i estetycznym najzasobniejszą była biblioteka Rzewuskiego, stojąca otworem dla każdego cudzoziemca.

Zbliżająca się pora kontraktowa — czytamy w liście z dnia 28. grudnia — ściąga do miasta tysiące chrześcian i żydów. Od powodzenia kontraktów zależały losy całego roku dla kupców i rękodzielników. Kontraktowicze w białych jedwabnych pończochach, i w trzewikach pędzili, mimo mrozu, na bale, urządzane w kasynie Höchta[1]). Wszystkie artykuły modne znajdywały pokup w owej porze. Szlachta najchętniej odwiedzała sklepy: Klotza, Koberweina, braci Bürgerów, zwanych popularnie Szwajcarami, Nagaszewskiego i Machowskiego tudzież sklepy żydowskie: Zudyka, Bałabana i Götzla. Tych ośmiu kupców zaopatrywało w towary modne nietylko Galicyę wschodnią ale i Kraje Zabrane. Na balach dziecinnych, urządzanych przez tancmistrza, Kurtza, Alzatczyka, spotkać było można obok młodzieży galicyjskiej także przedstawicieli szlacheckich rodzin z Prus południowych i z Krasnorosyi, odbierających tu wykształcenie. Bawiono się z roku na rok huczniej, ale coraz to mniej małżeństw kojarzyło się w owym czasie. Szlachta nie tańczyła na redutach. Chodziła na nie, aby widzieć i być widzianą. W sali przesuwały się kostyumy najrozmaitszych wieków i narodów, zaś złośliwi utrzymywali, że brzydkie panie przebierały się najchętniej za murzynki. Lody i włoskie przysmaki roznoszono po sali podobnie jak w Wiedniu. Ton towarzyski zebrania był o wiele swobodniejszy we Lwowie, aniżeli w Warszawie, gdzie Polacy stronili od Prusaków. W restauracyi Jerzego Hofmana, pod „trzema hakami“ najpierwszej w kraju, codziennie po przedstawieniu gromadziło się towarzystwo, złożone zarówno z Polaków, jak z Niemców. Przy Erlauerze i maślaczu rozprawiano w obu językach. Panie polskie jednak niechętnie mówiły po niemiecku, co nie było rzeczą dziwną, gdy nawet rodowite Niemki chętniej posługiwały się francuszczyzną. W lokalach publicznych przeważała niemczyzna. Nawet Polak Lewakowski, kawiarz, przemawiał ze względu na swych gości tym językiem [2]). W salach redutowych, codziennie od godziny szóstej do dziewiątej wieczorem odbywało się tak zwane „Kasyno interesowe“, pod nadzorem urzędnika policyjnego i oficera. Wstęp na salę kosztował piętnaście krajcarów. Gromadziła się tu nietylko

---

[1]) Kasyno Höchta istniało w miejscu, gdzie dziś wznosi się fronton gmachu sejmowego.

[2]) Jakób Lewakowski, kawiarz i obywatel miasta Lwowa, zmarły dnia 14. listopada 1839 roku.

szlachta galicyjska, ale przybywali też ziemianie z stron dalekich, z pod Berdyczowa i Kijowa. Co krok widać było ściskających się kordyalnie szlachciców, słychać było gorące dysputy polskich adwokatów. Omawiano sprawy w dużej sali, zaś w pobocznym mniejszym pokoju zapijano ponczyk.

Gwar ten wesoły milknął we Lwowie z chwilą ustania kontraktów. Ziemiaństwo powracało do domu z zajmowanych chwilowo kwater, wynajmowanych na parę tygodni za cenę 50—60 dukatów od rodzin urzędniczych, które tymczasem mieściły się, jak mogły, w tylnych komórkach, odstępując frontowe pokoje kontraktowym gościom. W ten tylko sposób mogli ci ludzie opłacać za mieszkania wysokie czynsze, współzawodniczące z cenami wiedeńskiemi. Większość wszakże kontraktowiczów zwłaszcza tych, którzy przybywali bez kobiet, mieściła się w żydowskich zajazdach, ciągnących się między gmachem jeneralnej komendy [1]) a gościńcem janowskim. Co prawda pokoje w tych zajazdach nie grzeszyły wykwintnem urządzeniem. Prócz tapczana, stołu i stołka, nic więcej tam nie znalazłeś. Łóżka z pościelą istniały jedynie w hotelu Höchta, bardzo drogim. W zajazdach żydowskich nie było też mowy o miednicy, o szczotkach lub grzebieniu. Zabrudzony myszures spełniał wszystkie posługi a myto się pod studnią w dziedzińcu.

Zima 1803 roku była nader ostrą. Widać to z listu dziesiątego, pisanego w styczniu t. r. W samym cyrkule lwowskim zmarzło na śmierć 32 osoby, których zresztą nie umiał nikt ratować. Niedostatek opału dawał się najsrożej uczuwać biedniejszej ludności miejskiej, zdanej na łaskę i niełaskę żydów. W okolicy Lwowa lasy już były bardzo przetrzebione zaś w browarach i w gorzelniach marnotrawiono bez potrzeby bardzo wiele materyału opałowego. Zresztą o racyonalnej gospodarce lasowej nie mogło być mowy choćby dlatego, że w całym kraju nie było ani jednego zakładu, kształcącego przyszłych leśników, zaś właściciele lasów gospodarzyli w nich według własnego upodobania, nie troszcząc się wcale o świeże zapusty. Rząd starał się przyjść w pomoc biednym, pozbawionym podczas mrozów dachu nad głową, zakładając ogrzewalnie na przedmieściach Lwowa, ale liczba tych izb była zupełnie niewystarczającą. To też wielu biedaków, chcąc się ogrzać, przepijało

---

[1]) Tak zwana komenda jeneralna mieściła się do roku 1839 w nabytej przez miasto od Preschla kamienicy, w której później przez długie lata istniał hotel angielski. Dziś w tem miejscu wznosi się gmach gal. kasy oszczędności.

grosz ostatni w szynkach lub żebrało po ulicach. O rozdawnictwie zupy rumfordzkiej lub o jakiemkolwiek ulżeniu nędzy cierpiącej ludzkości, nie pomyślano wcale.

Wśród trzaskających mrozów przypomina sobie nasz autor o przechadzkach, jakie zwykł był latem odbywać do prochowni pod Lonszanówką, (dawny kościółek Świętego Wojciecha), do Lonszanówki[1]), lub do arsenału Sieniawskich[2]), zkąd roztaczał się prześliczny widok na całe miasto. Świat elegancki zwykł był używać przechadzki w przepysznych alejach Jabłonowskich ogrodu, zeszpeconego jedynie zaniedbaniem przyległego pałacu, których okna zabite deskami, smutny sprawiały widok[3]). Sporo gości pociągał ogród Pojezuicki, wycięty do szczętu i świeżo zasadzony drzewami przez Höchta, który tam podawał wyborną kawę. Najulubieńszem wszakże miejscem przechadzki dla pań były wały, (dziś zwane hetmańskiemi), utrzymywane starannie zwłaszcza od strony gmachu gubernialnego[4]). Wśród drzew pobudowano tam szalety cukiernicze, w których sprzedawano latem lody. Od wałów ku ulicom krakowskiej i janowskiej ciągnęły się domy dwu i trzy piątrowe, należące w przeważnej części do żydów, z wyjątkiem jednego, jedynego, zbudowanego przez niemieckiego kiełbaśnika.

Przyjacielem żydów nie był Rohrer. Widać to z jego wywodów, skierowanych w tym ustępie książki przeciw rozlicznym zabobonom żydowskim. Potępia nasz autor ich kilkogodzinne wysiadywanie w synagodze w porze porannej, najbardziej odpowiedniej do pracy, sznury sabatowe, porozwieszane w miasteczkach prowincyonalnych, bosyny, odprawiane po zmarłych, wreszcie zwyczaj pielgrzymek, odbywanych w dniu pokutnym do miejsca wiecznego spoczynku rodziców — i domaga się interwencyi państwowej w tych wypadkach, tyle szkodliwych dla samejże ludności żydowskiej.

Na tem urywa nasz autor opowiadanie swe o Lwowie, przenosząc się w marcu 1803 roku na chwilowy pobyt do Sambora. Zanim wszakże dowiemy się cośkolwiek o tej miejscowości, musimy wysłuchać żalów naszego podróżnika z powodu złych garnków jakie znajdowały się po karczmach. Jedyna fabryka fajansu istniała w To-

---

[1]) Lonszanówka znaną dziś jest ogólniej pod nazwą Kaiserwaldu, na pamiątkę bytności Cesarza Józefa II. w czerwcu 1780 r.

[2]) Tak zwany pałac Baworowskich przy ulicy Kornela Ujejskiego.

[3]) Pałac Jabłonowskich nabył rząd na własność w r. 1832 i przerobił na koszary. Ogród wycięto i obrócono na plac ćwiczeń wojskowych.

[4]) Dziś siedziba krajowej dyrekcyi skarbu.

maszowie a niezłego naczynia glinianego dostarczał też Wojniłów. Napomknąwszy jeszcze w kilku słowach o hucie żelaznej w Smolnej oraz o żupach solnych w Drohobyczu i okolicy, przechodzi wreszcie Rohrer do opisu przemysłu tkackiego w Samborze. Tkaczów było w tem mieście sześćdziesięciu, w tej liczbie dziesięciu przedniejszych, wyłącznie Niemców, posiadających po dwa warsztaty. Każdy z przedniejszych majstrów wyrabiał tygodniowo 72 serwety. Gdyby postarano się o lepszy blich i o maszyny do apretury, Sambor mógłby się stać łatno drugim Warnsdorfem. Ale tkacze samborscy byli zbyt ubodzy, by zdobyć się na zakupno podobnych maszyn, zaś ziemianie galicyjscy stronili od wszelkiego przemysłu. Przypuszczalna liczba tkaczów w cyrkule samborskim wynosiła 500 głów. Gdyby każdy z nich utkał rocznie tylko 30 sztuk płótna, każda po 30 łokci, to wyprodukowana przez nich ilość płótna doszłaby do pokaźnej cyfry 15.000 sztuk rocznie. Suma ta była wielce prawdopodobną, gdyż tkactwem zajmował się w tych stronach niemal każdy wieśniak. W obec faktu jednak, iż w produkcyi owej ludu brakło wszelkiego planu, wyzyskiwali tkaczów włościańskich przekupnie żydowscy, którzy zakupując biało i czerwono prążkowane drelichy w Samborskiem, sprzedawali je w okolicy Brodów na fartuchy z znacznym oczywiście zyskiem. Wobec powszechnego ubóstwa tkaczów, nie mogło być mowy o jakichkolwiek ulepszeniach ich produkcyi a pomocnej ręki, którąby dzwignęła przemysł krajowy — brakło...

W cyrkule samborskim Chyrów odznaczał się znaczną produkcyą pończoch, zaś dobra kameralne, Łomna, mimo wysokiego swego położenia, dostarczały bardzo dobrego lnu, cieszącego się ustaloną sławą na okolicznych jarmarkach. Wsie, leżące w nadgranicznym pasie węgierskim, były siedzibą owczarzy, pasących powierzane im trzody na stokach gór, w tak zwanych koszarach, co przyczyniało się niepomiernie do użyźnienia gruntów w tych stronach, gdzie dostarczenie nawozu było rzeczą niezmiernie trudną. W okolicach Łomny, zrobił nasz podróżnik wielce ciekawe odkrycie istniejącego wśród ludu zwyczaju pożycia małżeńskiego — we troje. Nie myślimy stawać w obronie patryarchalnych cnót naszego ludu, ale tym razem stanowczo twierdzić musimy, że Rohrer, lubo policysta z zawodu, padł w tym wypadku ofiarą złośliwej mistyfikacyi.

Bezpośrednio po powrocie z wycieczki w Samborskie, wybrał się nasz autor w podróż do Wiednia. Jechał przeto na Gródek, Jarosław, Przeworsk, Kraków, poświęcając każdej z tej miejscowości kilka słów wzmianki. Refleksyi Rohrera niepodobna ująć w pewny

system. Były one bezładne, powstawały pod wpływem drobnych przygód podróży. I tak postronki, rwące się co chwila w zaprzęgu, nasuwają mu pod pióro uwagę, że Lwów, stolica kraju, posiadał zaledwo dwóch powroźników, Niemców, choć galicyjskie konopie znachodziło łatwy odbyt nawet w Wiedniu. Konopie najlepiej udawało się w cyrkułach: złoczowskim, przemyskim, lwowskim, rzeszowskim i brzeżańskim, a i w okolicach Gródka sadzone konopie nie ustępowało pod względem dobroci bolońskiemu. Powroźnictwo i tkanie sieci rybackich byłoby przeto wielce wskazanym, ubocznym zarobkiem dla ludności galicyjskiej, w czem inicyatywa należała z naturalnego porządku rzeczy do szlachty i zamożniejszego ziemiaństwa, któreby sprowadziły z portowych miast niemieckich zawodowych instruktorów.

W wschodnich cyrkułach galicyjskich produkowano znaczną ilość płótna workowego. Na 40.260 sztuk tego artykułu, wyprawionego w roku 1802 z Gdańska do Anglii, Francyi, Holandyi, Portugalii i Hiszpanii, przynajmniej ośm dziesiątych części całego ładunku przypadało na Galicyę, gdzie je żydzi wykupili. Zarobek ten byłby o wiele większy, gdyby postarano się o udoskonalenie wyrobu, oraz, gdyby próbowano wyprodukowany towar spławiać nietylko Wisłą, ale i Dniestrem.

W Złoczowskim cyrkule wyrabiano przeważnie płótno żaglowe. Żydzi spławiali niejednokrotnie do Gdańska po 1000 sztuk tego płótna, każda po 25. arszynów długości. Początek był zatem zrobiony, rąk roboczych w kraju nie brakło, lecz zbywało Galicyi na poczuciu wspólnego działania, inicyatywie, któreby wyrwały setki i tysiące pracowników z niewoli żydowskich przekupniów, wyzyskujących ich haniebnie. „Spi tu jeszcze duch obywatelski" — słowa Rohrera — „konieczny do wielkich przedsiębiorstw. Zamożny ziemianin nie umie jeszcze należycie zużytkować swej gotowizny i roboty poddanego, ktore są do jego dyspozycyi" . . .

Jarosław zaliczył nasz autor do bardziej przemysłowych miejscowości w Galicyi. Były tam dwa blichy woskowe. Jeden własność Slavika i Klingsa, drugi Wapińskiego. Oba przerabiały rocznie do czterech tysięcy kamieni wosku na świece. Istniała też w Jarosławiu fabryka sukna, dostarczająca pośledniejszych gatunków na mundury wojskowe. Prócz niej jedna tylko jedyna fabryka sukna w Załościach dostarczała lepszych wyrobów. W ogóle w cyrkule przemyskim czynnych było do dwóch tysięcy warsztatów tkackich, lecz brak im było jednostajności w wymiarach i w sposobie fabrykacyi, skutkiem spekulacya tymi wyrobami na wielką skalę była

znacznie utrudnioną. Mieszkańcy Kańczugi trudnili się przeważnie druciarstwem, zapuszczając się daleko na wschód aż do Mołdawii. Głównem wszakże zajęciem mieszkańców przemyskiego i rzeszowskiego cyrkułu było obrabianie drzewa materyałowego, oraz spławianie takowego Sanem i Wisłą do Gdańska. Ludność wiejska z okolic Jarosławia, Kańczugi, Łańcuta i Przeworska poświęcała się flisactwu, znajdując stały zarobek przy spławianiu pszenicy, drzewa, płótna i potażu. Jeden tylko hurtownik, Kellermann, wysełał corocznie 200.000 korcy pszenicy do Gdańska, utrzymując w rozmaitych kraju okolicach agentów, którzy kupowali dla niego zboże. Flisak, wędrujący kilkakrotnie w ciągu roku do Gdańska, zarabiał od 10 do 20 dukatów. Jadąc na spławie, żył dobrze, gdyż dwa razy dziennie dostawał słoninę i wódkę. Zato z powrotem do domu, idąc pieszo, obywali się flisacy byle czem. Słoniny dostarczał całej Galicyi głównie Zbaraż, gdzie wszyscy mieszkańcy byli albo słoniniarzami, albo handlarzami nierogacizny. Obok spławów obrabianie budulca okrętowego dawało zajęcie ludności obwodów: przemyskiego, złoczowskiego, zamojskiego, sandomierskiego i bialskiego. Drzewo materyałowe, spławiane do Gdańska, przedstawiały deski i dyle, a wraz z niemi wysełano też dębowe klepki. Zarówno handel zbożem, jak płótnem i drzewem, zagarnęli w swe ręce żydzi. Największymi hurtownikami drzewa byli: Józef Mendel w Kazimierzu i Mojżesz Pinkes we Lwowie, prócz innych kupców starozakonnych, przebywających w Józefowie i w Krystynopolu. Wyłącznie drzewem masztowem kupczył Izak Hersch z Brodów, który zakupował od właścicieli lasów każde ścięte przez niego drzewo po dukacie za sztukę. Ścięty materyał oglądali dopiero marynarze, przybywający z Rygi, i za wybrane przez nich sztuki płacili od szesnastu do dwudziestu dukatów, licząc w tej cenie koszta dostawy zakupionego drzewa do Beresteczka.

W okolicy Jarosławia zwróciło uwagę naszego turysty mnóstwo bocianów, o których towarzysz podróży Rohrera, lekarz z Nowego Sącza, opowiedział mu następującą historyę: Pewnemu bocianowi sprzykrzyła się stara, kulawa połowica. Wypędził ją z gniazda i wziął sobie inną, młodszą towarzyszkę życia. Ale postępek ten nie uszedł bezkarnie płochej awanturnicy. Wszystkie bociany z całej okolicy napadły na gniazdo wiarołomcy, wyrzuciły z niego nową gospodynię i zadzióbawszy ją na śmierć, wprowadziły ponownie prawowitą małżonkę do jej siedziby. Bocianisko, chcąc nie chcąc, musiało powrócić do swej pierwszej miłości.

Opowiadający powyższą historyę, był jednym z pierwszych medyków, który przybywszy z Morawii, osiedlił się w Jarosławiu. Przedtem praktykę lekarską w tem mieście wykonywali Dominikanie, zaś Rusini w razie choroby udawali się do swych parochów, którzy nad głową chorego odczytywali ewangelie. Gdy rząd sprowadził do kraju lekarzy, poczęli ich wzywać zrazu dziedzice, a przy tej sposobności i lud wiejski zasięgał od czasu do czasu rady medyka, darząc go wiktuałami.

Spotkane za Jarosławiem na gościńcu fury, wyładowane miodem i woskiem, dały sposobność naszemu autorowi do skreślenia kilku dat, odnoszących się do handlu tymi artykułami. I tak z chrześciańskich hurtowników najznaczniejszymi byli: Laszkiewicz i baron Bössner z Brodów. Ten ostatni, sprowadzany z Tulczyna, nieczyszczony wosk wysełał do Włoch. Z żydowskich handlarzy znanymi byli najbardziej: Józef Mises we Lwowie i Josel Berl w Mikulińcach. Mikulińce dostarczały corocznie 1.000 kamieni wosku, (każdy po 36 funtów), do Wiednia, dokąd również szły znaczne transporty tego artykuły z Pomorzan. Handlowali też woskiem żydzi z Rozdołu, utrzymując stosunki kupieckie z Wiedniem i z Bernem.

W Radymnie znów kwitnął wyrób sieci rybackich, z któremi przemyślni mieszczanie sami udawali się na jarmarki do Łęcznej, gdzie znajdowali dobrych odbiorców w kupcach z Rosyi przybyłych. W Przeworsku ludność trudniła się głównie wyrobem płócien i drelichów, ale nie zarabiała wiele, gdyż pracowała dla żydów, dostarczających jej przędzy, za wynagrodzeniem ladajakiem. W Przeworsku wstąpił Rohrer do klasztoru Siostr Miłosierdzia celem zaopatrzenia się w pewne lecznicze ingredyencye, nieodzowne w podróży przez kraj, gdzie apteki były rzadkością. Przy tej sposobności zwiedził szpital i zakład wychowawczy, pozostające pod opieką Siostr, dla których nie mógł znaleźć dość słów pochwały, i zaopatrzony obficie w leki ruszył w dalszą drogę do Krakowa. Z podróży tej nie podał nasz autor dokładniejszej relacyi o miastach cyrkularnych, przez które przejeżdżał. Poprzestał jeno na ogólnej wzmiance tej treści, iż wszystko w takiem mieście zależy od osoby naczelnika obwodu, tworzącego każdy dla siebie osobne państewko a wzorującego się według szefa. W Przemyślu i w Rzeszowie raziły Rohrera brud i żydostwo, którego mniejsza ilość w tarnowskiem i w bocheńskim cyrkule szła w parze z rosnącą zamożnością mieszczaństwa i ludu wiejskiego. W cyrkule tarnowskim zwróciło jego uwagę miasteczko Kolbuszowa, gdzie niemal każdy mieszczanin był stolarzem. Wyroby kolbuszowskie: stoły, skrzynie i łóżka, znajdowały chętnych

nabywców na jakie trzydzieści mil w około. W okolicy Wieliczki zauważył nasz podróżnik wielce staranną kulturę szlachetnych drzew owocowych, której początek dali sascy górnicy, pracujący ongi w tamtejszych kopalniach. Formalny zakład ogrodniczy utrzymywał dyrektor szkoły wielickiej, Krömer, z pomocą ośmiu chłopaków, którzy u niego prócz nauki znajdowali całe utrzymanie, a podobną misyę w Inwałdzie pod Andrychowem spełniał proboszcz Zeisel wśród ludu wiejskiego, zachęcając swych parafian do uprawy koniczu. Kulturze koniczu, zaprowadzanej na wielkie rozmiary, zawdzięczali też swą zamożność osadnicy niemieccy z okolic Nowego Sącza, wysełający znaczne partye tego artykułu do Gdańska.

Kraków zwiedził Rohrer bardzo pobieżnie. Podobały się mu: ogród botaniczny, pozostający pod zarządem profesora Schneidta, oraz kollekcya motyli i chrząszczów, zebrana przez młodego medyka, Österreichera, syna malarza, sprowadzonego jeszcze przez Stanisława Augusta do tamtejszej szkoły rysunkowej. Zaciągnięto naszego autora na przedstawienie teatru niemieckiego, o którem dyskretnie zamilcza, zaś z okazów przemysłu miejscowego wspomina jedynie o pasach, wyrabianych na Kazimierzu. Szerzej rozpisał się autor o cyrkule myślenickim. Obwód ten nieurodzajny, zaliczał się do najbardziej zamożnych skutkiem ruchliwości swych mieszkańców. Żydów było tam bardzo niewiele, z wyjątkiem kilkunastu rodzin, osiadłych w Andrychowie. Mieszkańcy myślenickiego obwodu trudnili się w przeważnej częci obrabianiem drzewa i spławianiem takowego na Sole i Skawie. W Zębrzycach każdy wieśniak był rybakiem, zaś w okolicy Kalwaryi Zebrzydowskiej chłopi trudnili się łapaniem kwiczołów, które na sprzedaż wysełali do Krakowa a nawet do Warszawy. Za Kalwaryą, w Stryszowie i w Dembowcu kobiety i małe nawet dziewczęta szyły czepeczki, które sprzedawano w szerokim okręgu w Galicyi i w Prusiech południowych. W Swoszowicach zasłużyła na uwagę znaczna kopalnia siarki. Prócz dwóch tysięcy cetnarów, które corocznie w lanych sztabach wysełano do Wiednia, sprzedawano tamże co najmniej 500 cetnarów odbiorcom prywatnym w Galicyi i w Prusiech. Górale z cyrkułu myślenickiego schodzili corocznie na zarobek do Królestwa Polskiego a nawet na Litwę podczas sianokosów i żniw. Byli to przeważnie włościanie z okolic Wadowic, Kęt, Rychwałdu. Znajdowali zawsze zajęcie, gdyż góral w ciągu dnia był w stanie zrobić więcej, aniżeli czterech chłopów. Głównymi atoli przedstawicielami przemysłu w tych stronach byli tkacze i drelicharze, osiedli w Andrychowie, we wsiach okolicznych i w Białej. W roku 1792 było w Andrychowie dwu-

dziestu majstrów z dwudziestoma warsztatami: w Białej dziesięciu majstrów i dziesięć warsztatów. Tkacze bialscy trudnili się wyłącznie swem rzemiosłem, podczas gdy tkacze wiejscy uważali je jako poboczny zarobek. Przeważna część tych wyrobów szła do Holandyi, gdzie ich używano na żagle, na ubrania dla majtków oraz dla biedniejszej ludności w koloniach. Ogółem w r. 1792 było w równinach myślenickiego cyrkułu 1.899 warsztatów tkackich, nie licząc wsi górskich, gdzie tkacze pracowali tylko przygodnie, w pewnych porach roku. Len i konopie myślenickie ustąpić musiały co do jakości pierwszeństwa szlązkim produktom tego rodzaju. Dlatego też hurtownicy, zakupujący tu surowe płótno, wysełali je na pruski Szlązk celem dalszej fabrykacyi, a kupujący za drogie pieniądze tak zwane szląskie płócienka ani się domyślali, że nabywali ulepszone wyroby galicyjskie.

W Białej prócz okazałego zboru ewangelickiego, zaopatrzonego w dzwony, zwróciły uwagę Rohrera liczne kuźnie, gdyż w tem mieście zwykli byli jadący frachtowemi brykami furmani przekuwać swe konie. Obok kowali było w Białej sześć warsztatów gwoździarskich, zaopatrujących w gwoździe rozmaitego rodzaju nietylko Galicyę i Bukowinę, ale i kraje zabrane. Z Białej też sprowadzano igły, gdyż we Lwowie był tylko jeden, jedyny iglarz. Tu koniec relacyi Rohrera, którego wrażenia pobieżne z dalszej podróży po Szlązku, Morawii i dolnej Austryi streszczają się w końcowych pięciu listach.

Książka Rohrera, mimo lekkiej, beletrystycznej niemal formy opowiadania, zawiera — jak widzimy — wiele dat cennych, zwłaszcza z dziedziny przemysłu galicyjskiego. Nie był nasz autor ani tak skrajnym w swych poglądach jak Kratter, ani też tak ścisłym jak Hacquet. Charakter urzędowy Rohrera a po części też brak tych wiadomości, jakiemi rozporządzał Hacquet, sprawiają, iż książka jego jest raczej ciekawym dziennikiem podróży, aniżeli dziełem, odźwierciadlającem wszechstronnie stan ówczesny kraju.

Też same zalety i wady posiada dziełko Rohrera, p. t. *Versuch über die slavischen Bewohner der österreichischen Monarchie*, wydane bezimiennie w Wiedniu w roku 1804. W książce tej, złożonej z dwóch części, zastanawia się naprzód autor nad poszczególnymi szczepami słowiańskimi, zamieszkującymi monarchię austryacką, nad ich powierzchownością, sposobem żywienia się i zatrudnienia, by w następnej części określić uzdolnienie artystyczne, umysłowość i religię odnośnych plemion. Jakkolwiek autor mówi w ogólności o Słowianach austryackich, to jednak poświęcił Galicyi znaczniejszą część swej rozprawy, zdradzającej na pierwszy rzut oka niedość

dokładne opanowanie całości przedmiotu przez piszącego, który zbyt krótko w kraju naszym przebywał, by do głębi mógł poznać moralną stronę tutejszego społeczeństwa i nie polegać na opowieściach niekiedy tendencyjnych lub z gruntu fałszywych. Łatwiej dać statystyczny obraz danej miejscowości, zwłaszcza, jeżeli się rozporządza urzędowymi wykazami, aniżeli zgodnie z prawdą odmalować życie moralne wszystkich warstw ludności tamże zamieszkałej. Pierwszy rodzaj pracy wymaga dokładności i pilności, drugi wyższych zdolności obserwatorskich, badań długich, mozolnych, czynionych na miejscu. Tego ostatniego warunku nie posiada książka Rohrera, z której podamy jeno najważniejsze szczegóły, nie wdając się w polemikę lub w prostowanie mylnych wywodów autora, na co zresztą sprawozdawczy charakter naszej pracy nie pozwala.

Ogół ludności galicyjskiej wynosił w r. 1801 głów 4,921.845, z czego na Słowian przypadło 4,500.000 dusz. Pod względem rosłości i silnej budowy wielka panowała rozmaitość wśród ludności galicyjskiej. Wynędzniały Rusin był jej przedstawicielem mniej fortunnym obok smukłego górala lub krępego Mazura, który mimo swej pozornej ciężkości najlepszego dostarczał rekruta do lekkiej kawaleryi. Sformowany przez hrabiego Miera trzeci pułk ułanów składał się przeważnie z Mazurów i Podolaków, wyróżniając się czarnemi czapkami od dwóch innych pułków ułańskich. Kołtun, panujący w okolicy nadwiślańskiej, przypisuje nasz autor, wbrew twierdzeniu Lafontaine'a, nie wodzie, lecz niechlujstwu, zapytując nie bez racyi, dlaczego osiadły nad Wisłą kolonista niemiecki nie podpada tej słabości? Co do jedzenia, to obok kaszy i barszczu, wspomina jeszcze Rohrer o kapuśniaku, zaś w rzędzie napojów, używanych przez wyższe klasy społeczeństwa, wymienia wódkę, wino węgierskie i poncz. Przyznaje również, że pijatyka, tak rozwielmożniona za saskich czasów, stawała się corazto rzadszą wśród oświeceńszej klasy narodu, jednakowoż wytyka wódkę jako napój, działający ujemnie na organizm ludzki zarówno pod względem fizycznym jak moralnym. Pędzenie wódki pożerało tyle zboża, że ilość ta wystarczyłaby do wyżywienia podwójnej ilości mieszkańców, a jakkolwiek ustawy rządowe, wydawane w latach 1784—1786, starały się ukrócić, o ile możności, rozpajanie włościan przez mniej sumiennych dziedziców i arendarzów, to jednak skutek praktyczny wydanych rozporządzeń był prawie żaden. Jako jedyny środek odwrócenia chłopa od wódki doradzał Rohrer warzenie lepszego piwa w browarach kameralnych po cenie dla ludu przystępnej, wprowadzenie w użycie jabłecznika oraz innych napojów owocowych, wreszcie pędzenie wódki z kar-

tofli — dla zaoszczędzenia zboża. Co do stroju, to w miastach zamożniejsi używali fraków angielską modą skrojonych, surdutów i okrągłych kapeluszy, który to ubiór zmieniać musieli, przekraczając granicę rosyjską, gdzie suknie i kapelusze tego rodzaju osobnym ukazem były zabronione. Na wsi, po dworach, przeważnie panował dawny strój narodowy, zaś chłop ubierał się tak samo, jak przed wiekami, wdziewając na święto paradny kożuch i bekieszę, nawet w najokropniejsze upały.

Dłużej zatrzymać się nam wypadnie przy ustępie, w którym Rohrer mówi o rodzaju zajęć ludności galicyjskiej. Rzecz swą zaczyna od Galicyi zachodniej, gdzie ogół ludności jest zapobiegliwszy i pracowitszy od Rusinów, zamieszkałych we wschodniej części kraju. Na rozleniwienie chłopa, które stało się, niestety, drugą jego naturą, wpłynęły niezawodnie dawne stosunki pańszczyźniane, pogorszone jeszcze zwyczajem puszczania dóbr w dzierżawę, niszczącą zarówno ziemię, jak poddanych. Patent o robociznach, regulujący powinności poddańcze, przykład lepszej gospodarki w koloniach niemieckich, wreszcie otwarcie rządowej fabryki tytoniu w Winnikach, polepszyły znacznie dolę włościan w Galicyi. Włościanie w obwodach: zaleszczyckim, stanisławowskim i brzeżańskim, trudnili się przeważnie uprawą tytoniu, dostarczając rocznie co najmniej 150.000 cetnarów surowca. Winnicka fabryka wyrabiała corocznie 8.000 cetnarów tabaki i 45.000 cetnarów tytoniu, który wysełano za granice kraju do Wiednia, do Warszawy, do Gdańska i do Sztokholmu. Ale nietylko włościanin-rolnik gospodarzył źle. Żaden dziedzic nie myślał o sianiu traw na olbrzymich łachach piaszczystych, ani o sadzeniu słoneczników, lub też o uprawie anyżu, którą poczęli się zajmować włościanie w cyrkule kieleckim, zbywając swój produkt z największą łatwością za pruskim kordonem, w Piotrkowie.

Chmiel, rosnący dziko, nadzwyczaj obficie, w lasach pod Brzeżanami, uprawiano racyonalnie tylko w cyrkule zamojskim, zaś baron Kaschnitz był pierwszym z krajowych producentów, który chmielowi galicyjskiemu otworzył źródło zbytu w Morawii. Włościanin sprzedawał często bydło swe dla braku paszy za śmiesznie niską cenę, gdyż nikt nie zajmował się kulturą roślin pastewnych, podobnie jak nikt nie troszczył się o drzewa owocowe. Wyjątkiem pod tym względem był Kleparów, słynny z swych czerech, przynoszących właścicielom do tysiąca złotych dochodu rocznego. Mówiono też o tem, gdyby o ósmym cudzie świata, choć sady bankiera Klotza oraz innych mieszczan lwowskich były dowodem, że przy staranności można się doczekać najlepszych rezułtatów i w tej okolicy.

Podobnie gospodarzyli ogrodnicy krakowscy, handlujący jarzynami i owocami, w okręgu trzydziesto i pięćdziesięciomilowym.

W parze z nędznym stanem gospodarki wiejskiej w Galicyi zachodniej, szło ubóstwo tamtejszych miasteczek. Chlubnym pod tym względem wyjątkiem byli mieszczanie z Biłgoraja, w obwodzie Józefowskim, trudniący się koszykarstwem i sitarstwem, przy pomocy kobiet i dzieci. Zazwyczaj jeden z mieszczan zabierał z sobą wyroby kilku sąsiadów i jechał je sprzedawać w Galicyi, w Prusiech Południowych i w Nowej Rosyi. Do koszyków swych używali biłgorajscy koszykarze prawdopodobnie prątków iwy. W roku 1800 kilkunastu biłgorajskich mieszczan wybrało się z swym towarem do Multan i Wołoszczyzny, zkąd powrócili na Siedmiogród i Bardyów do domu. Sitarze ci słynęli w całym kraju z uczciwości i cieszyli się znacznym stosunkowo dobrobytem. Prócz nich, w Goraju i w Janowie, było kilkuset sukienników, których zachęcił do pracy ordynat Zamojski, wprowadzając wprawnych majstrów z Niemiec. Pierwszym wszakże założycielem spółki dla gospodarzy wiejskich, był zacny pijar, ksiądz Dębski, który w dobrach rządowych, w Borzęcinie, — (cyrkuł sandomierski), — stworzył wspólnie z morawczykiem Postlem instytut dla wzorowych gospodarzy. Uczono tam czytania, pisania, gospodarki, a nawet rysunków. Dziewczęta uczyły się prząść na podwójnym kołowrotku. Niestety ciężka słabość powaliła zacnego kapłana na łoże boleści.

Galicya wschodnia, pozostająca czas dłuższy pod austryackim rządem, przewyższyła — zdaniem Rohrera — przemysłowością zachodnią część kraju. Wieśniakom pobocznego zarobku dostarczały w pierwszym rzędzie saliny, a następnie obrabianie i spławianie drzewa materyałowego, choć nie brakło i zdolnych rękodzielników do przerabiania drzewa w sposób bardziej korzystny. W Kolbuszowej wyrabiali stolarze sprzęty dobrze w całym kraju znane i płacone, podczas gdy w Brzysku wykonywano zabawki dziecinne, szachy, puszki do przechowywania korzeni i tym podobne drobiazgi, których wyrobem trudniło się też kilku majstrów w Wiśniczu. Ci ostatni pracowali niestety dla żydów, obnoszących ich wyroby po Węgrzech, a nawet zapuszczających się z niemi do Gdańska. Wyroby te zdradzały wiele zmysłu artystycznego u rękodzielników wisznickich.

Najważniejszą atoli gałęzią przemysłu w Galicyi wschodniej było tkactwo. W długie, zimowe wieczory przędzono wiele lnu w cyrkułach: przemyskim i złoczowskim, a masy płótna, sprzedawane na jarmarku w Gołogórach — (w cyrkule złoczowskim) — zdawałyby się świadczyć o nadzwyczajnym rozwoju krajowego tkactwa.

Sam cyrkuł złoczowski dostarczał corocznie do Gdańska płótna za cztery do pięciu tysięcy dukatów. W górach sanockich aż po Duklę tkano również wiele płótna, które na jarmarkach w Dynowie sprzedawano w stanie napół surowym. Lepsze stosunkowo płótna tkano w cyrkule tarnowskim, a zwłaszcza wyróżniali się korzystnie pod tym względem mieszkańcy Czechowic, gdzie każdy gospodarz był zarazem tkaczem. Ten sam przemysł kwitnął w cyrkułach: nowosądeckim i myślenickim, a zwłaszcza w miasteczku Andrychowie. Pod względem delikatności tkaniny i najlepszego bielenia, najwyżej stały wyroby z Dembowca w cyrkule jasielskim. Wszyscy mieszczanie tamtejsi wyrabiali tak zwane rąbki, kupowane nietylko w Galicyi, ale i w Prusiech i w Rosyi. Łokieć rąbka na miejscu kosztował piętnaście krajcarów.

Około roku 1785 nadawała się dla tkactwa galicyjskiego pożądana sposobność wyzwolenia się z objęć żydowskiego wyzysku. Jenny, hurtownik i fabrykant, osiadły w Krakowie, objeżdżając Galicyę, zakupił przeważnie w rzeszowskim cyrkule płótna za sumę 40.000 zł. i wyprawiwszy zakupione zapasy do Marsylii, kazał je ponownie bielić. Sprzedał takowe następnie zarządowi wojskowemu we Francyi, który wyrób ów galicyjski uznał jako nader odpowiedni na bieliznę dla żołnierzy. Zachęcony tym sukcesem, przybył Jenny ponownie w rzeszowskie i rozdał tkaczom tamtejszym znaczne stosunkowo zaliczki na zakupno dobrej przędzy, zaopatrując ich równocześnie w ulepszone narzędzia i warsztaty. Cóż się jednak pokazało? Oto większa część tkaczów sprzedała dostarczoną im przędzę żydom, u których również znalazły się narzędzia i warsztaty zastawione, — za wódkę... Niechcąc się procesować z tak znaczną ilością dłużników, zrzekł się Jenny swych pretensyi i zaniechał dalszych interesów z tutejszymi tkaczami, którzy popadli w zupełną zależność od żydowskich przekupniów, stanowiących dowolnie cenę płótna i zabierających pracującym cały niemal zarobek. Jako objaw niskiego stanu krajowego kupiectwa, przytacza Rohrer jarmarki świętojurskie. „Jakże zdumiałem się“, — słowa autora, — „gdy mię po raz pierwszy zaprowadzono na wzgórze, na którem jarmark się odbywa. Ujrzałem szeregi namiotów i szałasów, w których jeno szynkowano wódkę, piwo i wino. Tuż naprzeciw sprzedawano masy świeżej i wędzonej wędliny. Nie brakło i niemieckich piernikarzy. W pierwszej chwili wśród dymów i pary, buchających z garkuchni, nie mogłem znaleść żadnych wyrobów. W końcu odkryłem kilku chrześciańskich i żydowskich przekupniów, sprzedających wstążki, szkaplerze, fałszywe korale, wyroby stolarskie i buty“. Buty chłopskie

wyrabiali w bardzo wielkiej ilości włościanie z Uhnowa, w cyrkule zamojskim, rozwożąc je po sąsiednich targach i jarmarkach. „Jeżeli gdziekolwiek w Galicyi wschodniej“, — pisze Rohrer — „znajdzie się piękne wyroby kobiece, to jest to niezawodnie zasługą zacnych zakonnic, których życie poświęcone zostało cnotliwym uczynkom. Mam tu na myśli Siostry Miłosierdzia. Zgromadzenie ich jest bardziej dobroczynne niż Braci Miłosiernych, pielęgnujących tylko chorych mężczyzn, podczas gdy Siostry we Lwowie, w Krystynopolu, w Przeworsku i w Brodach, nietylko opiekują się słabymi płci obojga, lecz nadto wychowują sieroty, dziewczęta. Ubierają je, żywią i uczą wszelkich robót kobiecych, utrzymując sieroty do wieku dojrzalszego, gdy już sobie same dać mogą radę“.

W części drugiej swojej rozprawy, omawiając zmysł artystyczny mieszkańców Galicyi, pierwszeństwo pod tym względem przyznaje nasz autor ludności cyrkułu myślenickiego, a zwłaszcza góralom z Machowa, którzy oddawali się artystycznemu stolarstwu, zakupując za wspólne pieniądze w Krakowie potrzebne im modele. W ogóle jednak harmonia i symetrya były pojęciami nieznanemi dla przeważnej części ludu Galicyi, podczas gdy w spiewie celowali Rusini. Sam autor spotkał w przejeździe przez Janów sędziwą parę młynarzy okolicznych, śpiewających coś żałośnego, czemu przysłuchiwała się, płacząc, gromadka kobiet i dziewcząt. Jak poinformowano Rohrera, starzy ci zawodzili swe żale z powodu zabrania im dwóch synów w rekruty. „W Wiedniu“ — pisze Rohrer — „śpiewa lud także, lecz najczęściej arye operowe, zasłyszane w teatrach Szikanedra lub Marinellego. We Lwowie słyszy się wszakże wśród ludu rzeczywiste pieśni ludowe. Lud jest tam zarazem kompozytorem i wykonawcą“. Najbardziej rozpowszechnionym instrumentem była angielska gitara, zaś w tańcu cechowała Polaków wrodzona gracya, której w Niemczech — zdaniem autora — nie zdołają wyuczyć sztucznymi figlasami. Komiczne potroszę wrażenie sprawia twierdzenie naszego podróżnika, tłómaczącego nazwę kołomyjki od Kołomyi w ten sposób, iż „w mieście owem są ludzie, którzy nie chcą pracować, jeno zajmują się układaniem co raz to nowych tańców i śpiewów...“. Przyznaje też Rohrer Polakom wyjątkowe zdolności sceniczne „Widziałem we Lwowie“ — pisze autor — „sztuki Kotzebuego, grane w obu językach przez Polaków i Niemców i powołuję się nie na sąd mój osobisty, jeno na zdanie innych, niemieckich widzów, czy nie przyznają Polakom pierwszeństwa pod względem przedstawienia humorystycznego myśli tego pisarza? Co do oświaty jednak ludność galicyjska była wcale zacofaną, tak w sferze szlacheckiej, jak wło-

ściańskiej. Brak gospodarskiej poradności objawił się zwłaszcza w roku 1799, gdy skutkiem spożywania sporyszu w świeżem życie, nastąpiła znaczna śmiertelność wśród ludu wiejskiego, podczas gdy równocześnie bydło padało licznie z powodu niezdrowej paszy. Klęski te przypisywano najrozmaitszem przyczynom, miasto pomyśleć o zapasowych szpichlerzach oraz o suchej paszy. Podobnież rzecz się miała z gospodarką leśną, podczas gdy ludność miejska podwyżkę ceny drzewa opałowego przypisywała jeno wyzyskowi handlarzy. Wykształcenie zamożniejszej młodzieży, zdanej przedtem na łaskę i niełaskę przygodnych, francuskich pedagogów, zmieniło się na korzyść skutkiem zaprowadzenia przez rząd gimnazyów i uniwersytetu. A jakkolwiek zrazu na wydziale medycznym było więcej profesorów, aniżeli uczniów, to smutny ten objaw przypisać należało nie złemu doborowi nauczycielskiego grona, lecz wrodzonemu lenistwu młodzieży. Dzięki temu fakultetowi posiadała Galicya chrześciańskich lekarzy, krajowców, podczas gdy przedtem posługiwała się wyłącznie żydowskimi szarlatanami. Wzmianka o medykach nasuwa naszemu autorowi pod pióro wielce ciekawą wiadomostkę o włościanach w Hrebennem, leczących choroby syfilistyczne bez użycia merkuryusza. Rohrer, bawiąc tamże w przejeździe, napróżno dopytywał się włościan o zioła, których używali do kąpieli dla chorych przyrządzanej. Podejrzliwi Rusini przypuszczali, że autor nasz jest doktorem, chcącym wybadać ich tajemnice i nie zdradzili mu swego sekretu.

Pisząc o religii, wyznawanej przez mieszkańców Galicyi, nie zaniedbał Rohrer oddać należytego hołdu tolerancyi szlachty polskiej, która i dawniej pozwalała na swobodne wykonywanie ćwiczeń religijnych przez członków rozmaitych wyznań. Zaznaczył również bardzo trafnie, że religijność ruskiego chłopa zasadza się raczej na formie, niż na rzeczywistem pojęciu i zrozumieniu wiary. Kradzież drzewa i siana u sąsiada, uważał on za grzech o wiele drobniejszy, aniżeli złamanie postu przez spożycie nabiału. Opis uroczystości Jordanu i świąt Bożego Narodzenia skreślił autor trafnie. Natomiast zwyczaj obrzucania celebrującego kapłana w dniu świętego Szczepana owsem, mylnie przypisuje Rohrer wyłącznie unitom. Jest on w użyciu i w rzymsko-katolickim kościele. Gorące pochwały oddaje też nasz autor arcybiskupowi Kickiemu, tudzież biskupom grecko-katolickiego obrządku, Adamowiczowi w Przemyślu i Skorodyńskiemu we Lwowie, podnosząc zasługi tego ostatniego około urządzenia seminaryum dla przyszłych kapłanów unickich.

Ostatni, interesujący nas ustęp w książce Rohrera, traktujący o moralnym charakterze ludności galicyjskiej, o zwyczajach i obrzędach, wypadł najsłabiej, jak tego dowodzą: drastyczny opis cukrowej kolacyi w dworach szlachty podolskiej, tudzież mylne tłómaczenie znaczenia śmigusa. W tym również ustępie książki, unosi się nasz statystyk nad naturalnością panien polskich w stosunku z mężczyznami. „Polka, gdy kocha, nie jest tak ślamazarną jak Niemka“ — słowa autora. — „Nie czytuje poezyi przy świetle księżyca, ani też nie kreśli własnych fantazyi na papierze! Nie przechadza się z chusteczką po swym pokoiku, gdyby szyldwach na straconym posterunku w pobliżu nieprzyjaciela. Nie wzdycha i nie ziewa, lecz jest najweselszem, szczerem, najmilszem stworzeniem w stosunku z człowiekiem, widzącym w niej swe bóstwo...“ Mniej korzystnem jest zdanie Rohrera o małżeństwach, rozwodzących się w owych czasach z taką łatwością, o kordyalnym sposobie witania się mężczyzn, wreszcie o surowem traktowaniu służby przez chlebodawców. Nie pomija też autor milczeniem sympatyi, jaką oddawna żywiło społeczeństwo galicyjskie dla zakarpackich sąsiadów, lecz błędnie zupełnie opowiada o zwyczaju łamania się opłatkiem. Zwyczaj ten był i jest ogólnonarodowym, nie zaś wyłącznie mieszczańskim i odbywał się w wilię Bożego Narodzenia, nie w dzień Nowego Roku, — jak tego chce autor. Pobieżnym również i wielce fantastycznym jest opis charakteru ludu wiejskiego w Galicyi, upstrzony tego rodzaju wymysłami, jak zaprzysięganie dworskich kozaków przy księdzu i świecach zapalonych. Znać, iż autor bezpośrednio się nie stykał z ludem i z życiem wiejskiego dworu, lecz powtarzał w dobrej wierze zmyślone opowieści. I owa łatwowierność przedstawia właśnie ujemną stronę rozprawy Rohrera.

Równocześnie z rozprawą o Słowianach, wydał Rohrer w Wiedniu studyum o żydach w monarchii austryackiej p. t. *Versuch über die jüdischen Bewohner der österreichischen Monarchie. (Wien 1804)*, w którem znajdujemy również cenne wzmianki o żydach galicyjskich.

Najwięcej stosunkowo żydów przebywało w Galicyi wschodniej, gdzie liczba ich w roku 1797 wynosiła 192.840 głów, zaś ogólna cyfra ludności starozakonnej w Galicyi wschodniej i zachodniej dochodziła w roku 1801 do 254.581 dusz. We Lwowie w roku 1797 tworzyli żydzi trzecią część ludności, gdyż na 37.388 mieszkańców przypadało 12.730 wyznania mojżeszowego. Istniały nawet miasteczka w Galicyi, zamieszkane wyłącznie przez żydów, jak na przykład słynna z jarmarków na konie Łęczna, gdzie starozakonni utrzymywali się

głównie z wynajmu swych mieszkań gościom jarmarcznym. Natomiast mieszczanie Krasnostawscy mieli przywilej, wzbraniający żydom pobytu w tem mieście, zaś w Krakowie, w śródmieściu, żyd pod żadnym warunkiem nieśmiał zatrzymywać się na noc.

Załatwiwszy się po krótce z historyą przybycia żydów do Polski, oraz po ogólnych uwagach na temat fizycznego rozwoju rasy żydowskiej, oraz używanych przez nią pokarmów, nadmienia nasz autor o stroju, noszonym przez współczesne żydówki galicyjskie. Ulubionym ich kolorem był pąs lub karmazyn; stanik był naszywany złotym galonem, podobnie jak spodnica. Trzewiki nosiły izraelitki galicyjskie na wysokich korkach, na szyi zaś łańcuch z złotą monetą. Głowę okrywały kosztowną bindą z prawdziwych pereł, przedstawiającą niekiedy wartość kilkuset dukatów. Ta binda tworzyła dla żydówki skarb najwyższy, z którym się rozstawała chyba w ostateczności. Jeżeli izraelitce groziło fantowanie ruchomości, wówczas sprzedawała pozornie swą bindę za drobną kwotę którejkolwiek z sąsiadek, zastrzegając sobie prawo odkupu. W ten sposób mogła następnie w sądzie zaprzysiądz, iż kwestyonowana binda nie jest już jej własnością... Czarna jupica, przepasana pasem takiejże barwy, tudzież płaszcz, z którym żonaty żyd nie rozstawał się nawet w czasie największych upałów, tworzyły główne części ubrania izraelity polskiego. Ubiór ten, jako sprzyjający niechlujstwu i ukrywaniu rzeczy kradzionych, miał wyjść z użycia w roku 1791. Tak przynajmniej przepisywał reskrypt Józefa II. Ale po śmierci tego monarchy żydzi postarali się o odwołanie rzeczonego rozporządzenia, przedstawiając, iż w razie zmiany używanego przez nich ubioru, nieuchronne bankructwo groziło fabrykantom sukna i wyrobów bawełnianych!

Co do zajęcia ludności żydowskiej w Galicyi, to trafiały się wśród niej rzadkie jeno wyjątki, trudniące się uprawą roli. Do takich wyjątków zaliczały się: dziesięć rodzin rolników żydowskich, osiadłych w Gajach i w Dawidowie, w cyrkule lwowskim, sześć rodzin w tarnowskim i tyleż w żółkiewskim obwodzie osiadłych. Natomiast na Bukowinie, w okolicy Seretu i Suczawy, istniały całe gminy żydowskie, prowadzące wzorową gospodarkę rolną.

Z rękodzieł najchętniej trudnili się żydzi krawiectwem, choć woleli sprzedawać suknie, aniżeli je szyć. Szewctwo było już dla nich zbyt uciążliwem rzemiosłem, choć nie pogardzali handlem gotowych butów i trzewików, a z szczególniejszem zamiłowaniem kupczyli surowemi skórami i płótnem. Szmuklerstwo było również ulubionem zajęciem starozakonnych, którzy czasem trudnili się bla-

charstwem i mosiężnictwem. Złotnictwo pozostało atoli właściwą sferą działalności żydowskiego rękodzielnika i kwitnęło zwłaszcza w Głogowie i w Rzeszowie. W Głogowie sporządzano ordynarne pierścionki i spinki dla włościan, zaś wyroby rzeszowskie pod względem delikatności wykończenia mogły rywalizować z biżuteryą praską. Ale złoto, z jakiego je sporządzano, nie było wcale dukatowe, gdyż zawierało zaledwo część dziesiątą szlachetnego kruszcu. Żydzi rzeszowscy zapuszczali się z swymi wyrobami aż do Liworna i Aleksandryi, lecz głównym terenem ich działalności handlowej były Węgry, Rosya i Prusy. Nawet muchy hiszpańskie były artykułem handlu, prowadzonego na wielkie rozmiary przez niejakiego Berla Joslowicza, osiadłego w Krajach Zabranych, który w roku 1800 pięć cetnarów tego artykułu wysłał na sprzedaż do Wiednia, każąc sobie płacić tamtejszym aptekarzom po trzy złote za funt. Bardziej ogólnym był wiedziony przez żydów galicyjskich handel miodem, zakupowanym przez nich na Ukrainie, w Multanach, na Bukowinie. Miodu używano do fabrykacyi gdańskich wódek, jak również do innych rosolisow. We Lwowie najprzedniejszym fabrykantem rosolisu był Leib Mimeles, zamieszkały przy ulicy Sykstuskiej. U niego czyniły zakupy pierwszorzędne zakłady cukiernicze. Na wielkie rozmiary kupczyli też żydzi tutejsi futrami. O skali handlu futrzanego w Brodach świadczyła najlepiej okoliczność, iż podczas pożaru tego miasta [1]) zgorzało tam futer i kożuchów wartości półtora miliona złr. Towar ten zakupowali kupcy brodzcy głównie w Berdyczowie i sprzedawali takowy do Wrocławia i Lipska. Potażarnie bukowińskie dostarczały również żydom galicyjskim artykułu wywozowego.

Rocznie do 100.000 cetnarów potażu wywożono z Bukowiny do Gdańska. Handlowali też żydzi galicyjską pszenicą, zakupując ją na pniu u ziemian, anyżem mołdawskim i węgierskiemi winami. Obok handlu były wszakże inne jeszcze zajęcia, kultywowane przez żydów z szczególniejszem zamiłowaniem. Do nich należało faktorowanie szlachcie we wszelakich sprawach. Faktor był prawą ręką, nieodstępnym towarzyszem ziemianina, któremu starał się stać niezbędnym, by tem pewniej go oszukać. Handel pieniądzmi, to jest pożyczanie na zastawy i wekslarstwo, czyli wymiana monety brzęczącej na bankocetle lub też zmiana pieniędzy krajowych na zagraniczne, przedstawiały dla starozakonnych dalsze, nader obfite do wyzysku pole, mimo rozlicznych zakazów i rozporządzeń rządowych, podobnie jak arendy rozmaitego rodzaju. Wprawdzie ustawodawstwo

---

[1]) Brody zgorzały niemal doszczętnie w roku 1801.

józefińskie zabroniło żydom dzierżawy dóbr, młynów, dziesięcin a w szczególności arendowania wyszynków wódki i piwa, ale przemyślna dziatwa Izraela zdołała zawsze ominąć najbardziej stanowcze zakazy, działając jużto przez podstawione osoby, już też dostarczając rzeczywistym dzierżawcom potrzebnych do wyszynku napojów.

O zmyśle artystycznym żydów źle świadczyły: niechlujstwo, panujące w dzielnicach przez nich zamieszkałych, tudzież nieczystość ich mieszkań. Piękność przyrody była dla nich rzeczą obojętną. Spiew żydowski raził monotonią. Że jednak nie zbywało im na instynkcie estetycznym, zdawałyby się dowodzić — według Rohrera — wyroby pieczętarskie żydów rzeszowskich, wśród których najznamienitszym był artystą niejaki Wolf Szaja Finkelsteiner. Podobno król szwedzki miał go otaczać szczególniejszymi względami i pragnął go zatrzymać na swym dworze.

Mówiąc o przesądach żydowskich, przytaczał nasz autor cały szereg rozporządzeń rządowych, mających na celu zniewolenie starozakonnych rodziców do posełania dzieci do szkół publicznych, a zarazem wyznał, że władza i pod tym względem nie mogła się poszczycić pomyślnym rezultatem swych zabiegów. Doradzał przeto Rohrer, by w szkołach ludowych urządzono rodzaj kursów przemysłowych, celem zaznajomienia dziatwy zarówno z miejskim, jak z wiejskim przemysłem. Przy wyliczaniu sekt żydowskich, istniejących w Galicyi, nie szczędzi autor entuzyastycznych pochwał dla Karaitów, osiadłych w Kukizowie, (20 rodzin) i w Haliczu, (60 rodzin). Nadto w Stanisławowie, w Tyśmienicy i w Kutach liczono do dwustu rodzin karaickich Przed laty mieli Karaici przebywać także we Lwowie, ale żydzi postarali się u władzy o wydalenie z miasta sekciarzy, trudniących się uprawą roli, handlem koni i furmanką. Wzmianki Rohrera o innych sektach izraelickich: o Chassydach, Konach, Lewitach, jak niemniej wywody jego o ogólnożydowskim charakterze nie przedstawiają dla badacza stosunków galicyjskich żadnego, interesującego szczegółu, z wyjątkiem dwóch uwag, dotyczących ludności izraelickiej we Lwowie. I tak na podstawie naocznego doświadczenia chwali Rohrer gorliwość, okazywaną przez lwowskich żydów podczas gaszenia pożarów, a zarazem daje chlubne śwtadectwo uczciwości żydowskich t. z. tragarzów, dźwigających ciężary i przenoszących ruchomości podczas zmiany mieszkania.

Niezmiernie też charakterystycznemi są końcowe uwagi naszego autora, twierdzącego, że żydów należy albo wygnać, albo też uczynić ich nieszkodliwymi dla państwa. W tym ostatnim celu na-

leżałoby dla dorosłych, pozbawionych zajęcia żydów stworzyć domy przymusowej roboty, zaś dla młodzieży założyć szkoły przemysłowe. Jeżeli jednak chodzi o uszlachetnienie rasy żydowskiej na przyszłość, to należy — zdaniem Rohrera — zniewolić ich użyciem siły do zajęcia się rolnictwem. Dziewicza Bukowina nadawałaby się szczególniej na zakładanie rolnych kolonii żydowskich. A ponieważ osadnicy żydowscy mieli brzydki zwyczaj opuszczania samowolnego wyznaczonych im przez władzę siedzib, przeto jedyną radę widzi nasz autor w — utworzeniu kordonu wojskowego, strzegącego, by żaden z kolonistów nie wydalił się bez pozwolenia władzy z miejsca osiedlenia!... Wnioski tego rodzaju znamionują aż nadto wyraźnie wychowańca ówczesnej szkoły polityczno-państwowej, pragnącej uszczęśliwiać ludzkość, choćby pod grozą bagnetów a zapominającej w zupełności o tem, że każde społeczeństwo rozwijać się może jedynie w prawidłowych, wskazanych mu przez przyrodę i wiekową tradycyę warunkach. Przepomnienie o tej prawdzie przez mężów stanu owej doby naraziło zarówno ogół monarchii, jakoteż i Galicyę na wiele ofiar i strat wielce dotkliwych, tak moralnych, jak i materyalnych.

VI.

Wśród autorów, piszących o Galicyi z końcem ośmnastego i z początkiem bieżącego wieku, jedną z najsympatyczniejszych postaci a zarazem najbardziej bezstronnym obserwatorem jest bezwątpienia Samuel Bredetzky, pastor ewangelicki gminy lwowskiej a zarazem superintendent całej prowincyi. Urodzony w dniu ośmnastym marca 1772 r. w Deutsch-Jakóbjan w Saroskim komitacie na Węgrzech, uczył się w ewangelickiem gimnazyum w Oedenburgu, zkąd udał się następnie na uniwersytet do Jeny. Słuchając wykładów Fichtego, Griesbacha, Lentza i Schützа, oddawał się równocześnie studyom teologicznym, filozoficznym i przyrodniczym, które dały mu tę wszechstronność poglądów, objawiającą się zarówno w jego pracach literackich, jak i w kaznodziejskim zawodzie. Będąc jeszcze uczniem jenajskiego uniwersytetu, brał Bredetzky czynny udział w pracach tamtejszego towarzystwa mineralogicznego, a powróciwszy do kraju, zajął zrazu skromne stanowisko nauczyciela szkoły miejskiej w Oedenburgu, zkąd go w roku 1802 powołano na katechetę do Wiednia. W trzy lata później widzimy go kaznodzieją gminy ewangelickiej w Krakowie, zaś od roku 1806 osiadł jako pastor i superintendent we Lwowie. Gorliwy w pełnieniu swych obowiązków zawodowych, wymowny kaznodzieja, znalazł Bredetzky dość czasu na działalność literacką i publicystyczną, której ślady znajdujemy w wiedeńskich publikacyach, p. t. *Annalen der Literatur und Kunst in dem österreichischen Kaiserthume*, w Wächtera *Praktische Bibliotek*, w *Hesperusie* i w Jenajskiej *Literaturzeitung*. Część jego rozpraw, dotyczących Galicyi, ukazywała się równocześnie w polskim przekładzie w *Gazecie lwowskiej*, której początkowych roczników imię Bredetzkyego prawdziwą było ozdobą.

Śmierć zaskoczyła go w kwiecie wieku, gdyż zmarł w dniu dwudziestym maja 1812 roku we Lwowie, licząc zaledwo lat czterdzieści, żałowany powszechnie.

Zanim zdamy sprawę z literackiej działalności Bredetzky'ego, dotyczącej Galicyi, słów kilka poświęcić musimy jego rozprawom, rozrzuconym w rocznikach *Gazety Lwowskiej* w latach 1811—1816. I tak w pierwszych zaraz miesiącach istnienia tego pisma znajdujemy ciekawą rozprawę jego pióra: „O płodach natury i kunsztów w Galicyi", po której nastąpiły pomniejsze artykuliki Bredetzky'ego, p. t. Wody Galicyjskie, Rzut oka na strukturę ziemi galicyjskiej, Góry Galicyjskie.

Ze względu na treść samą najwięcej dla nas przedstawia interesu rozprawa: „O płodach natury i kunsztów" [1]), drukowana pierwotnie w piśmie peryodycznem: *Vaterländische Blätter*, a następnie rozszerzona i przerobiona przez autora. Pracę swą podzielił autor na dwie części. W pierwszej mówi o płodach natury: o kamieniach, roślinach, zwierzętach, w drugiej o fabrykach i rękodzielniach. W części pierwszej, pisząc o skamieniałościach, nadmienia Bredetzky o odkryciu skamieniałego słonia, którego wykopano w Sadogórze przed rokiem 1808, zaś równocześnie w pobliżu Czerniowiec znaleziono skamieniały szkielet ludzki. Wspomina też o torfie, istniejącym w najlepszym gatunku w okolicy Lwowa. W roku 1808 wyrobiono tu 400.000 sztuk cegieł torfowych, które sprzedawano po cenie cztery złr. za tysiąc. Ciekawą jest niemniej wiadomość o poszukiwaniach złota w okolicach Nowego Targu i Łącka, tudzież o płukarni tego kruszcu koło Kirlibaby na Bukowinie, gdzie w roku 1803 nazbierano złotego piasku wartości siedmiu piastrów. W kopalni ołowiu na górze Dudul pod Kirlibabą wydobyto w roku 1803 tego kruszcu 1.537 cetnarów i 1.063 grzywien srebra. Żelazo wydobywano w kilku miejscowościach na Bukowinie, oraz w Mizuniu, w Skolem, w Smolnie i w Dołhem w Galicyi. Nadto koło Wiśnicza w Bocheńskiem odkryto przednią rudę żelazną, ale jej nie eksploatowano.

W dziale roślin głównym ziemiopłodem — zdaniem Bredetzky'ego — jest hreczka. Len udawał się głównie w obwodach podkarpackich, konopie w cyrkułach wschodnich. Tytoń sadzono w Stanisławowskiem, zaś koniczyna, importowana do Galicyi przez niemieckich kolonistów, tak się rozpowszechniła, iż corocznie po kilkaset cetnarów takowej sprzedawano do Szlązka i do Węgier. Uprawa rheumbarbarum, zarzucona w Mokratynie, podjętą została ponownie w Uniowie. Natomiast z rzepakiem pierwsze dopiero próby czynili koloniści w Winnikach, zaś anyż siano jedynie w cyrkule Stanisławowskim.

---

[1]) Dodatek do „Gazety Lwowskiej" 1811. Nr. 11—14.

Obfitowała też Galicya w drzewa owocowe wszelkiego rodzaju. Udawały się nawet orzechy włoskie, szczególniej na Kortumowce. Kultura szlachetniejszych gatunków drzew owocowych była zasługą główną kolonistów niemieckich, którzy zachęcani nagrodami rządowemi, sadzili i szczepili wiele drzew w swych ogrodach. Słynęła z sadów kolonia Landestreu pod Kałuszem, zaś radca Kortum na swym folwarku Friderikenhof zwanym, (dzisiejsza Kortumówka), posiadał winnicę. Jagody dojrzewały w niej wprawdzie, ale wytłaczane z nich wino było kwaśne. W lasy, prócz okolic podkarpackich, obfitowały obwody: rzeszowski, tarnowski, brzeżański, złoczowski, a główną zasługę uporządkowania lasowej gospodarki w Galicyi przypisuje Bredetzky administratorowi dóbr kameralnych, Kortumowi.

Koń, krowa, owca, są najbardziej liczne w Galicyi, choć woły i krowy tutejsze, dzięki nieumiejętnemu obchodzeniu się, złej paszy w zimie i stajniom źle zaopatrzonym, nie mogą iść w porównanie z bydłem węgierskiem. Autor opowiada o dworach, posiadających do czterdzieści krów w oborze a pozbawionych mleka w zimie.... Wczesne zaprzęganie koni i wołów w wieśniaczych gospodarstwach sprawia, iż one karłowacieją. Natomiast woły karmne po dworach dostarczały bardzo pięknych okazów, zaś owce galicyjskie wyższość miały nad węgierskiemi. Ogólna cyfra bydła przedstawiała się w roku 1810, jak następuje: Wołów 310.758, krów 527.579, owiec 381.108, koni 216.008.

Rzecz o płodach natury zamyka Bredetzky wyliczeniem wód mineralnych: w Tyliczu, w Krynicy, (flaszka wody krynickiej kosztowała we Lwowie 1 złr.), w Korzowie pod Brodami, w Dornie na Bukowinie. Zdrojów siarczystych było trzy: w Lubieniu, w Szkle i w Świętym Onufrym pod Seretem. „Kąpiele mineralne we Lwowie“ — słowa autora — „znane pod imieniem wód żelaznych więcej z powodu przyjemnego położenia swojego, niż z wewnętrznej mocy są sławne“...

Niemniej interesującą dla badacza krajowego handlu i przemysłu jest część druga leżącej przed nami rozprawki, traktująca o fabrykach i rękodzielniach a zaczynająca się od słów następujących: „Przemysł nie przyszedł jeszcze do takiego wzrostu w Galicyi, do jakiego mógłby być doprowadzonym. Niejedna gałęź onego jest zupełnie zaniedbaną; inne są jeszcze w kolebce a inne poczynają dopiero przychodzić do znaczenia. Tymczasem stan fabryk i rękodzielni w Galicyi w ogólności daleko jest lepszym, niżby wierzyć wypadało, słuchając przesadzonych zdań i skarg pojedyńczych pisarzów“...

W ogólności podzielił Bredetzky rękodzielniczą i fabryczną produkcyę galicyjską na trzy kategorye: na wyroby, do których surowca dostarcza królestwo zwierząt, oraz na czerpiące surowiec z świata roślinnego i mineralnego.

Pierwszą kategoryę produkcyi rozpoczyna od jedwabnictwa, bardzo słabo rozwiniętego w kraju. W Kętach i w Jędrzejowie było pięciu jedwabiarzów, w Rzeszowie i w Łańcucie czterech. W Sokalu na dziesięciu warsztatach wyrabiano paski jedwabne do opasywania się. Szmuklerzów było dwóch w Brzeżanach i 58 we Lwowie.

Znaczniejszą była produkcya towarów bawełnianych. W Białej wyrabiano fartuchy i spodnice, w Skrzyszowie i w Ludnie na dwudziestu warsztatach perkal. Najznaczniejszą wszakże była fabryka hr. Fries i Spółki w Nawsiu, zatrudniająca 206 warsztatów, produkujących: madras, nankin i płócienko angielskie, zwane gainghams, podczas gdy w Suczawie czterech rękodzielników wyrabiało fartuchy bawełniane dla wieśniaczek wołoskich, używane przez nie w miejsce spodnic.

Niemniej znaczną była liczba wyrobów, produkowanych z owczej wełny. W Białej na 185 warsztatach produkowano sztuki muślinu, kazimierku i innego sukna. W obwodzie myślenickim, w Lipniku, w Kozach, w Kętach i w Jędrzejowie czynnych było pięćdziesiąt warsztatów.

W wschodniej Galicyi istniała fabryka Heimerlowska w Żółkwi, wyrabiająca corocznie 250 postawów sukna i 50 sztuk baji. W Załościach czynną była jeszcze znaczniejsza fabryka Ignacego hr. Miączyńskiego, produkująca za pomocą maszyn z Anglii sprowadzonych do 2000 sztuk sukna, baji i kołder angielskich. Nadto prosperowały fabryki: Pawła Nikorowicza w Krzywotułach, (baja, kołdry angielskie), tudzież zakłady pomniejsze tego rodzaju w Dukli, w Dobczycach, (sieraki), w Ciężkowicach, w Jaryczowie, w Kulikowie, w Podhajcach i w Rzeszowie. Cena tych wyrobów podniosła się w trójnasób w latach 1805—1810 i w tymże samym stosunku podniosły się ceny wełny.

Garbarstwo i wyprawa skór posiadały w różnych stronach kraju zakłady fabryczne i pracownie, przerabiające surowy materyał na mniejszą skalę. Główną pracownią tego rodzaju była uprzywilejowana fabryka w Busku, wyprawiająca rocznie do 15.000 skór. Mniej znaczną była garbarnia w Załościach, produkująca głównie skóry czerwone. Od r. 1810 istniała garbarnia Köhlera i Wernera w Weldziżu, zaś w Kutach i w Tyśmienicy stu dwudziestu i czterech majstrów wyprawiało wyłącznie skóry safianowe. Skóry kordy-

banowe wyprawiano tylko w Suczawie. Garbarnie na większą skalę założył w Jaworowie i w Tarnowie Wohleber, podczas gdy drobniejszy przemysł garbarski istniał też we Lwowie, w Żółkwi, w Kamionce Strumiłowej i w Lubaczowie.

Pszczelnictwo kwitnęło w Galicyi, lubo tworzyło tylko poboczne zajęcie gospodarzy wiejskich i nie było prowadzone w duchu postępowym. Miód i wosk wywożono do Austryi, Węgier, do Tryestu. Blichowaniem wosku i wyrobem świec trudniły się fabryki Sławika i Wapińskiego, tudzież Schwarcmana w Jarosławiu, zaś w Karowcach, w Złoczowskiem, utrzymywał Kriegshaber woskobójnię, wyrabiającą corocznie do czterystu cetnarów wosku.

Tkactwo najwyżej stało w zachodniej części kraju, w Oświęcimiu i w Żywicach, gdzie liczono do 138 tkaczów, produkujących adamaszek, obrusy i serwety. Cienki rąbek tkano w Dąbrowicach i w Żmigrodzie, a i we Lwowie sporządzano wiele cienkiej bielizny stołowej. Grube płótno, wyrabiane w tysiącach sztuk w całym kraju a zwłaszcza w obwodach: przemyskim, rzeszowskim, samborskim, sanockim, sądeckim i myślenickim, wysełano całemi belami do Gdańska. Ogółem w roku 1800 było w ruchu w Galicyi wschodniej 4.209 tkackich warsztatów, lecz na to wszystko posiadano jeden, jedyny blich większych rozmiarów, założony przez D'Oschota w Krechowcach blisko Stanisławowa, gdzie znajdowała się dyrekcya tego zakładu. Tam też bielono wszelkie gatunki średniego i cienkiego płótna za opłatą 3 złr. od sztuki, liczącej łokci kilkadziesiąt.

Fabryki tabaczne były dwie; obie w posiadaniu skarbu. Fabryka w Winnikach przerabiała rocznie 70.000 cetnarów liścia tytoniowego i zatrudniała 885 robotników. Mniejszą była fabryka w Monasterzyskach, w której pracowało 436 robotników.

Lwów był — według Bredetzky'ego — siedzibą licznych stolarzów i fabrykantów muzycznych. Ci ostatni używali prócz drzewa orzechowego i wiśniowego, także drzewa cisowego, bukowińskiego, które pod względem mocy i piękności nie wiele różniło się od drzewa machoniowego. Średniej ceny i najprostsze sprzęty wyrabiała Kolbuszowa, ale bardzo wiele mebli sprowadzano z Wiednia.

W potażarnie obfitowała głównie Bukowina, gdzie w latach 1805—1807 wypalano corocznie cetnarów 5.822 potażu.

Papiernie były też wcale licznie zastąpione. Tego rodzaju zakłady istniały w Piwnicznej, (w Sądeckiem), w Przedborzu i w Szkle, (w Przemyskiem), w Hucisku, (w Żółkiewskiem), w Kutkorzu, (w Złoczowskiem), w Lelechówce, w Nawaryi i w Zawadowie, (w Lwowskiem), w Nowej Grobli, (w Brzeżańskiem), w Geryniu

i w Lachowej, (w Stryjskiem), i w Krzywotułach, (w Stanisławowskiem).

We Lwowie czynne były dwie fabryki rosolisów: Baczelesa i Margulesa, zaś w r. 1810 założono trzecią fabrykę tego rodzaju w Jarosławiu. Natomiast gorzelni, pędzących zwykłą gorzałkę, było w Galicyi co niemiara, gdyż każdy dwór posiadał swoją gorzelnię.

Piwa mniej warzono. Tak zwane piwo angielskie wyrabiały browary Oechsnera i Millarda w Hureczku pod Przemyślem, Czartoryskich w Moszczanach i Brunnera Maksymiliana we Lwowie.

W Jaworowie egzystowała fabryka pudru i krochmalu Fiedlera, z którą przez czas krótki konkurowało podobne przedsiębiorstwo, założone w Lanetówce, w obwodzie złoczowskim. Lepiej wiodło się powroźnikom, wyrabiającym liny i sieci rybackie w Radymnie, zkąd je Wisłą spławiali do Gdańska. Wyroby ich płacono bardzo dobrze, podobnie jak pojazdy, wyrabiane we Lwowie, które w Galicyi i w Rosyi rywalizowały z powozami wiedeńskimi.

Z kolei przechodzi Bredetzky do ostatniego rozdziału swej rozprawki, traktującego o produkcyi rękodzielniczej i fabrycznej ze świata mineralnego. Tu znajdujemy na pierwszem miejscu wzmiankę o fabryce fajansów w Glińsku, niedaleko Żółkwi, rozsełającej po całej Galicyi cenne naczynia. Zakład ten, będący własnością Nikorowicza, zatrudniał trzydziestu robotników i sprzedawał swe wyroby za sumę 25.000 do 30.000 złr. Zachęcony tem powodzeniem założył Ludwig fabrykę naczynia kamiennego i fajansów w Worończu. Natomiast istniejącą tego rodzaju fabrykę w Olejowie zamknięto.

Huty szklane egzystowały: w Kamienicy, w Porębie Wielkiej, (cyrkuł sądecki), w Gumniskach i w Niwiskach, (c. tarnowski), w Nisku, (c. rzeszowski), w Okładowie i w Pieniakach, (c. złoczowski), w Zawałowie, (c. brzeżański), w Skolem, (c. stryjski), tudzież w Fürstenthal, w Krasnej i w Putnie, na Bukowinie. Szkło galicyjskie nie było złe, ale brakło tutejszym hutom szlufierni, gdyż jedyna szlufiernia, założona w Skolem znacznym nakładem przez Jabłonowskich a obsługiwana przez robotników, umyślnie z Czech sprowadzonych, została zwinięta (w r. 1810).

Toż samo dwie saletrzarnie, istniejące w Wieliczce i w Brodach, nie mogły starczyć na pokrycie potrzeb krajowych, tem bardziej, że w Bezbrudach czynnym był młyn prochowy sukcesorów Serca. Musiano więc saletrę sprowadzać z Węgier. Na potrzeby wojskowe służyła fabryka skałek do broni palnej, utrzymywana w Niżniowie, w Stanisławowskiem, przez sukcesorów Freudenheina a zatrudniająca 33 robotników, podczas gdy zakład Singera Leo-

polda we Lwowie zajmował się wyłącznie wyrabianiem blatów ołowianych na tabakę z fabryki winnickiej.

Hamernie były w Skolu, w Podhorcach, w Synowódzku, w Mizuniu, w Podmichalu, w Sokołowie i w Lachowicach, (cyrkuł stryjski). W Sopocie i w Rybnicach wytapiano też żelazo, zaś hamernie w Smolnie i w Majdanie, (c. samborski), zatrudniały 104 robotników. Mniejsze były hamernie: w Zakopanem, gdzie pracowało 55 ludzi i świeżo założona w Cisnej, w Sanockiem, dająca zajęcie dziesięciu ludziom. Hamernie istniały też w Złoczowskiem, a mianowicie w Sielcach, w Bunkowie i w Ostapkowcach.

W końcowym ustępie rozprawki nadmienia Bredetzky o wykładach pszczelnictwa we Lwowie, zaprowadzonych staraniem rządu dla kandydatów teologii, tudzież o wydzierżawieniu przez skarb dóbr Kitałowice i Morowsko niejakiemu Litschkemu na założenie fabryki sukna dla komisyi mundurowej w Jarosławiu. Później na ten sam cel odstąpiono Fürstenbuschowi zamek w Tarnowicy z przyległymi budynkami i z stawem. — „Jeżeli szlachetne zamiary rządu“ — słowa rozprawy — „nie zawsze były dopięte, nie była w tem nigdy wina z jego strony“... Tyle relacyi Bredetzky'ego, rzucającej nader ciekawe światło na nieznane do tej pory, lub też błędnie przedstawiane stosunki przemysłowe Galicyi z początkiem bieżącego wieku.

Większym rozgłosem cieszyła się konkursowa rozprawa tegoż autora, p. t. *O przemyśle i gospodarstwie wiejskiem w Galicyi, tudzież o środkach podniesienia onychże*, uwieńczona pierwszą nagrodą na konkursie *Gazety Lwowskiej*. Dzieje tego konkursu przedstawiają się, jak następuje: Z końcem sierpnia 1811 roku pojawiło się w „Gazecie“ ogłoszenie, p. t. Pytanie do rozwiązania. W pytaniu tem władza gubernialna, na której czele stał wówczas Piotr Goess, żądała odpowiedzi na zagadnienie, „jakie gałęzie przemysłu, lub płody ziemi byłyby dla Galicyi podług fizycznej i agronomicznej własności kraju najbardziej do udoskonalenia i powiększenia zdolne? Gdzie a szczególniej, w których prowincyach cesarstwa austryackiego z korzyścią zbywane być mogą a przez to Galicyi powrócić zdołają te sumy, które za artykuły, za krajem wyrabiane, wydaje? Jakie oraz środki byłyby do tego najdogodniejsze i najprzyzwoitsze?...“ Odpowiedź na powyższe pytanie obejmować miała albo rozwiązanie ogólne, dotyczące całego kraju, albo też uwzględniające poszczególne okolice. Odpowiedź ogólna miała mieć pierwszeństwo przy rozdawaniu nagród, z których pierwsza, *(praemium)*, wynosiła 200 złr., druga, *(accessit)*, sto złr. Termin do nadsełania prac naznaczono na

połowę stycznia 1812 roku. Jakoż w tym czasie nadesłano na konkurs jedenaście prac. Ich zbadaniem zajęła się komisya pod przewodnictwem Ignacego Rottersmana, prezesa sądu szlacheckiego, obradująca a złożona z Piotra hr. Zabielskiego, Jana Sachera, naczelnika administracyi solnej, Stanisława hr. Borkowskiego, Antoniego hr. Pawłowskiego, Józefa d'Oschota i z profesora Emanuela Kirschbauma. W dniu dziewiątym lutego 1812 roku sędziowie konkursowi wydali orzeczenie, przyznające pierwszą nagrodę pracy powyż wymienionej Bredetzky'ego, podczas gdy druga nagroda przypadła w udziale anonimowi. Był nim — jak się to później okazało — Nowakowski, radca magistratualny i dziedzic Chorostkowa. Rozprawę jego, p. t. Odpowiedź na pytanie, drukowano w *Gazecie Lwowskiej* z roku 1812, w numerach 84—90, podczas gdy pracę Bredetzkye'ego z niewiadomych bliżej powodów ogłoszono dopiero w cztery lata później, w kwietniu 1816 roku, kiedy wiele szczegółów w niej zawartych postradało już cechę aktualności.

Napomknąwszy we wstępie o dawnym handlu Polski ze Wschodem, wyliczał Bredetzky w swej rozprawie wszystkie ulgi i ułatwienia, czynione przez rząd austryacki w pierwszych zaraz latach po rewindykacyi, celem podniesienia galicyjskiego przemysłu i rolnictwa, poczem przeszedł do omówienia kwestyi, jakie gałęzie przemysłu, lub płody ziemi, byłyby w Galicyi podług fizycznej i agronomicznej własności kraju najbardziej do udoskonalenia zdolne. Zaczął od chowu bydła, twierdząc, iż jakkolwiek klimat galicyjski sprzyja nadzwyczajnie podniesieniu się tej gałęzi gospodarstwa krajowego, to jednak brak karmy, zwłaszcza u włościan w porze zimowej, częste zarazy, grasujące głównie w okolicy nadniestrzańskiej i złe obchodzenie się z bydłem, sprawiają, iż zarówno konie, jak bydło rogate, są niepozorne, nędzne i nie wytrzymują porównania z końmi i z bydłem rogatem na Węgrzech.

Przeciw temu twierdzeniu autora, zbyt może pessymistycznemu, zastrzegała się redakcya *Gazety* w obszernym przypisku, twierdząc, nie bez racyi, że konie włościańskie nie w całej Galicyi są nędznie utrzymywane i skarlałe. Najlepsze konie posiadali włościanie w okręgach: Myślenickim, Bocheńskim, Sądeckim i Jasielskim; gorsze zaprzęgi istniały już między Sanem a Dunajcem, lecz najmniej dbała o inwentarz pociągowy ludność rusińska, między Sanem a Dniestrem, choć w górzystych okolicach obwodów: Stryjskiego, Stanisławowskiego i Kołomyjskiego włościanie posiadają szczupłą ilość dobrych koni. Toż samo osadnicy niemieccy w Galicyi i na Bukowinie posiadali wcale dobre zaprzęgi, zaś dwory w obwodzie My-

ślenickim celowały utrzymywaniem obór z szlachetnych ras bydła złożonych.

Po tej uwadze powróćmy do tekstu Bredetzky'ego, który doradza osuszenie bagnisk i stawów, w miejsce których należałoby zapuścić łąki. Wspomina przeto o projekcie osuszenia bagnisk pod Komarnem, o spuszczeniu stawu Jaryczowskiego, tudzież zalewisk między Zadwórzem a Buskiem. Przy tej sposobności dowiadujemy się, że podczas spustu, urządzanego co trzy lata w stawie janowskim, (900 morgów obszaru), płacono za połów w roku 1800 sumę 14.000 złr. bankocetlami. Opisuje następnie autor olbrzymie bagno, ciągnące się na przestrzeni sześciu mil kwadratowych od Sambora po prawym brzegu Dniestru aż do połączenia się tej rzeki z Małą Bystrzycą. Podczas lat upalnych mieszkańcy okoliczni zbierają z tych bagnisk siano kwaśne, wielce niezdrowe dla bydła. W roku 1811 zajmował się cyrkuł samborski projektem osuszenia tych bagien, popieranym bardzo gorąco przez dyrektora żeglugi, Osterlama, zaś inżynier Mucha wypracował szczegółowy plan prac w tym kierunku dokonać się mających, który uzyskał najwyższe zatwierdzenie.

Dla podniesienia chowu bydła doradza nadto Bredetzky utworzenie ogólnej katedry w ówczesnem liceum lwowskiem, tudzież zaprowadzenie surowej policyi weterynaryjnej, zaznaczając równocześnie, że chów owiec rozwija się nader pomyślnie w Galicyi. Zwłaszcza dodatnio wypadły próby, czynione przez Rungego w Kitałowicach z owcami hiszpańskiemi. Słynęła też z doboru szlachetnych gatunków owczarnia starosty Kickiego, przeniesiona do Galicyi z dóbr jego w Królestwie Polskiem położonych, zaś zadaniem rządu byłaby zachęta poddanych w kierunku gospodarki najkorzystniejszym dla ogólnego dobrobytu krajowego.

Pod względem pszczelnictwa Galicya — zdaniem Bredetzky'ego — pierwsze zajmuje miejsce wśród prowincyi monarchii austryackiej. Milowe łany, zasiane hreczką, dostarczają pszczołom głównego pożywienia, a jednak znaczne sumy wydawał kraj nasz rokrocznie na zakupno wosku z Rosyi, gdyż włościanin galicyjski nie umiał się umiejętnie obchodzić z pszczołami. W Turzy, pod Toporowem, widział autor w roku 1802 pasiekę, z dwóch tysięcy pni złożoną a umieszczoną w lesie, w drzewach wydrążonych. Niedziw przeto, iż każdej zimy znaczna ilość pszczół ginęła zduszona niezgrabnem okładaniem ula słomą i gnojem, wybijana przy wybieraniu miodu lub też zmarznięta skutkiem niedostatecznego zabezpieczenia przed zimnem. Dziesięcina, wybierana przez dwory w chłopskich pasiekach, wywierała również wpływ ujemny na rozwój bartnictwa.

Autor nasz doradza przeto zaprowadzenie katedry pszczelnictwa, oraz rozpowszechnienie wśród ludu popularnej broszury, osnutej na podstawie dzieł Christa a zawierającej wykład racyonalnej gospodarki pszczelnej.

Z kolei przechodzi Bredetzky do omawiania gospodarstwa rolnego w Galicyi. Mimo znacznej ilości zboża, wywożonego rokrocznie za granicę po pokryciu potrzeb miejscowej ludności, sądzi on, że należałoby podnieść poziom tutejszego rolnictwa przez staranniejszą kulturę pewnych ziemiopłodów, nie dość jeszcze rozpowszechnionych. W rzędzie tychże na pierwszem miejscu stawia koniczynę, uprawianą do tej pory w przeważnej części jedynie przez niemieckich osadników. Niedostateczną również była kultura tytoniu, sadzonego w cyrkułach słanisławowskim i w kołomyjskim, skutkiem czego fabryki galicyjskie musiały sprowadzać surowe liście z Rosyi. „Dla ożywienia uprawy tytoniu“ — słowa Bredetzky'ego — „powinnaby być podwyższoną zapłata za liście i należałoby usunąć — o ile możności — te przykrości, na które włościanie, przywożący liście do magazynów, są wystawieni“ . . . Trzecim w rzędzie tych ziemiopłodów jest chmiel, sprowadzany dawniej z Czech, sadzony w Galicyi dopiero od lat trzydziestu. Pierwszym plantatorem chmielu na większą skalę był Preschel, który z Czech sprowadził do Buska sadzonki czeskie. Prócz chmielarni w Busku, produkującej corocznie trzydzieści do czterdziestu cetnarów tego artykułu, istniały większe plantacye chmielu w Wiśniczu, w Bocheńskiem, w Medenicach, w Samborskiem i w Radowcach na Bukowinie, nie licząc pomniejszych chmielarni, zakładanych we wszystkich prawie dobrach kameralnych. Dla podniesienia kultury chmielu i większego rozpowszechnienia piwa należałoby, zdaniem autora, znieść podatek czopowy. Ulga ta, prócz korzyści materyalnych dla kraju, posiadałaby i tę nieskończoną doniosłość moralną, że z czasem wyparłaby z kraju wódkę, nazwaną słusznie przez Bredetzky'ego piekielnym dla biednego ludu napojem.

Rzepak w owym czasie był w Galicyi nowością. Uprawą jego zajmował się pierwszy, niejaki Schmidt, kolonista niemiecki w Winnikach, i to z rezultatem wcale pomyślnym. Zachęca też Bredetzky do uprawy rzepaku, za którą, prócz znacznych korzyści, przemawiała też użyteczność oleju rzepakowego do oświetlenia, o wiele tańszego od świec woskowych i łojowych, sprowadzanych z Rosyi. Przy tej sposobności nadmienia nasz autor o wybijaniu przedniejszych gatunków oleju z laskowych orzechów, z nasienia słonecznika, a nawet z pestek śliwkowych. Z tych ostatnich wcale

dobry olej wyrabiał aptekarz cyrkularny, Deck, w Brzeżanach. Doradza w końcu Bredetzky uprawę wyki siewnej i sporku, nieznanych zupełnie w Galicyi, oraz roślin farbierskich, jak marzanny i urzetu, z którego według doświadczeń lekarza, Heinricha, poczynionych w Plan, w Czechach, w roku 1811, możnaby dobywać farbę, nieustępującą w niczem wschodnio-indyjskiemu *indigo*. Rząd wynagrodziwszy suto Heinricha za jego odkrycie, zalecił zarządom dóbr kameralnych w Galicyi uprawę urzetu w obrębie ich gospodarstw.

Ze skarbów mineralnych wymienia Bredetzky w dalszym ciągu swej rozprawy: siarkę, znajdującą się w żyłach wśród opoki gipsowej pod Szczercem, i węgle kamienne w Kutach. Węgiel dobywano też dawniej w Mokratynie, ale niebawem zaprzestano tej eksploatacyi, gdyż wydobyty węgiel rozsypywał się w proch na powietrzu. Nie znano jeszcze wówczas procederu, polegającego na mięszaniu prochu węglowego z gliną garncarską dla uzyskania cegły na paliwo. Torf używany był jedynie we Lwowie, zaś Czerwiński w Grzędach zajmował się około roku 1811 eksploatacyą torfu na większe rozmiary. Bursztyn, znajdowany w okolicach Mizunia, nie nadawał się nawet do kadzenia. Natomiast eksploatacya żelaza odbywała się na większe rozmiary. Tu wylicza Bredetzky istniejące w kraju hamernie i huty szklane, znane nam z rozprawy jego, ogłoszonej w roku 1811. Najświeższa huta szklana powstała w roku 1810 w Nisku, kosztem skarbu. Pracowali w niej robotnicy z zamkniętej w tym czasie huty ze Skolego. Najcelniejszym wszakże darem, jakim przyroda obdarzyła Galicyę, są: sól z kopalni wielickich i bocheńskich, tudzież liczne żupy, istniejące w wschodniej części kraju, (w Hucku, w Lacku, w Drohobyczu, Modryczu, Solcu, Starej Soli, Stebniku, w Lisowicach, Bolechowie, w Dolinie, Kałuszu, Krasnem, Petrance, w Delatynie, Jabłonowie, w Kossowie, w Łączynie, w Manowie, Młodatynie, w Mołodkowie, w Rosulnie, w Słobodzie, w Utoropach).

Załatwiwszy się w ten sposób z wyliczeniem skarbów przyrody, jakie Galicya posiadała, zastanawia się Bredetzky nad pytaniem, w jakim kierunku należałoby obrócić wywóz krajowy, by z takowego jak największe osiągnąć korzyści. Zaznaczywszy więc u wstępu konieczność utrzymania równowagi ekonomicznej w każdej z osobna prowincyi monarchii austryackiej, czyni tę wielce słuszną uwagę, iż Galicya na stosunkach handlowych z sąsiednimi Węgrami nie wychodzi bynajmniej z korzyścią. Zaopatruje ona wprawdzie północne Węgry w zboże, w skóry surowe i w żelazo, ale handel

ten ulega częstym przerwom, podczas gdy rok w rok zakupuje Galicya za kilkakroć sto tysięcy wina węgierskiego, skutkiem czego pozostaje w stosunku zależności finansowej wobec krajów korony św. Szczepana. Podwyższenie stopy wywozu produktów galicyjskich jest przeto koniecznością. W tem miejscu wspomina Bredetzky o znanych już nam garbarniach w Galicyi, zaznaczając, że fabryka skór w Załoścach straciła bardzo wiele skutkiem śmierci jej właściciela, hrabiego Miączyńskiego, gorliwego popieracza krajowego przemysłu. W ślady jego wstępował dziedzic Wełdziża, Matkowski, który w tej miejscowości, prócz garbarni, założył też kuźnice żelazne. Wyprawianiem safianu trudnili się garbarze ormiańscy w Kutach, gdzie pracowało siedmdziesięciu majstrów, zatrudniających dwa razy tyle czeladzi i terminatorów. Wyprawiali oni rocznie do 70.000 sztuk koziej skóry. Z sierści koziej sporządzali koce, wędząc zarazem mięso i handlując niem na równi z łojem kozłowym. Zarabiali oni rocznie około 150,000 zł. m. k.

Z Węgier, prócz wina, sprowadzano do Galicyi i papier i saletrę, z Rosyi tysiące cetnarów świec łojowych, wosk, skóry niewyprawione, juchty i futra. We Lwowie używano przeważnie łojówek rosyjskich z powodu ich dobroci i taniości. Natomiast do Rosyi wysełała głównie swe wyroby: bieliznę stołową i nankin wielka fabryka hr. Friesa, istniejąca w Nawsiu. Wielce ożywionym był również handel solą i drzewem, wiedziony z Rosyą. Drzewo z stoków karpackich spławiano Dniestrem aż pod Odesę, podobnie jak piwo angielskie, warzone w Galicyi. Galicyjskie żelazo, skóry i szkła szły do Mołdawii, gdzie znajdowały chętny pokup, podczas gdy tutejsze zboże wyprawiano do Czech, Moraw i Szlązka austryackiego, które nawzajem zarzucały nas masami płócienek i kazimierku, zaś grube galicyjskie płótna zakupowali za bezcen komisanci, wysełani przez gdańskich kupców. Niemało też dochodu przysparzał tutejszym przemysłowcom handel tranzytowy w połączeniu z spedycyą towarów, pośredniczącą między Niemcami a Rosyą. Dzięki temu wzrosła tak szybko zamożność Brodów, a i mieszczaństwo niemieckie we Lwowie porosło nader rychło w pierze.

Chwali też Bredetzky wyroby lwowskich fabrykantów muzycznych instrumentów, wśród których Schiller, Göbel, Zauner i Welke szczególniejszego zażywali rozgłosu. Lwowscy siodlarze i stolarze współzawodniczyć mieli — jego zdaniem — z fabrykantami wiedeńskimi, zbywając swe wyroby aż w Rosyi. „Zazdrość cechowa jednak“ — mówi nasz autor — „ocknęła się zbyt żywo we Lwowie. Rząd powinienby użyć wszelkich, w mocy jego będących środków,

aby ta zazdrość profesyom nie szkodziła. Duch ten nie może brać przewagi, aby ogół przez to nie cierpiał. Im większa współubiegających się liczba, tem większa jest gorliwość i tem szczęśliwsza jest publiczność“ . . .

Po tej uwadze, świadczącej coprawda niezbyt pochlebnie o stosunkach, panujących w sferach przemysłowych i rękodzielniczych Lwowa, powraca nasz autor do produkcyi soli kopalnej w Galicyi, której roczna eksploatacya przenosić miała cyfrę miliona cetnarów, gdyż w dwudziestu pięciu żupach krajowych produkowano rocznie 600.000 cetnarów soli. Sól kamienną spławiano Wisłą do Prus lub też prowadzono drogą kołową do Węgier oraz do zachodnich prowincyi monarchii, zaś warzonka galicyjska w dawniejszych latach znachodziła znaczny pokup w Rosyi, zkąd ją wszakże w następnych latach wyparła warzonka krymska i mołdawska.

Słusznie twierdzi Bredetzki, że przemysł galicyjski zająć się winien w pierwszym rzędzie wyrobem tych artykułów, które sprowadzać musiano do nas z zagranicy. Przedewszystkiem więc doradza ulepszenie krajowego tkactwa do tego stopnia, by mogło współzawodniczyć z wyrobami czeskimi i szląskimi. „Głównym celem do tego byłoby“ — słowa rozprawy — „gdyby szlachta galicyjska zwróciła uwagę na płody swojskie i takowe zamiłowała . . . Za mało jest jeszcze w Galicyi fabryk, kunstmistrzów i rzemieślników. Masa ludności składa się z wieśniaków, którzy dla swej niewiadomości i nieokrzesania połowy tego nie czynią, coby uczynić mogli. Oprócz Lwowa mało jest miast, w którychby kwitnąć mógł przemysł“ . . . Ogół mieszczaństwa, trudniącego się rękodzielnictwem i przemysłem, wynosić miał w Galicyi w roku 1808: 15.132, w roku 1810: 16.523 głów.

Szczegółowe te informacye, dotyczące najrozmaitszych rodzajów produkcyi, kończy Bredetzky ogólnymi wnioskami, wskazującymi środki ożywienia przemysłu i handlu w Galicyi. Takimi są według jego mniemania: ujednostajnienie miar oraz wag w Galicyi i zrównanie kalendarza dla obrządków rzymsko- i grecko-katolickiego. Co do miar i wag, panował istny chaos u nas, z którego korzystali w całej pełni mniej uczciwi kupcy tutejsi. Wprawdzie od września 1777 roku obowiązywała prawnie w całym kraju waga lwowska, ale w praktyce działo się inaczej. Między korcem przemyskim, jarosławskim a lwowskim zachodziła różnica, wynosząca całe dwa garnce. W miejsce polskiego łokcia podsuwali niektórzy kupcy przy sprzedaży mniejszy łokieć wrocławski i krzywdzili swych klientów. Trafnie więc zauważył nasz autor, iż podobnie jak różnica kalendarza

szkodzi moralności, tak też różnica miary i wagi jest szkodliwą dla handlu, choć szkoda ta nie każdemu w pierwszej chwili wpadnie w oko.

Drugim środkiem podniesienia galicyjskiego handlu i przemysłu jest, według Bredetzky'ego, utworzenie szkoły ekonomicznej, na wzór zakładów tego rodzaju, istniejących oddawna w zachodnich prowincyach monarchii. Brak teoretycznie wykształconych gospodarzy był rażącym w kraju tak przeważnie rolniczym, jak Galicya. Wprawdzie rząd usiłował temu zaradzić, projektując w roku 1811 kreacyę katedr gospodarstwa wiejskiego w gimnazyach galicyjskich, ale sposób, w jaki się wzięto do rzeczy, nie odpowiadał bynajmniej celowi. Oto sześciu stypendystów, pobierających rocznie zasiłki po 525 złr., wysłano z szkół galicyjskich do ekonomicznego instytutu w Wiedniu, z którym w związku pozostawał praktyczny zakład agronomiczny w Fösenbergu. Stypendyści ci, pozostający pod opieką Ossolińskiego, kształcili się na przyszłych nauczycieli gospodarstwa wiejskiego w gimnazyach tutejszych. Jakoż już w roku 1816 zaprowadzono wykłady agronomiczne w gimnazyach: słanisławowskiem i we lwowskiem, ale praktycznego pożytku z nich nie było dla braku dostatecznego przygotowania ze strony słuchaczów, oraz z powodu niedostatku doświadczalni.

W razie, gdyby instytut ekonomiczny miał pozostawać w związku z liceum lwowskiem, musiałby takowy, zdaniem naszego autora, tworzyć odrębny zupełnie wydział o czterech katedrach: agronomii, weterynaryi, umiejętności lasowej i matematyki stosowanej wraz z nauką rysunków i mapowania. Wykłady odbywałyby się przeważnie w języku polskim a teorya musiałaby znaleźć praktyczne zastosowanie na folwarku instytutowym. W gmachu instytutu, założonego wspólnym kosztem ziemiaństwa i rządu, należałoby pomieścić obok sal wykładowych muzeum narodowe, agronomiczno-przemysłowe, zawierające modele i okazy z flory i z fauny galicyjskiej. Nadzór nad instytutem zdawał Bredetzky w ręce efora, wybranego z grona znamienitszego ziemiaństwa a podległego władzy gubernialnej.

Nie poprzestając wszakże na przysposobieniu młodzieży do gospodarstwa wiejskiego, projektował nadto nasz autor zawiązanie uczonego towarzystwa gospodarskiego na wzór istniejącego na Morawii. Towarzystwo to, prócz członków honorowych, liczyłoby w swem gronie członków czynnych i korespondentów. Zadaniem czynnych członków miało być podawanie rządowi stosownych projektów ekonomicznych, uchwalanych na kwartalnych zebraniach towarzystwa, którym członkowie-korespondenci podawaliby dwa razy do roku

sprawozdania na piśmie. Projekt ten był piękny i nietrudny do urzeczywistnienia, a jednak wiele, bardzo wiele wody upłynąć musiało, zanim zacna myśl Bredetzky'ego doczekała się wykonania. Na owym też projekcie urywa się konkursowa jego rozprawa, zakończona tą głęboką refleksyą: „Największa czynność jednego człowieka ginie w wiecznym, krążącym biegu świata powszechnego, ale zjednoczenie kilkunastu różnych osób, połączonych szczerze zdolnością, nauką i siłami, dla wspólnego celu, zostawia ślady, których czas zatrzeć nie zdoła" [1]).

Ogłoszona drukiem spuścizna literacka, pozostała po Bredetzkym, nie grzeszy zbytnią obfitością. Składają się na nią dwa dzieła: *Reisebemerkungen über Ungarn und Galizien, (Wien A. Doll. 1809)*, wydane w dwóch tomach, oraz *Historisch-Statistischer Beytrag zum deutschen Kolonialwesen in Europa nebst einer kurzen Beschreibung der deutschen Ansiedlungen in Galizien. (Brünn, J. G. Frassler 1809).*

„Wspomnienia z podróży po Węgrzech i Galicyi" spisał Bredetzky — jak z przedmowy do pierwszego tomu wynika — w ciągu roku 1807. Tom pierwszy tej pracy nie przedstawia dla nas szczególniejszego interesu, gdyż, prócz „Fragmentów Wiedeńskich", znajdujemy w nim jedynie wspomnienia z lat młodzieńczych autora, oraz rozprawkę o wpływie, jaki żywioł niemiecki wywarł na szkolnictwo oraz na system wychowawczy w Węgrzech. Osnutą na tle węgierskich stosunków jest również rozprawka „O racyonalizmie i patryotyzmie", zaś końcowy, (piąty), rozdział tej książki zawiera opis podróży, odbytej przez Bredetzky'ego w roku 1805 z Wiednia do Krakowa. I tu prócz wrażeń, odniesionych przez autora w ciągu wędrówki po Węgrzech, oraz szczegółowego opisu Spiża, nie znajdujemy żadnych wiadomości, odnoszących się do Galicyi.

Natomiast tom drugi „Wspomnień", ozdobiony stalorytem, przedstawiającym ogólny widok Lwowa, zawiera wiele ciekawych szczegółów, odnoszących się do naszego kraju. Poświęciwszy kilkanaście początkowych kartek wzmiance o literaturze na Spiżu, opisuje Bredetzky drogę, jaką z Kesmarku na Magórę, Nowy Targ i Myślenice podążał do Krakowa. Podróż tę odbywał z wiosną 1805 r. a chwaląc gościniec, wiodący od Magóry ku Dunajcowi, oraz drogę, przecinającą Nowytarg, skarży się z powodu okropnego stanu tejże, od Myślenic począwszy. Półtrzecia doby trwała podróż naszego autora z Kesmarku do Krakowa, jakkolwiek w Myślenicach wziął ekstrapocztę. Malownicze okolice Czorsztyna, dolina Raby, płynącej

[1]) Gazeta Lwowska 1816. Nr. 61—77. 100.

z szumem i łoskotem wśród lasów szpilkowych, sprawiły na Bredetzkym nader silne wrażenie. Przed Myślenicami, dokąd zdążył późnym wieczorem, ustały jego konie, skutkiem czego zmuszony był się przesiąść na wóz jakiegoś nieznajomego, jadącego w tę samą stronę. Ciemność nocy, szum wichru, lasy w około, towarzystwo nieznanych ludzi, nabawiły nieco strachu biednego pastora, który wszakże przekonał się niebawem, że nie miał do czynienia z rozbójnikami. Myślenice zaliczały się wówczas do najnędzniejszych miasteczek galicyjskich. Od węgierskiej strony wjeżdżało się do nich wąwozem, wymytym przez wodę. Po obu brzegach wąwozu ciągnęły się ubogie chałupy. W rynku, tworzącym czworobok, istniało zaledwo kilka porządniejszych domostw, zajętych przez urzędników rządowych; reszta zabudowań, brudna i nędzna, smutny sprawiała widok. Ludność wyznania rzymsko-katolickiego posiadała kościół i parafię w miejscu. Prócz nich istniały w miasteczku: zarząd kameralny, urząd podatkowy i poczta, łącząca się przez Izdebnik z głównym gościńcem wiedeńskim. Na Izdebnik i Mogilany udał się Bredetzky do Krakowa, którego opisowi poświęca drugi rozdział tego tomu.

Już z Mogilan, ostatniej stacyi przed Krakowem, widać było poważną siedzibę dawnych królów polskich. Widok z tej strony na miasto jest w rzeczy samej wspaniały. Wielka ilość klasztorów i kościołów przedstawia się z oddali imponująco i nadaje miastu wygląd iście królewski. Pięknie odbija na brzegu Wisły zamek warowny, stojący na skale odosobnionej, wapiennej, której szarawą barwę zdala można rozróżnić. Nieco dalej, w odległości godziny drogi, leży wśród lasu posępny klasztor Kamedułów. Okolica Krakowa z tamtej strony Wisły jest równiną, przerzniętą jeno przez niezbyt wielkie pagórki. Wisła zdaje się odcinać ostatnie odgałęzienia Karpat a zarazem tworzy granicę między dwoma rodzajami gleby. Około Karpat formalne morze piaskowych pokładów rozciąga się ku tej rzece. Poszarpane, lesiste wzgórza przerywają liczne potoki górskie. Atmosfera w tej okolicy jest wietrzna i wilgotna, drogi z powodu wielkiej ilości źródlisk są złe i w przeważnej części nie do przebycia.

Inaczej wygląda okolica w pobliżu Krakowa. Piękne, wapniste wzgórza wznoszą się łagodnie na brzegu lewym Wisły, rozbiegając się na wszystkie strony. Lasy składają się przeważnie z drzew liściastych. Na równinach, tu i owdzie, wśród uprawnej roli, ciągną się znaczne przestrzenie piaszczyste. Łagodniejsze powietrze, sucha ziemia i tysiące przyjemności, których się wyrzec należy w podkarpackiej okolicy, sprawiają na podróżniku wrażenie, jak gdyby się zbliżał ku południowi.

Zanim dojedzie się do Krakowa, staje się w Podgórzu, miejscowości świeżo powstałej i obdarzonej po rewindykacyi Galicyi wschodniej wolnością handlową. Z chwilą zajęcia Galicyi zachodniej Podgórz stracił swe znaczenie, gdyż przestał być miejscowością graniczną. Protestanci posiadają tu zbór, chylący się ku ruinie, lecz nie myślą o jego restauracyi, gdyż przeważna część protestantów mieszka w Krakowie, gdzie też odbywa się nabożeństwo. Podgórz pozostaje w związku z Kazimierzem, pierwszem przedmieściem krakowskiem za pośrednictwem zbudowanego, drewnianego mostu. Minąwszy most, widzi się piękny kościół Bożego Ciała. Kazimierz, prócz brudnej ulicy żydowskiej, (dziś ulice: mostowa i krakowska), posiada jedną tylko ulicę, wiodącą w prostej linii ku Wiśle, (dziś: Starowiślną). Ulica ta liczy około ośmset kroków długości. Drugi most, rzucony na bocznem ramieniu Wisły, łączy Kazimierz z Stradomiem, drugiem przedmieściem krakowskiem. Prócz nowego budynku cłowego i kilku kościołów, niewiele tu się znajdzie piękniejszych budynków i widok imponujący od strony Mogilan kontrastuje zbyt widocznie z rzeczywistością.

Widok śródmieścia oddziałał o wiele korzystniej na naszego turystę. Długa, licząca 735 kroków ulica — słowa Bredetzky'ego — wiedzie nas w prostym kierunku na piękny, jedyny może w dziedzicznych krajach monarchii plac, tworzący regularny czworobok. W środku tego placu stoją: starożytne Sukiennice, ratusz, kościółek Jana Nepomucena (św. Wojciecha) i jeszcze jeden, publiczny budynek. Kramy, cisnące się dokoła tych budynków, sprawiają wrażenie wstrętne. Oddawna już była mowa o ich usunięciu i przeniesieniu na inne miejsce. Ponieważ jednak przynoszą miastu dochód, przeto też cierpi się to uchybienie przeciw dobremu smakowi. Powierzchnia rynku obejmuje 11.400 sążni kwadratowych. Długość tego placu od ulicy Grodzkiej ku wylotowi Floryańskiej wynosi 255 kroków, zaś cały Kraków, począwszy od Wisły a skończywszy na Kleparzu, liczy w prostym kierunku pięć tysięcy geometrycznych kroków. Obszar miasta nie odpowiada bynajmniej ani liczbie domostw, ani też zaludnieniu i tłómaczy się jedynie wielką liczbą kościołów i klasztorów, zajmujących znaczną przestrzeń. Sądząc z obszaru, miasto to mogłoby pomieścić trzy razy tyle ludności. Widząc wielką ilość kościołów i klasztorów pustych, tworzących masę budynków niezamieszkałych, patrząc na ogrom gmachów uniwersyteckich, burs, na *Collegium Jagellonicum*, w przeważnej części wyludnionych, zrozumie się łacno, dlaczego w tak dużem na oko mieście tak mało jest mieszkańców.

Ogół ludności Krakowa bez załogi wojskowej wynosił według obliczenia Bredetzky'ego w roku 1804: 25.750 mieszkańców, zajmujących 1.772 domy. Najbardziej zaludnione było śródmieście, (11.400 mieszkańców, 681 domów), poczem następowały: dzielnica żydowska, (4.300 m., 207 d.), Piasek, (4.040 m., 367 d.), Kleparz, (3.550 m., 295 d.), Kazimierz, (1.900 m., 191 d.), i Stradom, (560 m., 31 d.).

Niemniej ciekawym jest wykaz cechów wraz z liczbą majstrów, czeladzi i uczniów, istniejących w Krakowie w roku 1804, przyczem nasz autor oddzielnie liczy chrześcian i żydów.

Liczba porządkowa	Nazwa korporacyi i cechów	Liczba		
		majstrów	czeladzi	uczniów
1	Rymarze	12	8	8
2	Szewcy	192	120	77
3	Złotnicy	12	8	14
4	Kordybaniści	12	4	6
5	Fryzyerzy	18	5	9
6	Farbiarze i tkacze . . .	23	3	—
7	Rusznikarze	18	1	14
8	Zegarmistrze	8	9	4
9	Kuśnierze	20	7	1
10	Mularze i kamieniarze . .	19	57	30
11	Krawcy	121	80	117
12	Cieśle	11	55	17
13	Krupiarze	12	2	3
14	Mączarze	39	—	—
15	Introligatorowie . . .	13	10	6
16	Bednarze	14	14	9
17	Kramarze	44	—	—
18	Siodlarze i tapicerzy . .	11	11	8
19	Mydlarze	5	5	4
20	Szklarze	12	5	4
21	Stolarze	46	47	36
22	Rybacy	12	—	—
23	Ślusarze	33	23	34
24	Kapelusznicy	9	6	7
25	Pasztetnicy i cukiernicy . .	21	6	6
26	Piekarze	24	18	10
27	Kupcy	113	30	20
28	Garbarze	18	3	2
29	Mosiężnicy	5	5	5
30	Rzeźnicy	38	16	6
31	Kowale	9	18	19

Liczba porządkowa	Nazwa korporacyi i cechów	Liczba		
		majstrów	czeladzi	uczniów
32	Piekarze grubego chleba .	82	—	—
33	Sukiennicy	6	7	—
34	Paciorkarze i koralnicy . .	12	3	7
35	Konwisarze	5	2	4
36	Stelmachy	10	8	7
37	Grzebieniarze	9	—	4
38	Pasamonnicy	21	11	3
39	Białoskórnicy	12	3	2
40	Odlewacze dzwonów . .	12	10	5
41	Rękawicznicy	9	—	3
42	Piernikarze	4	4	1
43	Blacharze	8	5	5
44	Malarze i lakiernicy . .	21	8	14
45	Garncarze	16	5	4
46	Powroźnicy	7	5	7
47	Aptekarze	9	10	11
48	Chirurgowie, utrzymujący oficyny	19	15	7
49	Balwierze	19	—	—
50	Gorzelnicy	5	—	—
51	Miodowarnicy	10	—	—
52	Winiarze	6	—	—
53	Kominiarze	5	3	12
54	Tapicerzy	3	—	—
55	Tokarze	5	2	2
56	Fabrykanci instrumentów .	6	9	5
57	Szczotkarze	1	1	—
58	Szlifierze	5	—	—
59	Tandeciarze	16	—	—
60	Muzykanci	22	—	—
61	Słoniniarze	3	—	—
62	Handlarze sadła	6	—	—
63	Handlarze oleju	15	—	—
64	Handlarze drzewa . . .	21	—	—
65	Handlarze śledzi . . .	18	—	—
66	Waciarze	2	1	—
67	Tracze	4	—	—
	Ogółem . .	1.378	688	590

Osobny wykaz kupców i rękodzielników sporządził Bredetzky dla dzielnicy żydowskiej.

Liczba porządkowa	Nazwa korporacyi i cechów	Liczba		
		majstrów	czeladzi	uczniów
1	Kupcy	84	13	12
2	Winiarze	6	—	—
3	Miodosytnicy	2	—	—
4	Mydlarze	2	—	—
5	Handlarze drzewa . . .	2	—	—
6	Kowale	52	2	16
7	Stolarze	1	—	—
8	Szklarze	3	—	—
9	Rzeźnicy	10	—	—
10	Tasiemkarze i szmuklerze .	22	3	2
11	Balwierze	4	—	—
12	Tapicerzy	3	—	—
13	Rytownicy	2	—	—
14	Rękawicznicy	5	—	—
15	Tokarze	1	—	—
16	Introligatorowie . . .	5	—	—
17	Czapkarze	12	2	2
18	Haftkarze	6	—	—
19	Mączarze	2	—	—
20	Kramarze	30	—	—
21	Fabrykanci cykoryi . .	4	—	—
22	Muzykanci	7	—	—
23	Tandeciarze	17	—	—
24	Drobni Przekupnie . . .	9	—	—
25	Złotnicy	7	1	1
26	Szewcy	2	—	—
27	Piekarze	13	—	6
28	Kuśnierze	11	9	6
	Ogółem w dzielnicy żydowskiej	324	31	45
	„ w Krakowie . .	1.378	688	590
	Razem . .	1.702	719	635

W porównaniu z stanem ludności i przemysłowym ruchem miasta za czasów rządów polskich zaznacza Bredetzky zmianę na lepsze w rozwoju Krakowa, który według Coxe'a liczyć miał 16.000 ludności. Natomiast autor wydanego w Salcburgu w roku 1793 dzieła: *Nachrichten über Pohlen*, (Kausch), powątpiewał co do prawdziwości tej cyfry, zaś Zöllner obliczał ludność Krakowa na sześć do siedmiu tysięcy głów...

Osobny rozdział poświęca nasz autor opisowi biblioteki Jagiellońskiej. Skreśliwszy pokrótce zewnętrzną, średniowieczną postać Kollegium Małego, stwierdza Bredetzky, iż większa część książek bibliotecznych pochodziła z szesnastego i siedmnastego wieku, to jest z czasów najżywszego rozkwitu wszechnicy krakowskiej. Katalog książek drukowanych znajdował się w stanie tak opłakanym, iż z trudnością można się było z jego pomocą oryentować. Nie widział również Bredetzky rzadkich inkunabułów, które miały znajdować się w księgozbiorze. Natomiast wyraża żywe ubolewanie z powodu, iż kosztowne sztychy zastał porzucone na stole, dostępnym dla niepowołanych rąk. Szerzej rozwodzi się nasz autor nad zbiorem rękopisów, obejmującym do pięciu tysięcy sztuk. Obok materyałów do dziejów soboru trydenckiego, wymienia celniejsze rękopisy, dotyczące historyi Czech i Węgier, wspomina o Długoszu i ostrej poddaje krytyce bezładny katalog manuskryptów, sporządzony w r. 1772 przez Putanowicza i Mrugaczewskiego, profesorów wydziału teologicznego. Mimo całej bezstronności, charakteryzującej jego opowieść, nie może się Bredetzky powstrzymać od złośliwej uwagi o sumach, poświęconych przez uniwersytet krakowski na proces kanonizacyi Jana Kantego. Z autora przemawia tu pastor reformowanego wyznania, którego purytanizm przebija się również w jednym z następnych ustępów, w którym nam prawi o młodzieży polskiej. Opis biblioteki Jagiellońskiej zamyka u niego wzmianka o czterech czy pięciu działach tego księgozbioru, nieuporządkowanych, niespisanych, oddanych na pastwę szczurów i nieczystości...

Wprost od biblioteki przechodzi Bredetzky do opisu przechadzek publicznych w Krakowie. Jest ich bardzo niewiele, zaś najbliżej miasta leżą ogrody Krzyżanowskiego i Wodzickich. Ten ostatni zwano też ogrodem Fränzlowskim. Ogród Krzyżanowskiego był na wiosnę i w lecie miejscem zbornem dla śmietanki towarzyskiej Krakowa, której wyłączność wobec innych warstw społecznych wpadła od razu w oko autorowi, przywykłemu w Wiedniu do oglądania w publicznych ogrodach bardziej mięszanego towarzystwa. Niższe warstwy odstręczało też niezawodnie od bywania w ogrodzie Krzy-

żanowskiego okoliczność, iż prócz kawy, pączu, limoniady i lodów — (Napis: Lody widniał nad bramą wchodową) — nie można tam było dostać wina, piwa lub wódki. O charakterze zebrania w ogrodzie świadczył już zdaleka widok powozów i karet, czekających u wejścia do ogrodu, gdzie też równocześnie tłoczyła się zgraja najwstrętniejszego żebractwa. Żebracy w Polsce — mówi autor — dokładają wszelkich starań, by wyglądać jak najbardziej odrażająco. Nie wystarcza im najokropniej wykręcona noga. I szczudło, na którem się opierają, musi być najdziwaczniej wygięte.

Tem większe przeciwieństwo sprawia na wchodzącym obraz wytwornego towarzystwa, znajdującego się w ogrodzie, liczącym zaledwo 250 kroków długości i 96 szerokości. Piękne łączy się tu z pożytecznem. Obok różanych krzewów widać kapustę, szparagi i sałatę. W jednym z zakątków ogrodu urządzono szkółkę drzewek, cieplarnię, tudzież oranżeryę, zbudowaną na niewielkiem wzniesieniu. Z drugiego znów pagórka roztacza się dla używających przechadzki prześliczny widok na okolicę, a miniaturowe rozmiary wszystkich tych urządzeń przypominają mimowoli słowa satyryka: Uprasza się nie rozdeptywać tej góry... Tuż obok bramy ogrodowej istniała sala z przyległymi, gustownie urządzonymi pokojami, służąca dla zamkniętych towarzystw do zebrań i tańców. Tam też mieściły się: bilar, kuchnie i mieszkanie właściciela, obok którego pod namiotem sprzedawano lody, oraz inne chłodniki. Najbardziej ożywionym był ten ogród podczas świętojańskich kontraktów, ściągających do miasta liczny zastęp ziemiaństwa dla interesów i zabaw.

Te zebrania dały powód Bredetzky'emu do ogólnych uwag o polskiej młodzieży. Chwali więc urodę, smak w ubiorze i dar podobania się u Polek, zachwycając się ich wdziękiem w tańcu. Młodzież płci obojga łączy lekkość Francuza z powagą Anglika i z ową ludzkością, jednającą serca wszystkich. Wszystkie te zalety znikają wszakże pod wpływem biesiadniczej ochoty — zdaniem autora. Mężczyźni podochoceni powracają do domów, kobiety krzykliwością nie ustępują mężczyznom. „Znam wśród szlachty polskiej" — powiada nasz pisarz — „wielu mężów szlachetnych, entuzyazmujących się dla wiedzy, humanitarnych w pożyciu, ale wśród młodzieży panuje demoralizacya straszliwa, zdziczenie, graniczące z barbarzyństwem." Co zaś szczególniej oburzało poważnego pastora, to niczem niepohamowana swoboda słowa, jakiej nadużywała młodzież, opowiadając sobie bez żadnych ogródek wielce drastyczne epizody z swych przygód w publicznych restauracyach. „Gdyby wielki Sobieski mógł rzucić okiem na skarlałych swych potomków" — woła

Bredetzky — „to wówczas smutna dola tego narodu nie przedstawiałaby dla niego zagadki!“ ...

Trzeci rozdział książki poświęca autor, nie krępujący się widocznie jakimkolwiek systemem w układzie swego dzieła, opisowi szlifierni, będącej własnością niejakiego Eisenbacha a istniejącej o pół mili od Podgórza. Szlifiernia, pędzona wodą z potoku, wpadającego do Wisły, posiadała jedyny w całej okolicy młot żelazny i produkowała klingi do pałaszy, pochwy, ostrogi i sprzączki, potrzebne dla wojska, i zatrudniała sto siedm osób, licząc w to pracujące w zakładzie kobiety i dzieci. Sam młyn kosztował właściciela do 27.000 złr., lecz fabryka ta, przetwarzająca na miejscu krajowy surowiec i dostarczająca zupełnego uzbrojenia dla kawalerzysty, nie doznawała należytego poparcia, skutkiem czego nie mogła się odpowiednio rozwinąć. Z szlifiernią połączoną była kuźnia gwoździarska, w której pracowała cała rodzina, złożona z ojca, matki i synów. Dwa psy, zaprzęgane na przemiany do kołowrotu, poruszały miechy.

Z czwartego rozdziału, zawierającego statystyczne miscelanea o Galicyi, zestawione na podstawie konskrypcyi wojskowej z roku 1807, wyjmujemy daty, dotyczące Lwowa, który w tym czasie liczył 43.614 mieszkańców, (w tej liczbie: 26.031 żydów). W roku 1808 ludność Lwowa wzrosła do 44.655 głów, (26.766 żydów). Dla badacza krajowego przemysłu wielce interesującym będzie również zawarta w tym rozdziale wiadomość o fabryce perkalików, bielizny stołowej i nankinów hrabiego Friesa i spółki, założonej w Nawsiu, w roku 1786 przez Edera. Fabryka ta zrazu wyrabiała perkaliki i wyroby bawełniane i dopiero od roku 1803 rozwinęła swą działalność na szeroką skalę, pozyskawszy kierownika w osobie Achillesa Jeannota, dawniej dyrektora podobnego zakładu w Offenbach. Dzięki jego energii i doświadczeniu fabryka podniosła się do tego stopnia, iż w roku 1806 zatrudniała w Nawsiu i w swej filii, w Dębowicy, 429 robotników, wyrabiając rocznie: 5.000 tuzinów chustek bawełnianych, 500 sztuk bielizny stołowej i 15.000 sztuczek nankinu. Wyroby swe wysełała fabryka głównie do Wiednia a w części też za granicę. Bawełnę sprowadzano z Anglii i z Wiednia.

Króciuchna notatka o częściach składowych góry piaskowej we Lwowie, zabłąkana niewiadomo w jaki sposób w tym dziale, przegradza nas od zawartej w piątym rozdziale opowieści o wycieczce autora do Krzeszowic.

Krzeszowice w roku 1805 były jeszcze własnością Lubomirskich, gdyż dopiero po śmierci księżny marszałkowej w roku 1816 dostały się w spadku Arturowi Potockiemu. Drogą złą, piaszczystą

na Łobzów i Bronowice udał się Bredetzky do Krzeszowic, napomykając przy tej sposobności o słynnej z swej gleby Czarnej Wsi, zamieszkałej w przeważnej części przez ogrodników, uprawiających wszelakiego rodzaju warzywa. Fizyonomia tej wsi przypomniała naszemu autorowi niemieckie osady, lecz z tej illuzyi wywiódł go rychło okropny stan drogi. Z jednej kałuży wpadał wóz w drugą, z jednej dziury w następną, zaś rozwalona za Łobzowem karczma przypomniała znów Bredetzky'emu dość często powtarzające się w ówczesnym Krakowie wypadki zawalenia się domów, co zdawałoby się świadczyć niezbyt korzystnie o umiejętności budowniczych miejscowych. Natomiast Krzeszowice wywarły na przybyszu nader miłe wrażenie zarówno swem uroczem położeniem, jak czystością murowanych budynków i starannem utrzymaniem parku, rozciągającego się po obu brzegach Rudawy — (pałac obecny wystawili dopiero Potoccy). Z istniejących tamże dwóch źródeł jedno było żelaziste, drugie siarczane. Do kąpieli dla chorych używano mięszanej wody z obu zdrojów, sprowadzanej do łazienek rurami. Mieszkanie, złożone z dwóch izb, z łazienki i z kuchni, kosztowało dziennie 2 złote reńskie.

Wśród wzgórz, otaczających Krzeszowice od strony południowej, istniała kopalnia węgla kamiennego, eksploatowana w sposób nader prymitywny, gdyż górnicy, pracujący w sztolni, musieli leżąco wydobywać węgiel. Przeciętna, roczna produkcya węgla wynosiła 10.000 korców, (korzec licząc po dwa cetnary), które sprzedawano na miejscu po szesnaście groszy. Węgiel krzeszowicki nie zaliczał się do najlepszych w Galicyi. Był to tak zwany węgiel brunatny. Zresztą prawidłową eksploatacyę tej kopalni utrudniały i woda zaskórna i brak odpowiednich robotników, których zastępowali na razie miejscowi włościanie pod dozorem niemieckiego górnika. Zwiedził też Bredetzky pobliski Tęczyn oraz górę z rozwalinami zamkowemi i nasłuchał się do syta z ust włościan opowieści o ukrytych w tem miejscu skarbach.

Opisowi kopalni węgla w Jaworznie poświęca nasz autor szósty rozdział swej książki, twierdząc, że tamtejsze pokłady węgla odkryte zostały jeszcze za polskich czasów podczas kopania dołów na wilki. Nie korzystano z nich wszakże aż do czasów przejścia tych okolic pod berło austryackie. Eksploatacyę węgla w Jaworznie rozpoczął w kwietniu 1795 roku Krzysztof Ried na koszt skarbu. W czasie pobytu Bredetzky'ego istniało w Jaworznie pięć pokładów węgla rozmaitej szerokości i zarząd kopalni nosił się z myślą budowy podziemnego, wodnego kanału, na którymby można spławiać węgiel

wydobyty na powierzchnię ziemi. Węgiel tamtejszy, łupkowy, w przeważnej części był zużytkowywany w Krakowie, dokąd też corocznie sprowadzano tysiące cetnarów węgla z Prus. Autor nasz doradza ogłoszenie zakazu przywożenia obcego węgla do kraju, gdyż zarówno rządowe, jak prywatne kopalnie krajowe są w możności zaopatrzenia Krakowa i okolicy w potrzebny materyał opałowy. W Jaworznie pracowało, prócz dziewięciu zawodowych górników, czterdziestu dwóch poddanych, obowiązanych do odrabiania pańszczyzny przez dwa dni tygodniowo. Ludzie ci pod względem zręczności nie ustępowali górnikom zawodowym. Węgiel wydobyty spławiano z Jaworzna na tratwach rzeczką Przenicą do Wisły a następnie Wisłą do Krakowa. Prócz kopalni rządowych istniały w Jaworznie jeszcze kopalnie węgla: Burdy, (dostarczająca rocznie 4.000 korcy), Sierakowskiego, 1.300 korcy), i Sperlinga, (5.000 korcy). Sperling, kolonista, do Polski przybyły z Niemiec, założył też w pobliżu Krakowa wapniarkę oraz fabrykę skałek do broni palnej. Prócz powyżej wymienionych, istniała jeszcze w Jaworznie kopalnia węgla Rittera, produkująca rocznie 1.000 korcy.

W Dąbrowie pod Tęczynkiem była również czynną kopalnia węgla Potockich, (9.000 korcy rocznie), podczas gdy kopalnia wielicka produkowała rocznie 33.000 korcy. Kopalnia Nowaka pod Łuczkowicą posiadała wprawdzie jeden z najlepszych gatunków węgla, lecz musiała walczyć nieustannie z zalewającą ją wodą. Dostarczała ona rocznie 12.000 korcy węgla. Ogółem roczną produkcyę węgla w tych stronach oblicza Bredetzky na 91.619 korcy.

Zupełnie odmienny charakter posiada siódmy rozdział książki, w którym autor opisuje wrażenia, odniesione z wycieczki, jaką odbył w sierpniu 1805 roku do Kalwaryi Zebrzydowskiej. Było to w przededniu Wniebowzięcia Matki Bożej i tłumy pątników, z wszystkich stron Polski, Szląska i Moraw przybyłych, przepełniały miasteczko licho bardzo zbudowane. Wmięszany w tłum, obszedł Bredetzky stacye Męki Pańskiej, zdumiewając się nad żarliwą pobożnością prostaczków, acz raziły go włóczenie się na kolanach, leżenie krzyżem, biczowanie się, dokonywane przez niektórych pątników, podobnie jak sztuczne ognie, spalone wieczorem przez braciszków klasztornych ku niemałej uciesze tłumów, koczujących pod gołem niebem. Nazajutrz od świtu kościół był przepełniony. Z powodu gorąca i ciżby wyniesiono wiele kobiet omdlałych z świątyni, a podobno jakaś mieszczanka krakowska utraciła w tłoku życie... Zwiedzając szczegółowo klasztor, zaszedł też Bredetzky do celi, w której gwardyan zapisywał msze, zamawiane przez pątników. Szczególniej wzruszył

naszego pastora widok starej góralki, która, składając grosz swój wdowi w ofierze, prosiła księdza, by modlił się za powodzenie jej syna, zabranego w rekruty. Wspomnienie tej kobiety, dodaje Bredetzky, towarzyszyć mi będzie zawsze w chwili przykrego uczucia, wywoływanego objawami brutalnej bigoteryi...

Podobnej treści, kreślące osobiste wrażenia autora podczas wycieczek po kraju, są następne dwa rozdziały, (ósmy i dziewiąty), zawierające opisy Wieliczki, Bochni i kolonii niemieckich, rozrzuconych nad Rabą. Wspominając o Wieliczce, napomyka Bredetzky, iż nie jest nieprawdopodobnem podanie, jakoby dolina, w której ta miejscowość leży, powstała dopiero z biegiem czasu, gdyż powolne obniżanie się terenu, skutkiem wydobywania pokładów soli pod miastem leżących, byłoby wielce naturalne. Ogrody otaczają wszystkie domostwa miejskie, budowane przeważnie z drzewa. Z Wieliczki przybył autor do Letnicy, kolonii niemieckiej, stworzonej za Józefa II. z osadników, przybyłych z okolic nadreńskich. Ludzie ci mieli się bardzo dobrze i byli zadowoleni z swego bytu. Minąwszy Gdów, nędznie zabudowaną mieścinę, dotarł Bredetzky do Bochni, którą porównuje z jednym, wielkim ogrodem. Drzewa zasłaniają też w znacznej części lichy stan domostw, rozrzuconych dość chaotycznie. Na północ od Bochni, nad Rabą, znajdowało się sporo kolonistów niemieckich, osiadłych w Nowym Gawłowie i w Nowych Majkowicach, w Wojtowstwie, w Książnicach i w Krzeczowie. Ogół osadników Niemców oblicza Bredetzky w tej okolicy na 3.110 głów. Urodzajna ziemia, bliskość Bochni i Krakowa, a co najgłówniejsza, pracowitość tych kolonistów, zapewniły im znaczny dobrobyt. Po tej ogólnej uwadze znajdujemy kilka refleksyi autora na temat gospodarki rolnej kolonistów, a oraz opis zwyczaju, kultywowanego w drugi dzień Zielonych Świątek przez polskich włościan w Letnicy, obiegających swe pola z tykami, na których płonęły zatknięte wiechcie słomy. Czynność ta miała zapewnić im urodzaje...

Z powodu tego zwyczaju napomyka Bredetzky o barbarzyńskim zabobonie, którego ofiarą padł pewien wieśniak w cyrkule radomskim, pod Łomnią. Wieśniak ten zachorował i w letargu zaniesiony został do trupiarni. Ocknąwszy się, zawlókł się o własnej sile do chaty, ku niemałemu przerażeniu rodziny i znajomych, którzy sądząc, że mają przed sobą upiora, ucięli nieszczęśliwemu głowę i nogi, aby na przyszłość nie straszył. Władza, powiadomiona o tem zdarzeniu, starała się stłumić wiadomość o niem, nie chcąc karać zbrodni, popełnionej z ciemnoty. „Długie jeszcze lata upłyną“ — słowa Bredetzky'ego — „zanim szkoły ludowe w Galicyi znajdą

rozpowszechnienie, chłop bowiem żywi ten szczególniejszy przesąd, iż nie warto uczyć chłopaka pisania i czytania, choćby dlatego, że i tak go z pewnością zabiorą do wojska“ ...

W rozdziale dziesiątym przenosi nas autor do Galicyi wschodniej, zdając w tym ustępie sprawę z wycieczki, odbytej w sierpniu 1807 roku ze Lwowa do Kałusza. Dojeżdżając do Szczerca, zwrócił uwagę na nadzwyczajną obfitość sadów i owoców w kolonii Reichenbach, na piękne położenie osady Dornfeld, założonej przez byłego komisarża tegoż nazwiska a zabudowanej w kwadrat. Wspomina następnie o osadzie Rosenberg, nazywanej też Nowym Szczercem a zalecającej się nadzwyczaj urodzajną glebą, o koloniach: Falkenstein, Einsiedel i Chrusno, sprawiających swą schludnością i zamożnością widok wielce przyjemny. We wszystkich tych miejscowościach ogrody były tak rozległe, iż osada Lindenfeld sprawiała, zwłaszcza zdaleka, raczej wrażenie lasku, aniżeli kolonii gospodarczej. Ludność tych osad, pozostających pod zarządem urzędów kameralnych w Szczercu i w Siemianówce, była wyznania reformowanego i posiadała kilka szkół.

Wśród tych osadników znaleźli się także Menonici, potomkowie głośnych Anabaptystów z XVII. wieku, którzy, odrzuciwszy w Holandyi dawniej praktykowane wielożeństwo i uznawszy istnienie władz rządowych, przybrali nazwę od swego przewodnika, imieniem Menos Simonis. Galicyjscy Menonici przybyli do nas za Józefa II. w liczbie trzydziestu rodzin, z których część pewna wyniosła się następnie do Rosyi. Bredetzky naliczył dwadzieścia rodzin tej sekty, liczących razem 128 głów. Główną ich siedzibą była kolonia Einsiedel. Zrazu traktowano Menonitów jako protestantów, każąc im opłacać kwotę pewną na utrzymanie pastora w Dornfeldzie. Ponieważ jednak Menonici obywają się bez duchowieństwa, przeto władza zarządziła w r. 1795 komisyę, która urzędowała w Siemianówce. Rezultatem tych dochodzeń było uwolnienie Menonitów od obowiązków składania opłaty na rzecz pastora w Dornfeldzie. Sekciarze nie przyjmują urzędów, nie składają przysięgi, oraz nie pełnią służby wojskowej. Dzielą się na ściśle przestrzegających przepisów sekty, tak zwanych szwajcarskich Menonitów, nie noszących guzików i nie golących brody, oraz na mniej ścisłych wyznawców, którzy noszą guziki i brody. Są to ludzie pracowici, spokojni, unikający wszelkich gwałtowniejszych wzruszeń, wyróżniający się i pod względem zewnętrznym korzystnie wśród innych kolonistów. Z tego też powodu młodzi koloniści chętnie żenią się z Menonitkami, które dzieci wychowują w zasadach swej sekty. Wypadki tego rodzaju zupełnie zre-

sztą naturalne — zdaniem autora — wywoływały straszliwą wrzawę wśród osadników, protestantów.

Z Reichenbach na Rozwadów udał się Bredetzky do Stryja. Od Rozwadowa jechał dobrym gościńcem, tworzącym podczas wiosennych wylewów Dniestru niejako groblę. Podobnież groblą musiano przed laty zabezpieczać miasteczko Stryj wobec wylewów rzeki tegoż nazwiska, nader bystrej i nieustannie zmieniającej swe koryto. Stryj sprawił na podróżniku nader sympatyczne wrażenie. Wjeżdżało się do miasta długą ulicą, wzdłuż której widniały dobrze zbudowane, otoczone ogrodami, dworki. Dopiero minąwszy rogatkę, ujrzał nasz podróżny zwykłe, żydowskie miasteczko, zabudowane w regularny czworobok drewnianymi domkami, o daleko wystających dachach, pełne nieczystości i błota. Ze Stryja promem przeprawił się na przeciwną stronę, udając się do Kałusza, by po drodze zatrzymać się w Lisowicach, gdzie istniała warzelnia soli. Położenie żupy u stóp wzgórza, od strony południowej, nasunęło autorowi pod pióro pytanie, czy nie należałoby w tem miejscu urządzić warzelni, produkującej sól pod wpływem słońca, na wzór zakładu, istniejącego w Artern, w Saksonii. Pod Bolechowem zauważył osadę, zwaną Nowy Babilon, przeznaczoną pierwotnie dla żydów, którzy wszakże niebawem porzucili wyznaczoną im przez urząd rolę. Miejsce ich zajęli pracowici koloniści niemieccy. Tuż pod miasteczkiem istniała żupa solna o czterech panwiach. Z Bolechowa na Hoszów, z bazylijańskim monasterem wśród skał położonym, zajechał Bredetzky do Mizunia, gdzie produkowano żelazo, przerabiane następnie na panwie do żup, na piece, oraz na rozmaite naczynia kuchenne. Oddalona od dwie mile od Bolechowa Dolina, przypomniała mu swą fizyonomią Bochnię, zaś w okolicy tego miasteczka powstały znaczniejsze i kwitnące osady niemieckie: Ugartsthal ze zborem i z szkołą, tudzież leżąca w uroczem położeniu, słynna z sadów owocowych, Landestreu. Od Ugartsthal, w półmilowej zaledwo odległości, leżał Kałusz, siedziba niegdyś starostwa. W roku 1807 były tam: wyższy urząd leśny, zarząd żupy, dwa urzędy cłowe, komisaryat drogowy i szkoła normalna. Kałusz był więc w owym czasie znaczniejszem miasteczkiem w Galicyi. Na równinie, roztaczającej się pod miasteczkiem, widoczne były obfite pokłady torfu, sięgające miejscami od trzech do pięciu stóp a niewyzyskane, być może, nawet nieznane okolicznym mieszkańcom. Ludność ruska w okolicach Kałusza zastanowiła naszego badacza, którego zdaniem była najpiękniejszą w całej Galicyi. Jeden z urzędników, zapytywany przez Bredetzky'ego co do pochodzenia owej ludności, oświadczył mu, iż na poprawienie rasy

w tych stronach wpłynął niewątpliwie pułk saski kirasyerów, załogujący tamże przez długie lata za czasów Augusta II. Odpowiedź ta nie zadowoliła uczonego badacza, który w bardzo ostrych wyrazach karci niemoralność ludu wiejskiego z tych okolic, brodzącego przez rzekę po większej części w stroju Adamowym...

Przegląd topograficznej literatury o Galicyi zajmuje cały jedenasty rozdział leżącej przed nami książki. Bredetzky ujemnie wyraża się o historyi Galicyi, wydanej w r. 1792 w Wiedniu przez Jakóba A. Hoppego, jako o bezładnej kompilacyi, z rozmaitych autorów sporządzonej [1]). Ostrej też poddaje krytyce wiadome *Listy* Krattera, w których zawarte wiadomości oszpecił autor nędznemi plotkami. Natomiast wyżej stawia *Wspomnienia z podróży* Józefa Rohrera, choć autor zbyt może czarno zapatrywał się na otaczające go stosunki [2]) a z wielkiemi pochwałami wyraża się o dziele Franciszka Jekla, omawiającem przeobrażenia państwowe w Polsce, oraz ostatnią konstytucyę [3]). Chwali i erudycyę autora i przystępność jego wykładu i obfitość przytoczonych w dziele jego źródeł. Również dodatnio wyraża się o wydanej bezimiennie w Salzburgu książce Kauscha, choć, zdaniem jego, praca ta miała przeważnie charakter okolicznościowy, interesujący szczególniej w dobie przedrozbiorowej [4]). Zaszczytną wzmianką darzy też Bredetzky naukowe opisy podróży Carosiego, Hacqueta i Ferbera [5]), tudzież polityczną publikacyę, p. t. *Magna Charta von Galicien*, przypisywaną Kortumowi. Z całą jednak stanowczością i z widoczną niechęcią występuje nasz autor przeciw J. A. Schultesowi, lekarzowi i profesorowi uniwersytetu krakowskiego. Oddaje mu zasłużone uznanie za naukowe zbadanie zdrojów krynickich i ogłoszenie drukiem rezultatu tychże badań [6]), lecz z tem większą bezwzględnością zwalcza twierdzenia, wyrażone

---

[1]) Jakób August Hoppes, k. k. Bochnier Kreisschulendirektors: Ältere und neuere Geschichte der Königreiche Galizien und Lodomerien. (Wien, J. Alberti 1792).

[2]) Bemerkungen auf einer Reise von der türkischen Grenze... nach Wien von Joseph Rohrer. (Wien, A. Pichler 1804).

[3]) Franz Joseph Jekels: Pohlens Staatsveränderungen und letzte Verfassung. (Wien 1803, A. Pichler).

[4]) Nachrichten über Pohlen. (Salzburg, Mayer, 1793).

[5]) Johann Philipp v. Carosi: Reisen durch verschiedene pohlnische Provinzen. (Leipzig 1781). — Hacquets: Neueste physikalisch-politische Reisen. (Leipzig 1790— 1796). — Johann J. Ferbers: Relation von der... mineralogischen... Reise durch einige pohlnische Provinzen. (Arnstadt 1804).

[6]) Über die Mineralquellen zu Krynica. (Wien 1807).

przez krakowskiego uczonego, w listach, ogłoszonych w wiedeńskim *Intelligenzblacie* [1]). Wytyka mu mianowicie twierdzenie, rzucone *ex cathedra*, jakoby Karpaty były najmniejszemi górami w Europie. Krytykuje też banalną opowieść Schultesa o mogiłach Krakusa i Wandy, lecz z szczególną lubością znęca się nad nieszczęśliwym chemikiem z powodu ogłoszonych przez niego paradoksów o żydach galicyjskich, którzy — zdaniem Schultesa — jedynie byli godnymi posiadania tego kraju. Nie przytaczamy całej tej, wcale dowcipnie skreślonej polemiki, która dla czytelników, nie znających listów Schultesa, nie może być dostatecznie zrozumiałą. Nadmienimy więc tylko, że uczony badacz źródeł krynickich przedstawił żydów, jako jedynie uprawnionych do posiadania Galicyi z tego powodu, iż oni tylko są w stanie zarobić na utrzymanie, uprawiając rękodzieła i rolę, lepiej od chrześcian, warząc trunki doskonałe i spełniając wyśmienicie obowiązki gospodarzy po domach zajezdnych. Nie dość na tem. Nie poprzestając na wymienieniu tylu zalet moralnych, zachwycał się Schultes ich urodą: oczyma, pełnemi ognia, orlimi nosami, usty, brodami a nawet ryżą czupryną dzieci ludu wybranego. Na każdy z tych punktów odpowiada Bredetzky w sposób, niepozbawiony głębszej satyry. Naturalnym rzeczy porządkiem, w pierwszym rzędzie bierze on w obronę niemieckich mieszczan i osadników wiejskich tejże narodowości, którym przypisuje wszystkie postępy cywilizacyjne, jakie w ostatnich lat dziesiątkach Galicya poczyniła. Nie zaniedbał atoli przy tej sposobności obronić też ludność polską w Galicyi, którą Schultes stawiał na równi z mieszkańcami Nowej Holandyi, z Ostjakami, oraz z mieszkańcami Kalifornii, twierdząc, że Polak nie przyda się nawet na żołnierza, gdyż nie chce się bić, jeno pić i spać... Dawszy surową, zgodną z rzeczywistością odprawę krakowskiemu koledze, kończy Bredetzky swe wywody następującem zdaniem: „Jeżeli pisarz, poważny zresztą, zuchwale ciska publiczności w oczy zdania na poły prawdziwe, lub wręcz fałszywe, wówczas zdradza wobec niej lekceważenie, które nigdy dość surowo nie może być zganione. Jeżeli jednak publiczność spokojnie przyjmuje owe radomontady z obawy przed jego ostrem piórem, wówczas zasługuje na częstsze przyjmowanie takich, jak Schultesa, listów“...

Z dwunastego rozdziału książki wyjmujemy jedynie ustępy, Galicyi dotyczące, znajdujące się w opisie podróży autora, odbytej

---

[1]) Intelligenzblatt der Neuen Annalen des Österreichischen Kaiserthums. (Wien 1807).

ze Lwowa na Spiż i Preszów do Koszyc. Bredetzky jechał gościńcem janowskim. Pierwszem przeto miasteczkiem na tej drodze był Janów, którego ludność ocenia na pięćset dusz. Staw janowski o dziewięciuset morgowym obszarze słynął z swej rybności. Ryby janowskie szły na stoły królów polskich. Staw ten spuszczano co cztery lata, wydzierżawiając cały połów za kwotę 14.000 złr., podczas gdy koszt utrzymania stawu wynosił zaledwo pięćdziesiąt złotych, które płacono stawniczemu. O dwie mile od Janowa leży Szkło, znane z siarczanych kąpieli. Rząd pobudował tamże w pierwszych latach bieżącego wieku jadalnię, oraz piętnaście domków mieszkalnych. Tuż naprzeciw mieszkań istniały łazienki. Przed domem kąpielowym rozciągał się ogród z kapliczką, w której latem codziennie mszę odprawiano. Źródło tryska w niewielkiej rozpadlinie. Obok nowych łazienek zachowano dawniejsze, przeznaczając je dla żołnierzy. W długiej szopie ustawiono wannę przy wannie dla chorych synów Marsa, o których wygodę nikt zbytnio nie dbał. Dzierżawcą zakładu był niejaki Smutny, który za dwa złote dziennie dostarczał mieszkania, kąpieli, obiadu i wieczerzy. A że karmił swych gości do syta, przeto i taksa, przez niego pobierana, nie była zbyt wygórowaną. Kąpiel, brana oddzielnie, kosztowała piętnaście, dla obcych dwadzieścia krajcarów. Opodal od zakładu istniała piękna papiernia, własność Pillerów, cel zwykłych przechadzek gości kąpielowych.

Do Jaworowa wiodła ze Szkła źle utrzymana, piaszczysta droga. Jaworów, siedziba zarządu kameralnego, zabudowany w kwadrat, liczył do tysiąca numerów i odznaczał się nader rozległemi przedmieściami, zamieszkałemi przez ruskich chłopów. Przedmieście krakowieckie ciągnęło się przeszło na milę długości. Mimo piaszczystej gleby spotkał tam Bredetzky nadzwyczaj piękne zboże. Jaworów posiadał staw nader rybny, podobnie jak oddalony o dwie mile Krakowiec, zalecający się nowym, w czystym stylu zbudowanym kościołem. Od miasteczka do rezydencyi dziedzica, którym był hr. Cettner, wiodła prześliczna alea, ćwierćmilowej długości, wysadzana jasionami, wierzbami i lipami, wśród których widniały mieszkania dworskich oficyalistów i włościańskie chaty. Z Krakowca na Zaleską Wolę i Radymno udał się Bredetzky do Jarosławia, którą to miejscowość opisuje jako bardzo miłe miasteczko. Śródmieście składało się z dwustu domów, budowanych z cegły, gdyż kamień musiano sprowadzać dopiero z Lubaczowa lub z Przemyśla. Grunt gliniasty, miękki, był prawdopodobnie przyczyną katastrofy, zawalenia się wieży przed trzema laty, przyczem do pięćdziesięciu ludzi postradało życie. Jarosław, prócz gmachu komisyi mundurowej, po-

siadał kilka kościołów, zbór ewangelicki i stacyę pocztową. Okolica nad Sanem była prześliczna; dokoła ciągnęły się dobra Czartoryskich. Domy w Jarosławiu otaczały liczne ogrody. Na przedmieściu istniały trzy czy cztery blichy woskowe. Natomiast pszczelnictwo w tych stronach nie wiodło się. Grunta pod Jarosławiem odznaczały się urodzajnością. Najlepiej udawały się żyto i jęczmień. I sadownictwo kwitnęło w tych stronach.

Odległy o dwie mile od Jarosławia Przeworsk, zalicza Bredetzky do najmniej pokaźnych miasteczek w Polsce. Budynki drewniane przedstawiały widok bardzo smutny. Natomiast Łańcut, z swą aleą lipową, milowej długości, wspaniałą był rezydencyą, należącą obok Puław do najbardziej interesujących miejscowości w Galicyi.

Rzeszów, zamieszkały przeważnie przez żydów, zasługiwał, zdaniem naszego autora, na miano galicyjskiej Jerozolimy. Żydzi rzeszowscy zajmują się głównie złotnictwem, wyrabiając towary galanteryjne, zwane rzeszowskiem złotem. Miasto to było siedzibą urzędu obwodowego i drogowego, poczty i katolickiego gimnazyum. Zdobiło je wiele domostw nowych, a do ożywienia tej miejscowości przyczyniała się niepomiernie przepływająca tuż pod miastem rzeka Wisłok, przez którą przeprawiać się trzeba było na promie. Położenie Rzeszowa w samym środku kraju, nad spławną rzeką, kwalifikowało to miasto na stolicę. W dawnym, warownym zamku mieścił się urząd obwodowy. Złe wrażenie na przybywających do Rzeszowa sprawiało jedynie natręctwo żydów, ofiarowujących na każdym kroku swe usługi. Na Sędziszów, Ropczyce, Dębicę i Pilzno udał się Bredetzky do Tarnowa, który mu niczem nie przypominał miast i miasteczek galicyjskich. Dobrze zbudowane, dwupiętrowe kamienice nadają mu pozór niemieckiego miasta, a gdy i żyd mniej się przybywającemu narzuca, to sądzić można, że się jest za granicami Galicyi. Podobnie jak Jarosław, posiada też Tarnów bruk kamienny. Miasto leży na wzgórzu i domy nie zakrywają się wzajemnie, co z pewnej odległości sprawia widok bardzo ładny. Prócz urzędu obwodowego, istniały w Tarnowie tabula krajowa, poczta i szkoła katolicka. Ztąd na Brzesko i Bochnię jechał nasz autor do Gawłowa i Majkowic, przez okolicę, najbardziej żyzną — jego zdaniem — w Galicyi, gdzie też osadnicy niemieccy pozostają w najlepszej zgodzie z krajowcami, współzawodnicząc z sobą co do uprawy ziemi. Z Majkowic wiodła droga leśna do Niepołomic, siedziby kameralnego inspektoratu. Mieszkania urzędników, piękny szpichlerz kameralny i kościół nadawały tej miejscowości pozór miasteczka.

Zwiedziwszy Wieliczkę, Bochnię i Kraków, opisuje Bredetzky dość szczegółowo kamieniołomy, w okolicy Podgórza istniejące, z których też od lat niepamiętnych korzystał Kraków. Przy tej sposobności nadmienia o krzemieniu, znajdującym się wśród pokładów wapnia, tudzież o fabryce zamków krzemiennych do broni palnej, założonej przez radcę górniczego, Wampego, i wielickiego pocztmistrza, Reichendorfera, między Bielanami a Krakowem. Słysząc wiele o trudności manipulacyi przy przyrządzaniu owych zamków, zdumiał się niemało nasz autor, widząc kilku wiejskich wyrostków, uskuteczniających tę czynność z jak największą zręcznością przy pomocy zwykłego młotka i kowadełka.

W Wiśniczu, przezwanym przez Bredetzky'ego galicyjską Spandawą, zauważył on na grzbiecie góry klasztornej nader bogatą rudę żelazną, niewyzyskaną przez ludność okoliczną. Wobec bogactwa lasów okolicznych doradzał Bredetzky założenie kuźnic żelaznych, do czego możnaby użyć więźniów miejscowych.

Po bezdrożach zupełnych, na Lipnicę i Limanowę, jechało się do Nowego Sącza, ongi warownego miasta, leżącego wśród malowniczej, bardzo żyznej doliny, przerzniętej Dunajcem i Popradem. Stary Sącz przedstawia się zdaleka bardzo pokaźnie, ale za zbliżeniem się widzi podróżny, że ma przed sobą mieścinę brudną, zabudowaną lichemi chałupami. Za Nowym Sączem leżały osady niemieckie: Grodzko, zakupione i rozparcelowane przez kolonistów, Dąbrówka, powstała w miejsce opuszczonej przez żydów kolonii, zwanej Nową Jerozolimą, wreszcie pomniejsze kolonie, Biegonice i Stadło. Najzamożniejsi wszakże osadnicy przebywali we wsiach między Starym Sączem a Rytrem. Niektórzy z nich pozakupowali okoliczne grunta dworskie i podzielili je między siebie. Głównem źródłem ich dochodów była uprawa i handel nasieniem koniczu. W roku 1807 osadnicy tamtejsi przesłali tysiąc cetnarów koniczu do Koszyc, sprzedając cetnar po pięćdziesiąt złotych. Obok handlu zbożem, bydłem i nabiałem, trudnili się też koloniści handlem wina węgierskiego. Za Piwniczną w Mniszku przekroczył Bredetzky granicę węgierską, udając się w dalszą podróż, nie wchodzącą w zakres niniejszego streszczenia.

Króciuchny, bo zaledwo dwie strony tekstu liczący rozdział trzynasty leżącej przed nami książki, zatytułowany: Statystyczne Miscelanea, zawiera sprostowanie dat, błędnie podanych w statystyce Bisingera, zaś z tabeli, dołączonej w tem miejscu, wyjmiemy kilka szczegółów statystycznych, dotyczących Lwowa, Krakowa, Przemyśla, Rzeszowa, Tarnowa, Bochni i innych miast znaczniejszych Galicyi.

Cyfry, podane przez Bredetzky'ego, opierały się na konskrypcyi, ukończonej w maju 1808 roku. I tak Lwów liczył w owym czasie 2.515 domów, 10.133 mieszkań i 41.493 miejscowej ludności, wśród której znalazło się: 202 księży, 767 szlachty, 864 urzędników i honoracyorów, 837 mieszczan, rękodzielników, artystów, 46 chłopów i 5.888 chałupników, oraz ludzi rozmaitego zajęcia. Co do innych miast, poprzestaniemy na wyliczeniu ogólnej cyfry ludności. Kraków liczył 25.736 stałych mieszkańców, Przemyśl 7.358, Rzeszów 4.604, Tarnów 4.312, Bochnia 3.109, Złoczów 6.168, Nowy Sącz 3.629, Jasło 1.493, Żółkiew 2.166, Sanok 1.520, Sambor 6.573, Stryj 5.474, Stanisławów 6.192, Brzeżany 4.357, Tarnopol 7.093, Zaleszczyki 1.603, Czerniowce 5.416.

W końcowym rozdziale książki Bredetzky'ego znajdujemy kilkowierszowe objaśnienie illustracyi, zdobiącej tę pracę a przedstawiającej ogólny widok Lwowa.

Mimo chaotycznego układu treści dzieła, zakrawającego raczej na luźne notatki podróżnicze, aniżeli na systematyczny opis kraju, praca Bredetzky'ego zawiera wiele cennych i ciekawych szczegółów, tem ważniejszych, że opartych na naocznej, spokojnej obserwacyi lub też na datach urzędownie stwierdzonych. Z tego też powodu *Wspomnienia z podróży* pozostaną na zawsze ważnym przyczynkiem do dziejów rozwoju ekonomicznego Galicyi z końcem wieku ubiegłego i z początku obecnego stólecia.

Drugą z kolei, książkową pracą Bredetzky'ego jest wspomniany już poprzednio: *Przyczynek historyczno-statystyczny do dziejów kolonizacyi niemieckiej w Europie*, wydany w Bernie u Trasslera w roku 1812. Z przedmowy dowiadujemy się, że praca ta została napisaną już w roku 1808, oraz, że autor wbrew ogólnemu brzmieniu tytułu opracował na razie tylko dzieje kolonizacyi niemieckiej w Galicyi, którą to rozprawę uzupełnił spisem alfabetycznym wszystkich kolonii niemieckich w naszym kraju.

Pierwsza kolonia niemiecka w Galicyi powstała na wschodniej granicy dawnej Rzeczypospolitej, na lat dwadzieścia i kilka przed rewindykacyą. Twórcą jej był ojciec Stanisława Augusta, kasztelan krakowski, Poniatowski, dziedzic Zaleszczyk, który założywszy po drugiej stronie Dniestru miasteczko, zalecił w r. 1750 swemu plenipotentowi, podpułkownikowi, Rudolfowi Oettykierowi, sprowadzenie niemieckich osadników. Oettykier, sam wyznawca kościoła reformowanego, rozesłał werbowników do Prus i Saksonii, a zamierzając wprowadzić w ruch w Zaleszczykach fabrykę sukna, pobudował odnośne gmachy i domki dla robotników. Zanim wszakże gmachy te

pokończono, jęli już przybywać, sprowadzeni przez werbowników, rzemieślnicy, których na razie pomieszczono i zatrudniono w Lataczu, w dobrach Oettykiera. Jakkolwiek ten ostatni nie szczędził trudów, ni grosza, celem należytego rozwoju zaleszczyckiej fabryki, to jednak nie brakło przeszkód, utrudniających w wysokim stopniu doprowadzenie do skutku tyle korzystnego dla krajowego przemysłu dzieła. Jedną z głównych przeszkód była kwestya wyznaniowa. Przybyli rzemieślnicy byli protestantami i mieli sobie przyrzeczone wolne wykonywanie swych praktyk religijnych, gdy tymczasem władza duchowna przez usta biskupa kamienieckiego stanowcze przeciw temu założyła *veto*. Wobec tego Poniatowski postarał się w roku 1759 u sąsiedniego hospodara mołdawskiego, Jana Teodora Kallimacha, o pozwolenie na budowę zboru reformowanego na jego terytoryum. Pertraktacye pod tym względem przeprowadzone, uwieńczone zostały pomyślnym rezultatem. Kalimach zgodził się na założenie kolonii, na budowę zboru i szkoły na swem terytoryum i wydał odnośny dokument na piśmie, który jeszcze Bredetzky oglądał w przechowaniu gminy w Zaleszczykach. Na zasadzie tego pozwolenia wydzierżawił Oettykier leżącą tuż naprzeciw Starych Zaleszczyk wieś Filipcze, własność bojara Manoli, a rozpocząwszy budowę zboru, szkoły, tudzież domków dla osadników, zalecił negocyantowi, Döringowi, w Elblągu, pozyskanie nowych osadników dla Filipcza. Prócz bezpłatnego przewozu kolonistów i dostarczenia im potrzebnych na zagospodarowanie inwentarza oraz narzędzi, zapewniono im wolność wyznania oraz uwolnienie po wieczne czasy od wszelkich poddańczych powinności. Położenie nowej osady, oraz przyrzeczone korzyści zwabiły na mołdawską stronę wielu przybyszów rozmaitych zawodów, wśród których wszakże szczupła była tylko liczba rękodzielników i rolników. Przeważał natomiast w owem gronie żywioł awanturniczy, który nie mógł kolonii zapewnić prawidłowego rozwoju. Zaraza na bydło i nieurodzaj, nawiedzające Mołdawię w latach 1760—1761, omal, iż nie zniweczyły bytu kolonii, mimo szczodrych zasiłków kasztelana Poniatowskiego, tudzież przychylnej opieki, użyczanej osadnikom ze strony hospodarów, następców Kalimacha. Tymczasem ukończono budowę zboru i szkoły, sprowadzono z Niemiec pastora i rektora, a ponieważ wydatki te znaczniejszych wymały zasobów, przeto zarządzono składkę między wyznawcami reformowanego kościoła. Datki protestantów, zamieszkałych w Warszawie, w Gdańsku, w Toruniu, w Elblągu i w Królewcu, przyniosły sumę piętnastu tysięcy złotych, a kollektanci puścili się następnie do Holandyi i Anglii, gdzie niemniej przychylnego do-

znali przyjęcia. W miarę wszakże, jak wzrastała zamożność funduszów wyznaniowych gminy, obniżały się jej siły żywotne. Przewrotna polityka hospodarów mołdawskich, pragnących przeniesienia fabryki sukienniczej z Zaleszczyk do Jass, rozruchy krajowe, powstałe podczas elekcyi Stanisława Augusta, niezgoda osadników, wreszcie śmierć Oettykiera w roku 1766, spowodowały upadek kolonii w Filipczu, podczas gdy Stanisław August szczególniejszą otoczył opieką wyniesione świeżo do rzędu miast Zaleszczyki. Pastor tamtejszy, obdarzony tytułem królewskiego audytora, uzyskiwał w ten sposób możność wykonywania swych funkcyi w całym kraju, zaś na zbór zaofiarował król gminie budynek, będący jego prywatną własnością. W r. 1766 kolonia w Filipczu stopniała do szczupłego grona czterech rodzin, które częściowo przeniosły się do Rosyi, częścią zaś osiadły w Zaleszczykach.

Załatwiwszy się w ten sposób z dziejami pierwszej w Galicyi kolonii niemieckiej, obszerniejszą wzmiankę poświęca Bredetzky jednemu z najruchliwszych przybyszów do naszego kraju, Preschlowi, który w budzącym się ruchu ekonomicznym tej prowincyi znaczną odegrał rolę. Preschel był współpracownikiem znanego w całej Polsce domu bankowego w Warszawie Piotra Teppera i w r. 1766 wszedł w spółkę z lekarzem i rajcą lwowskim, Tomaszem Francki, który przedtem był współwłaścicielem, prowadzonego pod firmą Jana Skrochowskiego, handlu sukiennego. Nie mogąc jako protestant uzyskać prawa obywatelstwa we Lwowie, założył Preschel sklep sukienny pod firmą Franckiego, a następnie udawszy się do Warszawy, uzyskał od Stanisława Augusta tytuł nadwornego komisarza, nadający mu prawo do prowadzenia handlu bez posiadania praw miejskich. W r. 1767 odbył Preschel podróż kupiecką do Jass, a w roku następnym rozpoczął na wielką skalę sprzedaż produktów krajowych: pszenicy, grubego płótna, tytoniu, surowych skór bydlęcych, potażu, drzewa materyałowego i klepek, za granicę. W zamian za to sprowadzał z fabryk angielskich i francuskich sukna, materye jedwabne i bawełniane, wyprawiane skóry a nawet gotowe buty i trzewiki. Surowe skóry wysełał do Lipska i Wrocławia celem wyprawy, gdyż w kraju nie było żadnej garbarni. Do stworzenia zakładu tego rodzaju w Galicyi posłużył Preschlowi przypadek. Oto w roku 1769 zjawił się we Lwowie niejaki Dambleve, garbarz z Leodyum, powracający z Rosyi. Z nim zawarł Preschel umowę co do założenia garbarni, na której pomieszczenie obrano po dłuższem szukaniu Busk, gdzie też Dambleve zakupił bezwłocznie niewielki młynek, stojący na odnodze Bugu, tudzież przyległe grunta. Do spółki, prócz Dam-

bleve'a, pełniącego obowiązki technicznego kierownika przedsiębiorstwa, przypuścił Preschel jeszcze kupca Longchampsa i lekarza Merceniera, którzy dostarczyli potrzebnych na budowę garbarni kapitałów. Starosta buski, Mier, widząc szybko rosnące budynki nowego przedsiębiorstwa, darował Preschlowi bagnistą przestrzeń, ciągnącą się między fabryką a Bugiem, tudzież znaczny obszar gruntu pod ogród. Bagno, zasypywane zużytą dębnicą garbarską, przeobraziło się z czasem w okazały sad, do którego sprowadzono rozmaite gatunki zagranicznych drzew owocowych. Otwarcie garbarni nastąpiło w maju 1770 roku. Zaczęto od wyprawiania skóry na podeszwy. Prócz Dambleve'a, jego żony i syna, zawodowego garbarza, sprowadzono jeszcze dwóch czeladników z Leodyum, którzy z pomocą pozyskanych w Galicyi niemieckich garbarzy i wynajętych w Busku pomocników zabrali się do roboty. W ciągu pierwszego roku fabryka zatrudniała trzydziestu robotników, którzy wyprawili tysiąc sztuk skór na podeszwy i 3.000 sztuk na przyszwy. Prócz licznych odbiorców w kraju, wysełała fabryka swe wyroby do Lipska i Brunświku na sprzedaż, lecz skutkiem niesumienności tamtejszych korespondentów poniosła znaczne straty. Zrażeni niemi, wycofali się ze spółki Longchamps i Mercenier, pozostawiając przedsiębiorstwo Preschlowi, który w niemałym znalazł się kłopocie, gdy w ciągu roku wymarła cała rodzina Damblewów wraz z oboma leodyjskimi pomocnikami, skutkiem nadużycia alkoholu... Zastąpiwszy zmarłych niemieckimi robotnikami, doczekał się Preschel lepszych dla swego przedsiębiorstwa czasów. Gdy bowiem założono w roku 1774 komisyę mundurową w Jarosławiu, zgłosił się on z propozycyą dostarczania potrzebnych dla wojska skór i rzemieni, a zwalczywszy w Wiedniu uprzedzenie, jakie przeciw krajowym wyrobom żywiono, wyszedł zwycięzko z zaofiarowanej mu próbnej dostawy i otrzymał stałe zamówienie na skóry dla wojska, załogującego w Galicyi. Dostawą dla jarosławskiej komisyi mundurowej trudnili się i synowie starego Preschla, Józef i Ludwik, którzy po nim objęli kierownictwo garbarni.

Miasteczko Busk, niegdyś obronne, leży na wyżynie między Pełtwią a Bugiem. Okolica jest nadzwyczaj urodzajna. W roku 1807, gdy Bredetzky zwiedzał po raz pierwszy tę miejscowość oraz zakłady Preschla, zwróciła jego uwagę piękna chmielarnia, którą założył tenże przemysłowiec, zmuszony do objęcia browaru przez niewypłacalnego dłużnika. Widząc, iż za cetnar czeskiego chmielu trzeba płacić do ośmdziesięciu złotych reńskich, sprowadził sadzonki i doświadczonego chmielarza z Czech, zaś suszarnię wyprodukowanego chmielu założył w zakupionym od rządu, dawnym klasztorze Domini-

kańskim. Cesarz Józef II. dwukrotnie zwiedzał garbarnię Preschla, który i około upiększenia Lwowa pewne położył zasługi, osuszając bagna, by zyskać miejsce potrzebne pod budowę domów i ogrody. Straciwszy wzrok, zmarł Preschl w dniu dwudziestym siódmym września 1808 roku w Busku, licząc lat 75.

Poświęciwszy tak obszerną wzmiankę osobistości Preschla i dziejom rozwoju jego przedsiębiorstw, przechodzi Bredetzky do omówienia ogólnego przebiegu dzieła kolonizacyi Galicyi, której głównemi zadaniami były: wzmożenie populacyi krajowej, oraz ulepszenie gospodarki miejscowej tak w dziedzinie gospodarstwa rolnego, jak lasowego. Przytacza następnie w dosłownem brzmieniu patent kamery sandomierskiej z roku 1781, przyrzekający przybywającym osadnikom, rolnikom i rękodzielnikom obok bezpłatnego prawa obywatelstwa, dziesięcioletniej wolności od podatków, uwolnienia od służby wojskowej, także bezpłatne użyczenie budulca, gruntu pod domostwo i ogród, (dla rolników 40 morgów roli, łąk i ogrodu), wreszcie 50 złr. na zakupno inwentarza i sześcioletnie zwolnienie od wszelkich powinności poddańczych. Z końcowego ustępu rzeczonego patentu dowiadujemy się o nadzwyczaj taniości artykułów spożywczych, panującej w okolicy Sandomierza. Funt cielęciny kosztował 2—2½ krajcara, wół 12—15 złr., krowa 6—7 złr., nierogacizna 2—3 złr., kogut 6 krajcarów, kaczka 8 krajcarów, gęś 12 krajcarów. Było to więc prawdziwe Eldorado dla zbiedzonych przybyszów, emigrujących z przeludnionych i spustoszonych wojnami francuzkiemi prowincyi nadreńskich, zkąd pochodziła większość wychodźców, choć nie brakło w Galicyi i kolonistów ze Szwabii, głównie z księstwa Geldern. Ztąd też ludność krajowa przezwała ogół kolonistów mianem Szwabów. Zachęcająco dla niemieckich przybyszów działała też okoliczność, iż pierwsze kolonie zakładano w żyznej i pięknej dolinie sądeckiej. „I w rzeczywistości“ — słowa Bredetzky'ego — „nie ma nic śmieszniejszego nad uprzedzenie żywione wobec Galicyi w innych prowincyach monarchii. Nazywają ją austryacką Syberyą. A jednak północne, górskie żupanaty na Węgrzech mają klimat o wiele surowszy. Uważają tę prowincyę jako ubogą, choć Węgry nie wywożą więcej od niej zboża za granicę. Lwów posiada wyższą, miejską kulturę i zamożność, aniżeli Preszburg i Buda“ . . .

Klimat galicyjski bardziej od węgierskiego okazał się sprzyjającym dla kolonistów niemieckich a zmiana warunków bytu wpłynęła dodatnio na uszlachetnienie rasy przybyszów.

Chcąc określić położenie materyalne Niemców w Galicyi, przywodzi nasz autor kontrakt, zawarty w dniu 12. czerwca 1786 r.

między osadnikami niemieckimi a administracyą kameralną
włowie. W ogóle każdy kolonista uzyskiwał: 1) dziesięcioletni
ność od wszelkich podatków, danin, od powinności poddan
i dziesięciny; 2) podczas podróży na każdą głowę dziesięć kraj
dziennie strawnego; 3) zupełnie wykończone mieszkanie wraz
nią; 4) grunt od 24—40 korcy wysiewu; 5) dwa woły lub
koni, dwie krowy, dwie sztuki nierogacizny; 6) narzędzia gos
cze, począwszy od okutego żelazem wozu a skończywszy na
7) żywność na przeciąg pierwszego roku pobytu oraz obsiani
wydzielonych. Ponieważ zaopatrzenie powyższe osadnika koszt
w szczerzeckiej administracyi dóbr 1.200 złr., przeto koszt osie
213 kolonistów w tych dobrach kameralnych pochłonął
375.600 złr. Gdyby sumy wydane na kolonizacyę zostały w r
wistości użyte na ten cel, to stan kraju mógłby być kwitn
Tak jednak nie było, gdyż wśród komisarzy kolonijnych znal
ludzie, pragnący jak najrychlejszego wzbogacenia się kosztem s
Budowali przeto budynki tak liche, iż po krótkim przeciągu
groziły zawaleniem. Mimo taniości bydła, kupowali drogo naj
sztuki. Na ujemny rezultat dzieła kolonizacyi wpłynął też po
z jakim ją uskuteczniano. Kilkaset rodzin musiano żywić prze
dłuższy, zanim znalazło się dla nich pomieszczenie. We L
wszystkie klasztory przepełnione były przyszłymi osadnikami,
śniejącymi bezczynnie. Chcąc się ich pozbyć, budowano
szybko źle i drogo. Nadto, gdy koloniści znaleźli się już na m
okazało się, że wielu z nich miało tyle pojęcia o gospodarstw
nem, co o Justyniańskiem ustawodawstwie, gdyż manifesty
sze znęciły do Galicyi wielkie mnóstwo awanturników, stron
od pracy, skorych do kłótni i bójki. Tak więc w pierwszych
kosztowne dzieło kolonizacyi zdawało się zupełnie chybionem
czasu było potrzeba, zanim ziarno oddzieliło się od kąkolu.
wioły wśród kolonistów usunęły się lub przepadły, zaś roboc
zdobyły sobie zamożność.

Nader dodatnio przedstawia Bredetzky współczesne st
panujące wśród osadników niemieckich w Galicyi. Młode po
odznaczało się pracowitością. Kobiety pracowały na równi
czyznami w polu. W urządzeniu domowem przebijały się na k
kroku dostatek i porządek, zwłaszcza u osadników w obwodac
wosądeckim, bocheńskim, szczerzeckim i lwowskim, choć nie
i widoków przeraźliwej nędzy wśród kolonistów, osiadłych n
skach nadwiślańskich lub w okolicach Dobromila. Wszędzie
wali koloniści strój swój narodowy, przejąwszy od miejscowyc

ścian jedynie sierak, jako zabezpieczający ich od słoty i zamieci. Mniej korzystnie przedstawiały się stosunki moralne, panujące wśród kolonistów. Wprawdzie odbyta droga przez nieznane im przedtem kraje, wpłynęła pomyślnie na ich intellektualne zdolności, z drugiej jednak strony przejęli oni wiele nałogów od otaczającego ich społeczeństwa. Do tych wad należało przedewszystkiem nadmierne używanie wódki podczas rodzinnych uroczystości. W ogóle poziom moralności kolonistów zawisł, zdaniem naszego autora, od stopnia ich zamożności, gdyż ubogie kolonie obywać się musiały bez pastora i szkoły. Tu właśnie wytyka Bredetzky niewłaściwą taktykę komisyi kolonizacyjnej, która miasto skupiania przybyszów w większych osadach, rozpraszała ich grupami, liczącemi od 8—20 numerów, po całym kraju. Wobec tego nauka dziatwy i wykonywanie praktyk religijnych przez starszych były niezmiernie utrudnione, a w parze z owem zaniedbaniem szły: rozluźnienie węzłów moralności rodzinnej, mnożąca się liczba wypadków niewiary małżeńskiej, chęć do oszukiwania przy sprzedaży produktów wiejskich w mieście za pomocą fałszywej miary i wagi.

Bardzo obszernie odpowiada też nasz autor na pytanie, czy państwo osiągnęło cel zamierzony kolonizacyą Niemców w Galicyi? Zaznaczywszy u wstępu, iż pod tym względem zdania są wielce podzielone i że obok entuzyastycznych chwalców kolonizacyi znajdują się niemniej stanowczy jej przeciwnicy, choćby tylko ze względów narodowościowych, podnosi Bredetzky zasługę kolonistów, którzy swą pracą użyźnili leżące przedtem odłogiem znaczne obszary kraju, a zarazem dobrym przykładem przyczynili się niepomiernie do ulepszenia gospodarstwa rolnego. W tej mierze opiera się nasz autor na rękopiśmiennej *Historyi galicyjskich dominiów i gospodarstwa rolnego*, spisanej przez jednego z urzędników krajowych a wykazującej wpływ dodatni, wywarty przez kolonistów na krajowców zarówno w dziedzinie uprawy roli, jak chowu bydła, produkcyi koniczu i rzepaku, tudzież sadownictwa. Z rozprawy owego anonima dowiadujemy się również, że koloniści obok gospodarstwa rolnego trudnili się również rzemiosłem, jak stolarstwem i ciesielstwem, a w Dobrzanicy stworzyli całą fabrykę wyrobów ze słomy.

W łączności z pytaniem, o ile korzystną dla rządu była kolonizacya Galicyi, pozostawała poruszona w pismach współczesnych kwestya, czy miasto dzielenia ziemi między osadników nie należałoby skarbowi prowadzić gospodarstwa we własnym zarządzie? Nasz autor oświadcza się stanowczo przeciw gospodarce skarbowej, korzystnej dla urzędników, nie dla skarbu, dającej pole do rozmaitych

nadużyć a obniżającej wśród osadników chęć do wiedzenia racyonalnej gospodarki.

Jeżeli jednak państwo nie chce stracić bezkorzystnie wydatków poniesionych na kolonizacyę, to musi dbać o to, aby osadnicy nie zdziczeli pod względem intelektualnym i moralnym. Doradza przeto Bredetzky popieranie usiłowań kolonistów w kierunku zakładania szkół przez stworzenie seminaryum nauczycielskiego, polepszenie płacy i wynagradzanie pilniejszych nauczycieli, uposażenie pastorów z funduszów rządowych, pomoc ze strony skarbu w budowaniu szkół i zborów.

„Wiele zamysłów wielkiego cesarza Józefa II." — pisze Bredetzky w zakończeniu pierwszej części swej rozprawy — „nie zostało uwieńczonych pomyślnym rezultatem, pożądanym dla jego serca. Za prędki, zbyt gorący w przeprowadzaniu swych planów, musiał się często łudzić, często mylić w wyborze środków i często też pracować bez powodzenia. Lecz pięknie i wspaniale przedstawiają się trofea jego rządów w Galicyi. Tysiące rodzin, ocalonych przez niego od nędzy i obdarzonych dostatkiem oraz wolnością, błogosławią jego pamięć.

Druga część *Przyczynku historyczno-statystycznego* powstała później od pierwszej, w roku 1810 i zawiera opis kolonii niemieckich w Galicyi, ułożony w porządku abecadłowym. W zestawieniu tem uwzględniał nasz autor daty, dostarczane przez poszczególne dominia oraz przez administracyę dóbr kameralnych, tudzież podane mu przez pastorów wyznania protestanckiego, posiłkując się również sumaryuszami rządowej konskrypcyi, choć te ostatnie mniej pewne dawały mu cyfry, zaliczając kolonistów do wsi pobliskich. Ogółem wylicza Bredetzky w swym spisie 175 miejscowości, uwzględniając nawet najdrobniejsze osady z kilku domostw złożone. Z tego też powodu wspomniemy tylko o kilku ważniejszych koloniach, wyróżniających się wśród reszty i liczbą ludności i zamożnością. Najznaczniejszą kolonią niemiecką w Galicyi była Brigidau, tak nazwana ku czci gubernatora, Józefa hr. Brigido, położona w samborskim obwodzie. Posiadała 126 obejść i 697 mieszkańców wyznania protestanckiego, którzy utrzymywali pastora, szkołę i mieli piękny, drewniany zbór. Grunta w Brigidau były gliniaste, ale zostały znacznie sztuczną kulturą ulepszone. Najwięcej po Brigidau mieszkańców liczyła osada Josephsberg, leżąca w kluczu medenickim, w cyrkule samborskim. Obejmowała 90 gospodarstw i 573 mieszkańców. Leżąc na łagodnej wyżynie, w okolicy urodzajnej, zabudowaną została w czworobok i posiadała dobre pola. Mieszkańcy jej, wyznania helweckiego, utrzy-

mywali własnego pastora, szkołę i piękny, murowany zbór. Trzecie co do zaludnienia miejsce zajmowała kolonia Dornfeld, licząca w 89 obejściach 412 mieszkańców. Gruntów ornych mieli koloniści podostatkiem, lecz skarżyli się na brak łąk, utrudniający im chów bydła. Protestanci tamtejsi posiadali pastora, oraz szkółkę trywialną. Toż samo zbór i szkoła istniały w Ugartsthal, w wielkiej, niemieckiej kolonii, liczącej 329 mieszkańców, leżącej pod Kałuszem, podczas gdy osada Landestreu w stryjskiem, (327 mieszkańców), słynęła — jak już wspomniano — z wzorowej kultury drzew owocowych. Józefów, leżący w kluczu radziechowskim, będącym własnością Miera, posiadał również szkołę i zbór własny, (186 mieszkańców), zaś Dornbach, zwany także Tarnowcem, (170 mieszkańców), położony w państwie Leżajskiem, tworzył jedną z największych kolonii katolickiego wyznania. Natomiast Bandrów, w sanockiem, mimo znacznej stosunkowo liczby mieszkańców, (178 głów), wyznania protestanckiego, był jedną z najuboższych osad w kraju z powodu nieurodzajnych gruntów, położonych w górzystej okolicy. Dobrymi gruntami odznaczała się znów kolonia Einsiedel, w państwie Szczerzeckiem, zamieszkała przez Menonitów. Starsi w tej gminie, liczącej dwanaście familii, pełniący funkcye kapłańskie, wyrabiali wyborne sery i różnili się od reszty swych współwyznawców chyba tem, że w przemowach swoich używali wyłącznie wyrażeń biblijnych. Bredetzky podziwiał pamięć tych nieuczonych ludzi, którzy do każdego potocznego zdarzenia byli w stanie zastosować odpowiedni cytat z pisma świętego.

I w najbliższem sąsiedztwie Lwowa istniały osady niemieckie. Najznaczniejszą z nich były Winniki, (*Oberweinbergen*), liczące 192 mieszkańców, osiadłych w 32 murowanych domostwach. Koloniści ci byli wyznania protestanckiego i podlegali pastorowi lwowskiemu. Posiadali też własną szkołę trywialną. Bliskość stolicy, urodzajność gleby, łatwość zarobku w miejscowej fabryce tytoniu, przyczyniały się do wzmożenia dobrobytu wśród osadników, którzy nadto trudnili się sadownictwem. Niemieccy koloniści, przeważnie ogrodnicy, osiedli też w Bogdanówce, zaś w Sygniówce gospodarzyli przybysze z niemieckich okolic w Czechach i z Moraw. Zarówno osadnicy w Sygniówce, jak i w Zimnej Wodzie, (125 głów), zamieszkali, byli wyznania katolickiego.

Stosownie do wyznania dzieli Bredetzky osady niemieckie w Galicyi na cztery grupy, z których najliczniejszą były grupy osad ewangelickich, (83 osad z ludnością 9.143 głów), i katolickich, (60 osad, głów 5 628), podczas gdy osad o ludności wyznania mięsza-

nego było szesnaście, (1.268 głów), i tyleż wyznania reformo (1.599 głów). Doliczywszy do tych cyfr mieszkańców osad o domej ilości zaludnienia, twierdzi Bredetzky, iż liczba ko niemieckich w Galicyi wynosiła okrągłe 20.000 głów.

Książkę naszego autora, będącą dziś białym krukiem w księgozbiorach publicznych, uzupełniają plany sytuacyjne Brigidau i Königsau wraz z profilami odnośnych budynków darczych, tudzież mapa, przedstawiająca położenie poszcze osad w Galicyi, ułożona przez Bredetzky'ego w roku 1808 stawie Liesganiga.

Kończąc rzecz o spuściźnie literackiej, pozostałej po] kym, raz jeszcze podnieść wypada bezstronność autora, ce obok dokładności i trafnej obserwacyi, wszystkie jego prace, jące o Galicyi. Z tego też powodu ubolewać należy, iż zagin wieści pozostała w rękopisie praca Bredetzky'ego, p. t. *Staty geograficzny podręcznik dla Galicyi.* O istnieniu tej rozpraw mina autor nekrologu Bredetzky'ego, zamieszczonego w r pięćdziesiątym *Gazety Lwowskiej* z 1812 roku.

K O N I E C.

SPIS RZECZY.



